

Sándor Márai
Sąd w Canudos

CZY
TEL
NIK



Sándor Márai

Sąd w Canudos

Przetoczyła
Irena Makarewicz

Czytelnik
Warszawa 2013

Zapisuję teraz to, co widziałem i słyszałem 5 października 1897 roku, od piątej po południu do dziewiętej wieczorem. W tych godzinach, w zbudowanej z gliny wymieszanej ze słomą szopie folwarku zwanego Rancho do Vigário marszałek Carlos Machado de Bittencourt, minister wojny Brazylii – kilka godzin wcześniej, nim nasi żołnierze skończyli ze wszystkimi, którzy pozostali żywi w Canudos – odbył zaimprovizowaną konferencję prasową. Od pięćdziesięciu lat szykuję się, by napisać o tym, co widziałem i słyszałem w tych godzinach. Do pisania nie miałem dotychczas odwagi. Bo choć prawdą jest, że nawet i teraz, na starość stawiam czytelne, okrągłe litery, nie drży mi ręka i nie najgorzej znam zasady pisowni i składni portugalskiej, to jednak poza tym nie umiem opowiadać. Ilekroć zabierałem się do tego, by zanotować moje wspomnienia z Canudos, zatrzymywałem się gwałtownie, bo zdawało mi się, że byłoby to śmieszne i próżne przedsięwzięcie, gdybym po zapiskach zawodowych pisarzy i historiografów przemówił również ja – ja, który w Canudos byłem nikim i niczym, jedynie zwykłym kapralem i bezimiennym naocznym świadkiem.

Mimo to piszę, bo jestem człowiekiem starym

i niedługo – może już dzisiejszej nocy albo w następnej chwili – umrę. Nie chcę odejść bez zapisa-
nia tego, co wówczas po południu i wczesnym wie-
czorem widziałem i słyszałem w Canudos. Nie pi-
szę „historii”, tę napisali już inni. Lecz przez mo-
ment – jak gdy w czasie wielkiej suszy gorące po-
wietrze wybuchła nad dżunglą – widziałem, jaka
jest siła, z której powstaje potem historia. To właś-
nie chciałem opisać.

Albowiem przez te pięćdziesiąt lat nie zapomnia-
łem owych czterech godzin. Byłem wówczas wy-
rostkiem. Tymczasem minęło pół wieku, w świecie
szalało wiele wojen, rzezi potworniejszych od po-
tyczki w Canudos. Tutaj w oddali, w Brazylii, uczy-
liśmy się imion i nazwisk: niemieckiego Cesarza,
potem Hitlera, Stalina i innych, którzy – jak sły-
szeliśmy – tworzyli historię powszechną. Przywód-
ca wojny w Canudos pozostawał niewidoczny – An-
tônio, Doradca, tak się nazywał.¹ Zdaje mi się, że
za granicą niewiele o nim słyszano. Ten człowiek
nie był wodzem naczelnym ani mężem stanu. Możliwe,
że był szaleńcem. Mimo wszystko, to on był
w stanie sprawić, że przed pięćdziesięciu laty w Ca-
nudos, na północno-wschodnich pustkowiach Bra-
zylji ludzie walczyli, mordowali i umierali – zabija-
li i ginęli z taką zapalczywością, z takim przekon-
aniem, jakby ten mord na człowieku, nazywany
wojną, miał jakiś sens. O wielkich rzeziach – z tam-
tej strony oceanu, z Europy i z Azji – docierały wie-
ści także do Brazylii, gazety, później radia przyta-

¹ Antônio Vicente Mendes Maciel (1830–1897) nosił przy-
domek Conselheiro, co dosłownie znaczy Doradca, zaś sze-
rzej – Nauczyciel, Poczyszyciel. (Wszystkie przypisy pocho-
dzą od tłumaczki).

czały potworne szczegóły. Lecz ja widziałem Canudos na własne oczy. To Canudos było moją wojną... a każdy ma taką wojnę, jaka mu się akurat trafi. W końcu w beczce wody można się utopić tak samo jak w Oceanie Atlantyckim. I nie żyje już zbyt wielu takich, co mogą powiedzieć, że widzieli Canudos w owych godzinach, kiedy wszystko i wszyscy tam wyginęli.

Teraz, jako starzec, czasem roję sobie, że w moim życiu tak naprawdę istotne były tylko tamte godziny – gdy byłem skrybą na konferencji prasowej marszałka de Bittencourta, w ruinach zabudowań zwanych Folwarkiem Wikariusza. Wszystko, co stało się potem, już nie było dla mnie ważne. Mój czas przeminął, moje życie wypełniło się. Miałem rodzinę, żonę i dzieci. Wszyscy oni pomarli, w pokoju, bo jak się wydaje, również pokój jest niebezpieczny dla życia. Lecz ja wciąż jeszcze żyję – mówią, że człowiek żyje dopóty, dopóki ma jakieś osobiste zadanie, ma do wykonania coś, czego nie może doprowadzić do końca nikt inny, jedynie on sam. Ale możliwe, że to tylko wymysły ludzi, którzy za pomocą takiego naiwnego mędrkowania chcieliby odroczyć umieranie – jak skazany na śmierć, który przed egzekucją jeszcze czyta książkę czy też chce się zobaczyć z krewnym, jednym słowem prosi o zwłokę, o godzinę lub jedynie o kilka minut, ale mimo wszystko o zwłokę – tak próbuje wyłudzić nieco czasu. Nie wiem, czy prawdą jest, że mam jeszcze przed śmiercią coś osobiście do zrobienia. Czy tylko wymyśliłem to zadanie, opisanie wydarzeń w Canudos, żeby mieć pretekst, by jeszcze trochę pożyć?... Tak czy inaczej, zacząłem pilnie gryzmolić. Bo wspomnienie, które teraz notuję, jest niczym choroba noszona na skórze: pali i swędzi.

Naprzód zanotuję tutaj, kim jestem, skąd się wywodzę. Nazywam się Oliver O'Connel. Mój dziad i ojciec przybyli do Brazylii z Irlandii, gdzie w następstwie zarazy ziemniaczanej zapanowała nędza i wielu ludzi wyemigrowało ze strachu przed śmiercią głodową. Pod koniec panowania cesarza Dom Pedra mój ojciec był w Brazylii nauczycielem języka. Czy prawdą jest, że to on uczył angielskiego także członków cesarskiego dworu? Być może tylko się tak przechwalał od czasu do czasu, gdy pod wpływem rumu pogrążał się w marzeniach. Lecz pewne jest, że jego życie w służbie dynastii Bragançów uległo zmianie, kiedy cesarz Dom Pedro udał się na wygnanie do Portugalii, bo w Brazylii wybuchła wolność i ogłoszono Republikę. Także mój ojciec przysięgał na Republikę, jednak w sercu pozostawał zawsze monarchistą. Wystarczy powiedzieć tyle, że był człowiekiem wykształconym, obytym. Potem, kiedy już nie było Cesarza ni Dworu, mój ojciec został nauczycielem szkoły średniej w prowincji Bahia. Ze mną, ze swym jedynym synem, zawsze rozmawiał po angielsku – tak oto się złożyło, że już jako pacholę w zgrzebnej koszuli jednakowo dobrze trajkotałem po angielsku i po portugalsku.

Jestem Metysem. Moja matka była Indianką. Nigdy nie mówiła o swych przodkach, bo i nie było o czym. Byli Indianami, *caboclos*, czyli tubylcami, których powoli połyka biały i czarny człowiek, podobnie jak olbrzymią, leśną świnię, *caietu*, pochłania boa dusiciel na brzegu Amazonki. Moja matka też była *cabocla* – lecz nigdy nie mówiła o tym, w jaki sposób zesła się z moim ojcem, zbrzydlizowanym irlandzkim imigrantem. To prawda, w owym czasie mieszanie się nie było w Brazylii

rzadkością. Także księża mieszały się z *caboclas*, a nawet z *mulatas*. Moja matka nie mówiła o tamtych czasach, ale niekiedy śpiewała mi o swoim dzieciństwie. Śpiewała o pustkowiach i o dżungli, gdzie się urodziła. Pięknie śpiewała, ochryplym głosem. W taki sposób, pieśniami, opowiedziała to, co chciała opowiedzieć mnie – swemu synowi, Metysowi.

Mój ojciec dość dobrze obchodził się z moją matką, z *cabocla*. Rzadko ją bił. Jeśli zdarzyło się coś takiego, przeklinał po angielsku i strzelał paskiem od spodni. Ale szybko się godzili. Moja matka ocierała łzy, przynosiła flaszkę rumu. Pili oboje i po upływie krótkiego czasu śmiali się przyjaźnie. Mnie ojciec bił już surowiej: kiedy byłem mały, w istocie wbił we mnie umiejętność czytania i pisanie oraz język angielski. Do dzisiaj jestem mu za to wdzięczny, gdyż dzięki temu tak się złożyło, że wtedy po południu to ja byłem skrybą w Canudos. A potem właśnie dlatego otrzymałem posadę tutaj w bibliotece.

Oto, czym się zajmuję: jestem pomocnikiem bibliotekarza w São Paulo, w Biblioteca Municipal. Utrzymuję w porządku książki historyczne. Nie mam wiele pracy i prawdę mówiąc, moi przełożeni tolerują mnie w bibliotece jedynie z litości, jako że zgodnie z prawem i zwyczajem wypadałoby, żebym już przeszedł na emeryturę. To ostatni rok, gdy jeszcze patrzą przez palce na to, że tu przychodzę. Także dlatego zdecydowałem się na pisanie: w pomieszczeniu, gdzie teraz gryzmołę, panuje spokój – nie tak, jak w tym nędznym miejscu, w którym spędzam noce, na peryferiach miasta, dokąd rad nierad trafiłem na starość.

Goście rzadko mi tu przeszkadzają, bo młodzi

czytają dzisiaj raczej fachowe książki z dziedziny nauk technicznych. Z okna biblioteki widzę park miejski, gdzie tablica, przybita gwoździami do jednej z desek drewnianej chaty, informuje, że w tej to chacie Euclides da Cunha napisał swoją słynną, wielką książkę, klasyczne arcydzieło zatytułowane *Os Sertões*. Po południu, w drodze do domu, czasem przechodzę spacerkiem obok tej chaty i czytam tekst na tablicy pamiątkowej. Potem mijam pomnik Camõesa i Cervantesa. Piszę o tym tylko po to, żeby czytelnik – o ile w ogóle zdarzy się ktoś, kto moją książkę kiedyś przeczyta – mógł sobie wyobrazić, w jakim otoczeniu piszę.

Jak słyszałem, nazwisko Euclidesa da Cunnii zna niewiele osób na świecie. To dziwne, ponieważ za moimi plecami, na półce, obok tomów poświęconych brazylijskiej historii, geografii, etnografii, opisowi krajobrazów i hydrografii, długim rzędem stoją przecież portugalskie i zagraniczne wydania książki Euclidesa da Cunnii. Są tutaj wszystkie, wiele tuzinów wydawnictw. Mimo to na innych kontynentach niewielu jest takich, co znają tę książkę. Po prawej, w zasięgu ręki, mam oprawiony w zieloną skórę egzemplarz – pierwsze, rzadkie wydanie *Os Sertões*: wydrukowane w 1902 roku w Rio de Janeiro. Po nim kolejno następują pozostałe, na przykład czwarte wydanie, które wydrukował Francisco Alves w 1911, dwa lata po tym, jak w Santa Cruz na Estrada Real pewien oficer zastrzelił autora. Ale to już inna historia, nie należy tutaj.

Całkiem możliwe, że tę skromną synekurę – posadę tu w bibliotece – zawdzięczam nie tylko mojej znajomości języka angielskiego, ale i temu, że byłem w Canudos. Jest pośród dyrektorów biblioteki

jeden czy dwóch takich, co szanują naoczного świadka Canudos – mnie, starca, który jeszcze widziałem wszystko to, o czym da Cunha napisał książkę. Może też dlatego mam teraz, podczas pisania, tremę – czuję się jak amator, ośmielający się śpiewać w obecności wielkiego tenora.

*

Jeszcze nawet nie zacząłem samej historii, a już widzę, że mówię o wielu różnych rzeczach, chaotycznie, niepotrzebnie. Zdaje się, że pisanie to trudne rzemiosło. Zwłaszcza jeśli człowiek jest stary i pośpieszenie, bez zastanawiania się chce opowiedzieć wszystko, co pamięta. Spróbuję mówić jedynie o tym, co najistotniejsze.

Piątego października około południa rozeszła się wieść, że oblężenie Canudos zakończy się w ciągu kilku godzin. Taka pogłoska wielokrotnie pojawiała się w minionych miesiącach i na wieść o bliskim zwycięstwie żołnierze upijali się pośpiesznie. Lecz w końcu zawsze wyjaśniało się, że pogłoska jest fałszywa, buntownicy w Canudos wciąż się trzymają. Nikt nie rozumiał, jak to możliwe, bo wielka masa rebeliantów – ponad osiem tysięcy mężczyzn, kobiet, dzieci i starców żyło w pięciu tysiącach dwustu lepiankach – niemal już w całości padła. Jednak z obleganej twierdzy z błota wciąż jeszcze strzelano do naszych.

Mimo to teraz nagle wszyscy zdawali się wiedzieć, że oto nadszedł kres, można będzie wrócić do domu. W tych godzinach okolice Rancho do Vigário były tak głośnie i po cygańsku, indiańsku pełne bałaganu, jak rynek w pobliskim mieście Monte Santo, pięćdziesiąt kilometrów dalej, gdzie ulokowała się główna kwatera regularnego wojska.

Wokół zabudowań folwarku – może w odległości czterech kilometrów od tego wszystkiego, co po spustoszeniach dokonanych przez artylerię pozostało z błotnistej gniazda w Canudos – pod gołym niebem i w namiotach jeszcze konali ranni żołnierze. Lecz pozostali – oficerowie i szeregowcy – już się pakowali. We wrzaskliwym nieporządku nikt się nie przejmował zagrożeniem: również w tych ostatnich godzinach buntownicy wykorzystywali możliwość przypadkowego trafienia. I wielu spośród naszych poległo także tego ostatniego dnia.

Powietrze cuchnęło tak jak na pastwisku, kiedy pasterze pod gołym niebem przypiekają baraninę. W tych ostatnich godzinach w spojrzeniach, w zachowaniu naszych ludzi było już coś z szaleństwa. Ale wszyscy wiedzieli, że oto koniec hańby – koniec oblężenia Canudos, zdychania, usychania z pragnienia, bezmyślnego zabijania. Koniec tego, że nawet siedem tysięcy federalnych żołnierzy, cztery następujące po sobie ekspedycje wojskowe, działa Kruppa i nowoczesna broń palna przez dziesięć miesięcy nie zdołały poradzić sobie z ośmioma tysiącami cierpiących z głodu i pragnienia, wyglądających jak szkielety, zwierzęco zdiczałych żywych istot – z buntownikami w Canudos i ich przywódcą, fanatycznym prorokiem, Antônem Macielem, Doradcą.

To właśnie bowiem działo się przez dziesięć miesięcy, na pustkowiach, na północy, w Brazylii, od grudnia 1896 do października 1897. To była ta złowieszcza hańba, która nie tylko wżerała się w skórę i ciało prowadzących oblężenie żołnierzy regularnego wojska, ale też zarażała całą Brazylię. To właśnie niepokoiło odległe miasta zachodniej hemisfery, każdego, kto wierzył w dyscyplinujące idee

Cywilizacji i Demokracji. A teraz wszędzie, dokąd iskra telegrafu poniosła wieść o tym człowieczym wybuchu, o tym społecznym zwarciu, wyteżono uwagę: ludzie dowiedzieli się, że to koniec Canudos.

Tyle że – jak się zdawało – pozostała resztką buntowników nie chciała przyjąć do wiadomości tego końca. Od czasu do czasu wciąż jeszcze oddawali salwy w naszym kierunku – i było to niezrozumiałe, bo od uchodźców i zbiegów wiedzieliśmy, że już drugi tydzień w istocie nie mają tam wody, a żywności też ledwie co. I wciąż jeszcze dobrze strzelali – celowali wybornie, jakby widzieli nawet w ciemnościach.

Poprzedniego dnia o świcie i po południu, także o zmroku przybywali uchodźcy – razem trzysta kilkoro kobiet i mężczyzn – o ile te wolno poruszające się szkielety można było jeszcze nazwać ludźmi. Tych wlokących się kościotrupów już nie trzeba było zabijać: gdy tylko do nas docierali, w większości kładli się przed namiotami, wzdłuż drogi i umierali. Zdawało się, że siły i woli starczyło im jedynie na tę krótką drogę – drogę, podczas której wygrzebali się z ulepionych z gliny nor w Canudos, przywlekli się do nas i ułożyli się przed naszymi namiotami. Ci ostatni uchodźcy wyleźli z Canudos jak robaki z gliniastych czeluści dzielonych przez wielu masowych grobów. A ci, co pozostali żywi, opowiedzieli, że po tamtej stronie – w Świętym Mieście, jak oni nazywali Canudos – żyją jeszcze buntownicy, którzy ich, zbędne istoty – samą skórę i kości – przepędzili do nas, do zwycięzców, bo chcieli się uwolnić od niezdolnego do walki ludzkiego nadmiaru. To od nich wiedzieliśmy, że w Canudos wciąż jeszcze jest nieco życia – miasto z bło-

ta jeszcze dymi, niczym kupa gnoju, kiedy podstępne gazy, opary gnicia, podgrzewają ściółkę od wewnątrz, od spodu.

Około południa gońcy meldowali, że marszałek Bittencourt, minister wojny – dowódca kampanii przeciw Canudos – wczesnym rankiem wyruszył z Monte Santo, a około południa dotarł już do pobliskiego Angico. Naprzeciw wejścia do Rancho żołnierze wojsk inżynieryjnych pośpiesznie rozstawili połowy namiot dowódcy, na słupie wywiesili państwową flagę, chorągiew połową. Ta wieść i ten widok były ekscytujące i trębaczce – bez celu i bez sensu, jakby powariowali – poczęli trąbić. Piekielny hałas doprowadzał do szału nie tylko szeregowców, lecz płoszył też osły i muły, które poczęły koszmarnie ryczeć. Na dźwięk trąbki wiele tuzinów tych czworonożnych bohaterów wojny w Canudos uciekło; wałęsające się osły trzeba było wczesnym popołudniem wyłapywać za pomocą lassa. Jakby nawet te nierozumne zwierzęta podejrzewały, że zbliża się marszałek, wielki strateg, ten, co tonącą w hańbie i porażce wojnę w Canudos wygrał w końcu nie tyle przy pomocy żołnierzy i broni, co osłów i mułów, które po sromotnej porażce pierwszej, drugiej i trzeciej ekspedycji tysiącami skupował po okolicy, w Bahii i w rejonie Monte Santo. Wszyscy wiedzieli, że owe nierozumne zwierzęta były bohaterami zwycięstwa, bo to one donosiły na te dzikie pustkowia uzupełnienie zaopatrzenia. Lecz mówić o tym wówczas jeszcze nie było wskazane; także sprawozdawcy wojenni przemilczeli ten mniej chwalebny wewnętrzny sekret kampanii przeciw Canudos.

Powszechnie podniecenie podgrzała do punktu wrzenia wieść o tym, że dla marszałka i jego eskor-

ty muły przywiozły z Monte Santo nawet wodę – czystą wodę w pękatych skórzanych bukłakach!... Albowiem nie tylko tamci w Canudos zdychali z braku wody. Czystej wody wówczas już od tygodni nie widzieliśmy i my, regularne wojsko. Stęchłe kałuże, jakie – tu i ówdzie – znajdowaliśmy na pastwiskach, wokół wyschniętych studni przeznaczonych dla stad wołów, cuchnęły moczem, trupią wonią. Wiadomość, że do obozu nadeszła czysta woda, podekscytowała ludzi niemal tak samo jak druga plotka, że na wieczór, z okazji zwycięstwa, fasować będziemy również gorzałkę. Wokół namiotu marszałka, gdzie uzbrojona straż strzegła bukłaków z wodą, wałęsali się ludzie z przekrwionymi oczami. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że jednemu z tych bukłaków przypadnie wieczorem inna rola niż ta, na jaką my, spragnieni, mieliśmy nadzieję.

I o tym opowiem, w odpowiednim momencie, gdy przyjdzie na to pora. Osobliwe, że kiedy człowiek się starzeje, nagle na wszystko ma czas.

*

Nawet dzisiaj nie wiem z całą pewnością, dlaczego to właśnie mnie upatrzone sobie, żebym był skrybą podczas konferencji prasowej marszałka. Antônio da Silva Paraguaçu, dowódca czternastego batalionu piechoty, kazał mnie wezwać przed południem i ochryple krzyknął na mnie, że mam się ogolić i pójść do Rancho, bo szykuje się wielkie wydarzenie i ja będę skrybą. Byli w oddziale też inni, co przysięgali, że potrafią pisać – jeden Mulat, chwalcący się, że przed laty siedział w więzieniu w Rio z powodu kradzieży z włamaniem i tam, z nudów, nauczył się pisać. Pewien sierżant Metys, za-

wodowy fałszerz karciany, rzeczywiście znalazł się trochę na stawianiu liter – i ja sam widziałem, że w spokojniejsze dni, kiedy tamci z Canudos nie strzelali, pisał innym listy do domu, do członków rodzin i kochanek oficerów. Co prawda, to prawda, bohaterowie trafiali się w wojsku, ale pisać umiało w owym czasie jedynie niewielu.

Może wybór padł na mnie z powodu krążących pogłosek, że rozumiem po angielsku. Możliwe, że Antônio da Silva Paraguaçu słyszał, jak przechwalałem się tą kuchenną angielszczyzną, otrzymaną w spuściźnie po ojcu, i teraz, w tych ostatnich godzinach, chciał się popisać przed sprawozdawcami wojennymi, że w wojsku znajdzie się i taki piechur, co rozumie język angielski. Tak czy inaczej, rozkaz trafił do mnie niespodziewanie, bo na tym etapie ekspedycji byłem już równie obdarty i brudny, co wszyscy towarzysze walki. Dlatego ogoliłem się z pewnym trudem – z braku wody i mydła owłosienie z twarzy zdierałem sobie wyszczerbionym ostrzem – i wytrzepałem bluzę, na ile się dało. W owym czasie wojsko stało się gromadą obszarpańców; przypominaliśmy wędrownych bandytów, *desperados*. Mimo wszystko starałem się, by mój ubiór przypominał mundur galowy. To nie było łatwe.

Pośpiesznie zebrałem i wepchnąłem do kieszeni służbowej bluzy kilka arkuszy papieru, buteleczkę atramentu i pióro – to była moja broń w czasie ekspedycji, bo prawdę mówiąc, przez dziesięć miesięcy nigdy nie miałem w ręce karabinu. Potem poszedłem do Rancho, gdzie – ze świadomością własnej urzędowej wagi – starałem się uroczyście i po wojskowemu zameldować u oficera pełniącego służbę. Lecz nikt się mną nie przejmował. Oficerowie

i ordynansi wałęsali się po szopie, dysząc i posapując, udając ważnych, starając się nadać jakiś pozór porządku tej rozpadającej się szopie. Dowódca wydawał instrukcje chrapliwym głosem – najczęściej w sposób niezrozumiały. Dlatego usiadłem przy końcu długiego stołu, na brzegu ławki, ustawiłem przed sobą w gotowości przybory do pisania i zrobiłem tak uroczystą minę jak ktoś, kto niespodziewanie staje się jednym ze ważnych naocznych świadków historycznego wydarzenia. Bardzo mi się podobało, że i ja mogę tam być, gdy marszałek będzie przyjmować dziennikarzy. Przed dwoma miesiącami – w sierpniu, w połowie zimy – skończyłem dwadzieścia lat. Teraz czułem się jak karzeł, który w cudowny sposób nagle urósł.

Ostatniego dnia kampanii przeciw Canudos w szopie, gdzie oczekiwaliśmy oficjalnych gości, oficerowie naprędce próbowali ułożyć jakąś dekorację mogącą nadać pomieszczeniu urzędowy charakter. Właściciel Rancho – Metys, *fazendeiro* – wraz z rodziną i bydłem zbiegł już całe tygodnie wcześniej. Zrobienie porządku nie było prostym przedsięwzięciem, już choćby dlatego, że w minionych dziesięciu miesiącach, na pustkowiach, nasi ludzie jakby całkowicie zapomnieli o warunkach i rekwizytach cywilizacji.

Jak wszędzie na swej drodze, gdzie tylko odbywał się przemarsz regularnego wojska, tak i tutaj żołnierze porysowali mury czerwonymi i czarnymi znakami: nabazgrali na ścianach wulgaryzmy przechodzące wszelkie cywilizowane wyobrażenia. Te tak typowe dla wyrostków, obrzydliwe wyzwiska nie oszczędzały nawet religijnych tabu – każdemu miejscowemu świętemu, a i samej Najświętszej Maryi Pannie posłano po kilka obelżywych wyrażań,

wypisanych na wałących się ścianach z gliny, na folwarkach i w szopach, otaczających drogi przemarszu przez wojenny teren. Z bólu, a także z nudy spowodowanej wyczerpaniem i osłabieniem, ranni zabawiali się w taki sposób, że umaczanymi we własnej krwi palcami wypisywali na ścianach przypadkowych, zaimprovizowanych szpitali polowych wołające o pomstę do nieba świństwa – większość graffiti malowano tak, jak na ścianach domów dzieci smarują pradawne symbole erotyki, naśladując bezmyślnie wyrostków. Oficerowie, którzy sypiali nie na rozrzuconych na podłodze siennikach, ale w hamakach, zarezerwowanych dla bardziej uprzywilejowanych szarż, w gorączkowym gniewie dyktowali szeregowcom wysublimowane wulgaryzmy, przewyższające pospolite chłopskie kwiatki retoryczne. Dlatego szeregowcy, zabrawszy się teraz do pracy, by na cześć marszałka i dziennikarzy w jakiś sposób uporządkować pomieszczenie szopy w Folwarku Wikariusza, przede wszystkim starali się oczyścić ściany. Rycząc ze śmiechu, zdrapywali z murów te wybuchy namiętności, jakie ogarniały oddziały w przemarszu, usuwali owe czerwone i czarne obrzydlistwa, paskudzące całą powierzchnię ścian. I w trakcie pracy na cały głos wykrzykiwali co bardziej soczyste wyrażenia.

W tej godzinie – w chwili zwycięstwa – armia już niemal całkiem straciła wojskowy charakter... Szary płócienny mundur ze szkarłatnymi wypustkami, nakrycie głowy o szerokim rondzie – *sombrero*, które nasi północni krewni, *gringos*, żartobliwie przezywali kapeluszem na dziesięć galonów – łapcie o podeszwach rozdeptanych w kolczasto-krzaczystym, zarośniętym dzikimi krzewami, nieuczęszczanym labiryncie, jakim była *caatinga*: ten

ubiór w całości ledwie już był „wojskowy”, jako że pod względem ńędzy życia na pustkowiach wcale nie różniliśmy się od przeciwnika, nasz strój nie różnił się od tego, jak ubrani byli bandyci mafii w Canudos czy przydrożni *capangas*, miejscowi najemni mordercy.

Wyschnięta okolica również wcale nie przypominała terenu uprawianego ręką człowieka. Ziemia parowała gorzkim fetorem, jak zawsze podczas wielkiej suszy, kiedy stada już odeszły ze spierzchniętej, popękanej ziemi, pozostawiwszy po sobie skamieniałe gnojowisko. Żołnierze, których zawezwał dowódca, żeby pośpiesznie uporządkowali szopę, wyglądem zewnętrznym niewiele różnili się od wroga, od *jagunços* przycupniętych w leżącym naprzeciwko mieście z gliny. Brak wody, susza, powszechne zezwierzęcenie w błocie i krwi podczas dziesięciomiesięcznej wojny partyzanckiej, doprowadzające do wściekłości, ogłupiające ciśnienie atmosferyczne w tym tropikalnym klimacie, zapach siarki na pustkowiach, atmosfera podstępного zagrożenia – wszystko to razem spowodowało w naszych ludziach zdziczenie. Dyscypliną, utrzymaniem porządku nikt się już nie przejmował. Nawet oficerowie nie domagali się okazywania szacunku; zarówno szeregowcy, jak i oficerowie załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne bez zażenowania, obojętnie, jedni na oczach drugich. Wszelki wysiłek osłów i mułów marszałka Bittencourta był niewystarczający: w obozie stale brakowało tego, co najpotrzebniejsze. Amunicji było pod dostatkiem, ale mydła czy obuwia wiecznie mieliśmy za mało, bo przez gęstwę dzikich zarośli zaopatrzenie nie docierało czasem nawet na grzbietach mułów; albo dlatego że skradziono je jeszcze w drodze.

Również żołnierze podejmowali próby ucieczki – lecz po kilku dobach włóczęgi nędza życia na pustkowiach z powrotem zapędzała do obozu większość takich uciekinierów. W owych dniach działania wojenne nie nosiły już nawet śladu strategii czy taktyki. Z obu stron padały jeszcze strzały, ale ludzie strzelali raczej tylko z nudy. I tak samo z nudy żyli i umierali, jak się trafiało.

Uchodźców, którzy co dnia przybywali z Canudos tuzinami, czasem setkami, jednego po drugim zabijano. Kilkorgu dzieciom pozwolono zbiec, ale wszystkich mężczyzn, ponadto starców i często również kobiety tracono. To już nie były działania wojenne, żadna konieczność wojskowa nie nakazywała, żeby ludzie posuwali się do takiej rzeźniczej roboty. Raczej był to tylko sposób spędzania czasu... podobnie jak przed dziesięcioleciem w Kanadzie i w Stanach nasi sąsiedzi polowali na Indian. Dowództwo wiedziało o tej okrutnej rozrywce; góra wiedziała o losie uchodźców, wyschłych z soków życia, odwodnionych z pragnienia, o brzuchach napuchniętych od głodu i jedzenia ziemi. Lecz przymykano oczy, bo uważano, że szeregowcy nudzą się, a coś trzeba robić... poza tym tutaj, na pustkowiach, pośród jam i pieczar Canudos, ludzkie życie i tak nie miało już żadnej wartości. O tej powtarzanej dzień za dniem obozowej rozrywce – o podobnym do sportu tępieniu ludzkich odpadków, co uszły z Canudos – wiedziano i po tamtej stronie, w tym błotnistym dole, jaki pozostał z Canudos. W jamach, wypełnionych rozpadającym się, gnijącym, zżerany przez gangrenę ludzkim mięsem i odchodami, wciąż jeszcze żyło kilka setek buntowników, którzy teraz, w ostatnich godzinach, jakby zdziczeli od zapachu końca i porażki

– od tej gorzko-trupiej woni śmierci, gęstymi wo-
alami, podobnie jak poranne mgły u początku zi-
my, lgnącej ku twardej niczym kamień i spękanej
ziemi. Ci maruderzy walczyli teraz podstępniej
i okrutniej niż podczas miesięcy oblężenia, kiedy
to na obu jeszcze liniach frontu widać było ślady
jakiegoś wojskowego planowania. Najwyraźniej i po
tamtej stronie, na froncie z gliny cały porządek uległ
rozpadowi.

Buntownicy jakby oszaleli od świadomości, że
wszystko dobiega końca. Walczyli w jakiejś pijanej
ekstazie, jakby opary krwi, które wdychali, miały
zapach rumu. Wiedzieli, że uchodźcy, których te-
raz już dzień po dniu stadami przeganiłi do nas
– tak po prostu, bo przeszkadzała im obecność wy-
głodniałych, jęczących z pragnienia kobiet, star-
ców, malców – staną się ofiarami „oczyszczania”:
to było to cyniczne, fachowe słowo, którym nasi wi-
tali kościotrupie zjawy, chwiejnie wyłaniające się
z jam Canudos. Po „oczyszczaniu” zwłoki jeńców
pozostawiano leżące wzdłuż drogi, a potem – zwy-
kle co drugi–trzeci dzień – układano stos z trupów,
które paliły się, trzaskając, i przypominały raczej
trawione tropikalnym słońcem stwardniałe, popę-
kane skóry wołu niż ludzkie ciała. I po tamtej stro-
nie wiedziano, że „oczyszczanie” jest dla naszych
jedynie żmudną robotą, wykonywaną bez specjal-
nego rozkazu z góry, za wiedzą przymykających
oczy przełożonych. To wyrzynanie – bliskie pełnej
nudy mitrędze – nie było już ani widowiskowe, ani
ekscytujące. W miarę możliwości oficerowie nie po-
kazywali sprawozdawcom wojennym stosów kości.
Lecz nawet bez pokazywania o tej ohydnej rozryw-
ce wiedzieli wszyscy – wiedzieli w obozie, a także
po przeciwnej stronie. Było to coś takiego, jakby

jedni przeciw drugim walczyli już nie ludzie, ale zwierzęta z pustkowi, hieny i pumy.

Na początku bowiem, w czasie ekspedycji Moreiry Césara – osiem miesięcy wcześniej, w lutym – ci dzicy ludzie walczyli, wykazując się zaskakującą wiedzą strategiczną. Za basztami Starego Kościoła w Canudos, z kwatery głównej buntowników, dowódcy kierowali manewrami *jagunços* w zgodzie z wojskowymi wytycznymi. To był czas, kiedy rząd jeszcze wierzył, że Canudos – i wszystko, co działo się w okolicy „Świętego Miasta” – nie jest niczym innym, jak tylko zakłócaniem porządku przez fanatyczne, sekciarskie hordy, które da się złamać przy użyciu samej żandarmerii. W trakcie zdumiewającej wojskowej katastrofy drugiej ekspedycji Moreira César i jego adiutant przyboczny, pułkownik Tamarindo – dowódcy dobrze uzbrojonych oddziałów i baterii dział – zginęli jeszcze tak, jak wojownicy tracą życie na polu działań wojennych, w walce przeciw żołnierzom. Moreira César otrzymał postrzał w brzuch, jednak nawet gdy już konał, wciąż jeszcze nie rozumiał, jak możliwa jest ta przegrana w bitwie, jakimż to sposobem jakaś niezorganizowana banda rabusiów mogła rozgromić nowocześnie uzbrojone wojska republiki? Mimo wszystko, druga ekspedycja uległa zagładzie, tak jak pierwsza i – kilka tygodni później – trzecia, kiedy udział w starciu wzięły już także osły marszałka Bittencourta. Oddziały, maszerujące w czwartej ekspedycji po bezdrożach prowadzących ku Angico i Monte Favela, napotykały czaszki poległych bohaterów republiki, setek żołnierzy regularnego wojska. A z niższej gałęzi jednego z drzew kauczukowych zwieszała się straszna, zniekształcona figura: resztką, jaka pozostała z wyschniętych do

kości zwłok i munduru pułkownika Tamarindo. Mimo wszystko wciąż jeszcze było to „prowadzeniem wojny” – nie tyle podług zasad znanych ze szkoły kadetów, ile raczej według praw pustkowi, jednak „prowadzeniem wojny”.

Teraz, piątego października, nie pozostało z tego nic, tylko rzeźnicka robota. Obrońcy Canudos nocami kopali groby i strzelali z tych dołów, żeby potem, jeśli by dosięgła ich kula, od razu mogli się położyć do własnoręcznie wykopanych mogił. W ostatnich godzinach żołnierze oraz ci, co z bandy *jagunços* pozostali żywi, wycinali się wzajemnie w sposób tak mechaniczny i bezcelowy, jak kiedy u końca wyprawy myśliwy wystrzeliwuje resztę naboji. Już nie chcieli „zwyciężyć” – bo, choć mgliście, to jednak wszyscy podejrzewaliśmy, że to, co dzieje się teraz, nie jest „zwycięstwem”, lecz jedynie końcem czegoś niedorzecznego i haniebnego – żołnierze i buntownicy chcieli już tylko zabijać, zabijać, jeszcze raz, do ostatniego naboju. W tych godzinach bojownicy byli niczym dzieci, które nie potrafią zaprzestać jakiejś podłej zabawy – torturowania ptaka czy innego podobnego okrucieństwa – bo instynkt zabawy jest silniejszy od rozumnego, celowego działania.

Nie wiem, co tam, w Europie żołnierze myślą podczas zabijania, kiedy potężne, wykształcone, kulturalne narody toczą wojny. My tutaj na pustkowiach, w Canudos, zabijamy nader prowincjonalnie, niczym dzieci i dzicy ludzie. A ostatniego popołudnia jakbyśmy wszyscy zrozumieli, że prawdziwym celem tych niezliczonych potworności, jakie w minionych dziesięciu miesiącach miały miejsce tu, na pustkowiach, było nie „zwycięstwo”, lecz możliwość, by z dala od wszelkiej cywilizacji raz a porządnie oddać się zabijaniu. Może taki jest

prawdziwy cel i sens każdej wojny?... Na to pytanie potrafią odpowiedzieć jedynie mądrzejsi, bardziej wykształceni i kulturalni ludzie.

*

Po południu około piątej, w środkowej szopie wającego się folwarku wybudowanego na planie prostokąta, z niezadaszonym podwórzem pośrodku, z budynkami z gliny zmieszanej ze słomą, oficerowie i szeregowcy mimo wszystko sklecieli z pozoru coś, co wyglądało jak pomieszczenie urzędowe. Pewien *cabra* – ciemny typ, miał lśniące czarne oczy zwierzęcia, mógł być mieszanym dzieckiem z krwi mulackiej i murzyńskiej¹ – posuwając się tajemniczym, uroczystym krokiem, ruchami z pogańskiej liturgii, wtaszczył do środka miedziane naczynie podobne do kotła. Obiema rękami uniósł wysoko metalowy gar z grubą ołowianą pokrywą i uśmiechając się butnie i triumfalnie, szyderczym wzrokiem rozejrzał się dokoła, jak ktoś, kto szuka honorowego miejsca dla trofeum. Ten osobnik – ordynans przydzielony marszałkowi Bittencourtowi do osobistej służby – był stworzeniem wysokim na dwa metry, z wyglądu przypominającym goryla. Na pytanie, co jest w kotle, odpowiedział niezrozumiałymi wykrzyknikami. Metalowy gar ostatecznie postawił na końcu stołu, blisko mnie. Z naczynia, spod ołowianej pokrywy, wydobywał się odurzająco-mdlący, słodkawy aromat miejscowego rumu, zwanego *teimosa*. Zapach sprawił, że wszyscy zaczęli węszyć, spragnieni. Oficerowie i szeregowcy okrażali naczynie, spoglądając na nie spod na wpeł

¹Potomka Murzyna i Mulatki lub Mulata i Murzynki nazywano w Brazylii *cabra* – z port. „koza”.

przymkniętych od zmęczenia powiek, rozdymając nozdrza. Lecz *cabra*, niczym jakiś murzyński fetyusz, trwał groźnie na straży; na karabin o długiej lufie nałożył bagnet i z szeroko rozstawionymi nogami stał przy buchającym oparami rumu, tajemniczym garze, jak na honorowej warcie.

Murzyni milczał, za to w szopie zapanowała atmosfera pełna nadziei, wymieniano pomruki i snuto domysły: krzątając się przy zamiataniu, ludzie przętykali ślinę, spragnieni, i zgadywali, że w metalowym garze jest rum – tego zapachu nie można było pomylić z żadnym innym – i dzisiaj wieczorem, na cześć ostatecznego i całkowitego zwycięstwa, marszałek poczęstuje dziennikarzy tym trunkiem... Po jednym kieliszku dostanie się potem i nam – wszystkim – którzy jesteśmy dzisiaj naoczniymi świadkami wielkich wydarzeń, na własne uszy usłyszymy, jak podadzą oficjalny komunikat o zwycięstwie w Canudos. Pewien major artylerii – Aristides Rodrigues Vaz, dowódca siódmej baterii artylerii, który jedno ramię miał zabandażowane, gdyż został zraniony przed kilkoma tygodniami, kiedy to podczas nocnej napaści tamci z Canudos zrabowali mu dwa działa Kruppa – ochryple tłumaczył kapitanowi Lauriano da Costa, dowódcy czternastego plutonu piechoty odkomenderowanego do egzekucji jeńców, że na cześć zwycięstwa wieczorem każdy dostanie rumu, a potem zaczniemy *serenar na dança*, taniec o posuwistych, cichych krokach... Tak sobie żartowali. Lecz jednocześnie nie przestawali zerkać na miedziany gar. Dlatego *cabra* ścisnął broń dwiema rękami i w groźnej, gotowej do ataku postawie trzymał straż przy tajemniczym kotle.

Ludzie starali się wykazywać gorliwość w urzędowej służbie, lecz wszystko wyglądało też tak, jak-

by na wieczór szykował się bal, *cotillon*, ludowa zabawa. Środkową część szopy zamieciono i pomiędzy dwoma oknami, przy ścianie, ustawiono stół wsparty na krzyżakach. Przyniesiono również krzesła, kilka tuzinów – Bóg jeden wie skąd – a na ścianie za stołem przybito gwoździami wielką wojskową mapę. Mapa przedstawiała Canudos i okoliczne góry, a także przełęcze, wyschnięte koryta górskich potoków i skrawki pól, tajemne przejścia, dzięki którym buntownicy w minionych miesiącach pozostawali w kontakcie z leżącymi poza granicą pustkowi miastami, wsiami – z Piauí, Ceará i Sergipe – skąd współdziałające z nimi karawany przywoziły żywność i amunicję. Pośrodku stołu ustawiono dwie umocowane w puszkach po konserwach kościelne świece, grube jak ramię dziecka, oraz półmetrowy krucyfiks. Wszystko to było tak osobliwe, jakby owe przygotowania miały miejsce wcale nie w pobliżu pola bitwy, lecz w jakimś obozowym teatrze, gdzie ci, co pełnią dyżur, przesuwają parawany i rekwizyty.

Kiedy zakończono ustawianie stołu, krzesel i ławki, a także powieszono mapę, na rozkaz kapitana José Lauriano da Costa trzech podoficerów wypełniło długi stół wsparty na krzyżakach przedmiotami, które na pierwszy rzut oka przypominały raczej resztki towaru z targowiska na krańcu wioski, gdzie handluje się starzyzną i tandetą: przyniesiono dwa bukłaki na wodę, *bogós*, wykonane z popękanej, wysuszonej skóry wołu, torbę myśliwską, *aió*, wydłubaną scyzorykiem z kłującej i twardej skorupy kaktusa, rosnącego na stromiznach, po których spływają wody opadowe, wpleciony z trzciny kosz na żywność, *girão*, jaki w zamieszkiwanych przez tamtych z Canudos norach zwisał u sufitu

na sznurze z sitowia – w ten sposób chroniono przed gryzoniami i łakomymi dziećmi czy pasożytującymi starcami skromne racje żywnościowe oraz przyprawy. Teraz, kiedy żołnierze wyłożyli na długi stół te mocno sfatygowane przedmioty codziennego użytku, rzucało się w oczy, jakimi oberwanymi żebrakami byli przeciwnicy. Bo nic innego, żaden stworzony na potrzeby człowieka przedmiot – tutaj mieliśmy na to dowód – nie pozostał już w jamach, które zamieszkiwali.

Tylko broni mieli dużo, w bród. Większość złupionych narzędzi do zabijania nie pomieściła się na stole. Dwóch odznaczonych medalami starych wojowników – major Afrodísio Borba oraz kapitan Leopoldo Barros e Vasconcelos, którzy już podczas drugiej ekspedycji służyli w sztabie generalnym, byli przybocznymi adiutantami dowódcy, Artura Oscara de Andrade Guimarãesa – ze znajomością rzeczy wybrało co rzadsze sztuki i zadysponowało, by szeregowcy ułożyli tę broń w stosach na stole i wokół jego krzyżaków. Ta ważniacka gorliwość przypominała nastrój, jaki panuje na koniec roku szkolnego, kiedy szykuje się pożegnalna uroczystość i nauczyciele nakazują uczniom, żeby ułożyli na podium prace egzaminacyjne, przedmioty wykonane na *slöjd*¹ oraz nagrody książkowe. Dowódca kazał przynieść te trofea dla prasy – dlatego my, pozostali, którzy rzadko widywaliśmy uzbrojenie i bagnety wroga z takiej bliskości, zerkaliśmy na nie z nabożnym szacunkiem. Bo prawdę mówiąc, nie byłem jedynym w szopie, który w minionych

¹ *Slöjd* (szwedz.) – lekcje wychowania technicznego, prace ręczne w szkołach; idea wychowania przez prace ręczne narodziła się właśnie w Szwecji.

dziesięciu miesiącach nie trafił na czoło walki i nie wahał prochu.

Zatem szeregowcy układali w rzędach na stole i na podłodze wszystko, co z Canudos trafiło w nasze ręce. Była tu broń kulowa o długiej lufie, za pomocą której można było dokładnie celować – w minionych miesiącach te skonstruowane do strzałów na dużą odległość austriackie mannlichery zgasiły życie wielu setek naszych dobrych żołnierzy. Na pokaz wyłożono kilka sztuk *braga regular*¹ – jak nazywano staromodne muszkiety – prymitywnej, lecz niebezpiecznej broni, z której buntownicy strzelali w ciemności bez celowania, na chybił trafił. Ta broń palna o lejkowatym wylocie rzucała kulami wokół, wydając przy tym huczący, złowieszczy odgłos niczym ptaki nocy. Po raz pierwszy zobaczyłem teraz z bliska *trabuco* – z niego można było strzelać również kamieniami. I była też taka broń myśliwska, na której osadzie, kolbie, buntownik zaznaczał rowkami każdego kolejnego zabitego przeciwnika – z tej broni bandyci strzelali do oblegających odłamkami szkła. Nasi ludzie lękali się jej, bo odłamki szkła wnikały w ciało głębiej niż metalowe kule i powodowały bardziej podstępna, bolesniejszą ranę.

José Lauriano da Costa, nie bez przyjemności przebijając w łupach, ułożył w jednym z rogów stołu stos słynnych srebrnych kul, legendarnej amunicji *sertaneios*². Wielu z nas – także ja – pierwszy

¹ Właśc. *legítima de Braga* (port.) – rodzaj gładkolufowej broni używanej dawniej w Brazylii.

² *Sertaneios* (port.) – mieszkańcy *sertão*, sertonów, dzikich, półpustynnych pustkowi w północno-wschodniej Brazylii.

raz zobaczyło teraz te nieprawdopodobne, chełpliwie zbyt kosztowne przedmioty ze srebra – dowód na to, że nasi wrogowie, ci dzicy ludzie, nie mieli zbyt wysokiego mniemania o złocie i srebrze. Prochu strzeleckiego byli w stanie wytworzyć co niemiara, jako że bruzdy i ślady podków na wyschniętych pastwiskach wokół pustkowi pełne były saletry. Ale wystarczającej ilości metalowych kul, profesjonalnej amunicji wojskowej nie dowoziły nawet pirackie karawany z zaopatrzeniem. Dlatego – a może też i z innych powodów – kiedy zabrakło ołowiu i blachy z puszek po konserwach, kule odlewano ze srebra. Jakby ci sekciarscy szaleńcy chcieli wykazać pogardę wobec szlachetnych metali, które ludzie uważają zwykle za tak bezmyślną, zabobonną gorliwość. Ta odlana ze szlachetnego metalu amunicja stanowiła zaskakujący widok tutaj na stole w szopie: gapiąc się na ułożone w stos srebrne kule, oficerowie i szeregowcy nabożnie mrużyli oczy. Być może trafił się pośród nas taki, co na widok srebrnej amunicji pomyślał, że ludzie, którzy z tak demonstracyjną obojętnością gardzą srebrem i złotem, nie są zwyczajnymi przeciwnikami. Lecz tego nie wiem na pewno.

Broń palną rozmieszczono w sposób pokazowy, następnie ordynansi, pod nadzorem dowódcy, wyłożyli na stół narzędzia, stanowiące broń białą buntowników, noże szturmowe, bagnety i dzidy. Staaliśmy wokół długiego stołu i gapiliśmy się z rozwartymi ustami, bo żaden z nas nie widział tak osobliwej wystawy jak te ostrza, pordezewiałe od krwi. Major Borba, który osobiście walczył w ślepych uliczkach Canudos i wyróżniał się, gdy trzeba było dowodzić potyczkami w zaułkach, pouczającym tonem tłumaczył kapitanowi Leopoldo Bar-

ros e Vasconcelos, w jaki sposób buntownicy używali tych narzędzi do zabijania o osobliwym kształcie. Podniósł wysoko nóż o szerokim ostrzu i nauczycielskim tonem wywodził, że to jest *jacaré*, z którym tamci z Canudos podczas nocnych ataków – kiedy w szerokich nie więcej niż na wyciągnięcie ramion ulicach o murach wzniesionych z gliny zmieszanej ze słomą dochodziło do walki wręcz – rzucali się na naszych żołnierzy. To był ten słynny i wzbudzący bojaźń nóż „aligator”, o którym nasi mówili z ciarkami na plecach, bo buntownicy nieprawdopodobnie szybko obracali owym dwusiecznym ostrzem, które głęboko wnikało w ciało przeciwnika – zawsze w okolice brzucha, gdyż chodziło o tak brawurowy cios, żeby w następstwie mistrzowskiego dźgnięcia kiszki ofiary wylały poprzez obły, głęboki otwór zadanej rany i wypadły jej pod nogi.

Takimi dzikusami byli ci mieszkańcy jam w Canudos. Kręcąc głowami, z respektem pełnym konsternacji przyglądaliśmy się tym złupionym nożom. Jakbyśmy wcale nie walczyli z żołnierzami... lecz mimo wszystko nie można było zaprzeczyć, że ci dzicy ludzie zorganizowali swego rodzaju wojskowy porządek. Nabita ołowianymi opilkami maczuga, inna prymitywna i okrutna broń do walk w zaułkach Canudos, była właściwie narzędziem zbójckim, pałką z główką, pochodzącą z arsenału kijów używanych przez *vaqueiros*, pastuchów pędzących byki. Major Borba przedstawił jeszcze kilka takich zdumiewających przykładów broni dzikusów – i te różnego rodzaju strzelby, muszkiety, noże i topory były też niczym pokazywane w muzeum etnograficznym znaleziska, wykopaliska z czasów człowieka pierwotnego. Ale było w nich też coś innego... I teraz, pięćdziesiąt lat później, gdy przywo-

luję wspomnienie tamtej godziny, o owych prymitywnych narzędziach do zabijania nie potrafię myśleć inaczej niż z litością. Jakby w tym zbójckim arsenale był jeszcze ślad jakiejś wypaczonej humanitarności... W minionych dziesięcioleciach, kiedy nauka i technika ogromnie się rozwinęły w innych częściach świata, udoskonalily się też rekwizyty strategii wojennej, a kolorowe pisma, radio i kino przyniosły również do nas, do Brazylii wieść o nowych, doskonałych wynalazkach służących do zabijania. Jesteśmy zacofanym krajem, cywilizacja pomału toczy się ku nam z dalekich, rozwiniętych krajów. Te doskonałe narzędzia zagłady – bomby, które usuwają całe miasta, następnie miotacze ognia, czołgi, Bóg jeden wie jakie inne cudowne, diabelskie maszyny – wówczas jeszcze nie istniały i broń dzikich ludzi z Canudos stanowiły tak prymitywne narzędzia do zabijania, jak maczuga czy proca człowieka epoki kamienia. Lecz ta broń z Canudos była jeszcze ludzka... Kiedy *jagunço* za pomocą muszkietu lub noża „aligatora” zabijał człowieka, to jeszcze podejmował się czegoś osobiście, oko w oko... tak, podobnie jak Kain, gdy jednym ciosem zabił Abła. Każde morderstwo jest bratobójstwem... o tym też nie mogłem nie pomyśleć w dużej szopie Folwarku Wikariusza, kiedy przyglądałem się złupionemu arsenałowi Canudos. Wszyscy byliśmy dzikusami, na skraju *caatingi*, przy końcu ubiegłego wieku, w Brazylii... ale w pewien sposób wciąż jeszcze byliśmy ludźmi, ponieważ za pomocą tej broni jeden człowiek był w stanie zabić naraz co najwyżej jednego człowieka. Od tamtej pory i to się zmieniło: jak słyszałem, teraz już wszystko jest prostsze i praktyczniejsze. Jednak w minionych dziesięcioleciach musiałem niekiedy

pomyśleć o tym, że czym innym jest, gdy brat zabija brata, a czym innym, gdy jedna statystyka dokonuje zagłady drugiej statystyki. Lecz oto pióro znów mi gdzieś pomknęło, bo przecież to już tu nie przynależy. Muszę uważać – cóż, starość jest gadatliwa.

*

Nie oszukujmy się: to, co major Borba rozmieścił na stole, w rzeczywistości nie było niczym innym jak uzbrojeniem bandy gotowych na wszystko rabusiów. Niemal nic oprócz tego nie mieli – w ostatnich tygodniach oblężenia nasi żołnierze nie złupili w domach z gliny i słomy niczego prócz przedmiotów służących zbuntowanym praludziom do zaspokajania zwyczajnych potrzeb bytowych. To, co wydobyto z błotnistych jam, nie stanowiło etnograficznej rzadkości. Jako że w Canudos zabronione były własność prywatna i wszystko, co służyło wygodzie – bliskość Armageddonu, głoszona przez ich wodza, Antônia Doradcę, nakazywała, aby członkowie społeczności żyli podług uregulowań przypominających eksperyment komunistycznego społeczeństwa pierwszych chrześcijan – lud w Canudos w norach, gdzie mieszkał i które własnymi rękami, w pośpiechu wybudował, zrezygnował nawet z użyteczności łóżek i stołów. To „chrześcijaństwo”, istniejące tutaj we krwi i smrodzie, przy braku jakiegokolwiek mienia oraz w psychicznie chorej ekstazie, nie tolerowało niczego, co wedle powszechnej zgody różnorodnych cywilizacji ułatwia czy też upiększa życie. Nie tolerowało także tego, co wspólnoty prymitywnych ludów nazywają „sztuką”.

Teraz, kiedy żołnierze w pokazowym, bazarowym porządku wyłożyli na stół – obok broni i naj-

bardziej niezbędnych przedmiotów użytkowych – tę odrobinę, którą znaleźli w lepiankach, trafiło się w sumie ledwie kilka pudełek z drzewa cedrowego, w których kobiety przechowywały niewyraźnie wydrukowane, kolorowe święte obrazki, świece ołtarzowe i naiwnych, wyrzeźbionych z drewna lub kości, prymitywnych, zezowatych świętych Antonich i wymalowane pstrokatymi kolorami Maryje Panny. Jednak przedmiotów kultu, religii, pochodzących z domowych ołtarzyków mieszkań – nor w Canudos, nie można było porównywać z pokazywanymi w muzeum indiańskimi pogańskimi fetyszami z czasów prekolumbijskich. Tamci z Canudos nie mieli potrzeby, żeby swą religijną fantazję ożywiać artystycznymi rzeźbami i obrazami. Eucharystia była dla nich dziką uroczystością – dosłownie świętem Ciała i Krwi.

W pudełkach z drzewa cedrowego żołnierze znaleźli spisane na pożółkłych skrawkach papieru o pozwijanych rogach, rojące się od błędów ortograficznych prorocstwa i epileptyczne teksty – wyciągi z mętnych przepowiedni, bełkotliwych kazań Doradcy. Wierni powierzali kopiowanie owych skrawków papieru nielicznym osobom, które posiadały umiejętność pisania, i wszędzie te skrawki ze sobą nosili, niczym fetysze. W większości nie umieli ani pisać, ani czytać, jednak w przepelnionych oszołomieniem przepowiedniach czuli magiczną siłę Litery.

Owe strzępy papieru informowały o tym, że te nieszczęsne istoty, wegetujące na sposób zwierząt w puszczy, nawet i tutaj – pośród błota i ludzkich odchodów – wierzyły w potęgę Pisma, utrwalonego Słowa, w biblijną moc, która głosi, że na początku było Słowo i że jest Ono silniejsze od Ciała. Wierzy-

li, że Słowo jest czymś ważnym, czego należy strzec – ważnym nawet wówczas, gdy go nie rozumieją i gdy wcale nie da się go wytłumaczyć rozumem. Te bełkotliwe ulotki kopiowali z pomiętych, pobrudzonych notatników Doradcy ci, którzy w Canudos znali się cokolwiek na pisaniu i czytaniu. Doradca własnoręcznie zapisywał w takich zeszytach tekst, który potem wygłaszał po wieczornej wspólnej modlitwie. Kiedy nasi żołnierze znaleźli ciało Doradcy, przeszukali kieszenie brudnej, ciemnoniebieskiej tuniki zmarłego i znaleźli kilka takich notatników. Dowody te leżały teraz na stole, wypełnionym wojennymi trofeami, wśród zakrzywionych noży i muszkietów. W chwili gdy nikt nie patrzył w moją stronę, pośpiesznie zmiąłem i wcisnąłem do kieszeni jeden z tych podniszczonych, brudnych notatników.

Innych rzeczy – broni, przyborów liturgicznych czy też pieniędzy – nie znaleziono w habicie Doradcy. Nie nosił na swym ciele niczego prócz szorstkiej tkaniny, z jakiej uszyto ten habit. Nie miał w kieszeni noża czy łyżki, żadnego przedmiotu użytkowego. Ten Wędrowiec był zawsze gotowy do wielkiej Drogi, kiedy wyruszy do Nieba, bo nastąpił koniec Ziemi, nie ma tu już nic do zrobienia – poza tym tylko, żeby swych wiernych, uratowanych przed zagładą, poprowadzić na Tamten Świat. Łup, który nielegalnie przywiozłem z Canudos, do dzisiaj jest ze mną – nawet po upływie dziesięcioleci nie miałem odwagi, by ten brudny notatnik wyrzucić na śmietnik. Nie jestem zabobonny, ale możliwe, że przedmioty użytkowane przez zabobonnych ludzi czy też ich odręczne pismo mogą zarazić tego, co takiej rzeczy dotknie, zachowa ją... tak samo jak ateści, w sekrecie, gdy nikt ich nie widzi,

wciąż jeszcze wzdychają do świętych, żegnają się. Na pożółkłych stronach zeszytu nadal można przeczytać poszczególne wersy, choć ołówek już wyblakł. Są to linijki zapisane kuchenną portugalszczyzną, mętnymi sformułowaniami. Czymś takim na przykład: „Dlatego powiadam wam, że kiedy jeden lud zabijać będzie drugi... Wówczas przybędzie przez ocean Dom Sebastião ze wszystkimi swoimi wojskami...”. Inny wers: „Kres tej wojny nastąpi wtedy, gdy miecz Dom Sebastião uwolni ten lud od jarzma Republiki...”. Trzeci wers: „W 1899 woda stanie się krwią i Ziemia pójdzie do Nieba”. Rację miał święty Paweł, gdy mówił, że Bóg wybrał sobie głupców świata... Potem, ilekroć sięgałem myślą wstecz do Canudos – a też słyszałem, czytałem później to i owo o tym, co wydarzyło się w minionym półwieczu – przypominały mi się owe zwariowane prorocтва Doradcy. W takich momentach wyciągałem pożółkły notatnik i tak naprawdę nie potrafiłem wyśmiać tego szaleńca, który wówczas, dawno temu – w jednym z ciemnych, północno-wschodnich zakątków Brazylii, na pustkowiach – wierzył, że i jego wybrał sobie Bóg... W młodości jeszcze tego nie pojmowałem, ale teraz już wierzę i rozumiem, że w ludzkich sporach obsesja jest co najmniej tak samo potężnym Doradcą, jak zdrowy rozum.

W chwili gdy śpiesznym ruchem schowałem do kieszeni notatnik Doradcy z Canudos, nie myślałem jeszcze o tym. Zasalutowałem, jak i pozostali, bo przed bramą folwarku piałą już trąbki. Warczały też bębny, meldowały, że przybył dowódca wraz ze switą i gośćmi. Wrzawa opadła gwałtownie, bębny i trąbki zamilkły jakby na znak ręki dyrygenta. Ta zastygła cisza była bardziej odczuwalna niż wcześniej rozhlukany zgiełk i bazarowy rejwach. Później

wspominałem, że w pełnym napięcia i niepokoju momencie, gdy nagle zapanowała cisza, czułem naiwny, płynący z serca żal – jakbym głupio ubolewał nad tym, że kończy się to szaleństwo. I jednocześnie czułem też smutek i lęk, jak ten, co się boi, że teraz przemówi Trzeźwy Rozum – a to może być również niebezpieczne. Albowiem choć szaleństwo jest straszne, to jednak jest w nim coś ludzkiego, żywy Chaos. We wszystkim, co rozpoczęło się od momentu przybycia marszałka, nie było już nic ludzkiego, jedynie gorliwa krzątanina Systemu.

*

Marszałek Bittencourt przybył w licznej eskorcie żołnierzy i cywilów. Po obu stronach towarzyszyli mu przyboczni adiutanci, którzy na tę okoliczność najwyraźniej ubrali się galowo: przypięli ordery, niektórzy naciągnęli nawet białe rękawiczki giemzowe, wywołujące tutaj na dzikich pustkowiach osobliwe wrażenie, jak gdyby ktoś w puszczy wyrafinowanymi słowami zagadnął pumę. Ale nie tylko oficerowie byli tak wymuskani i odświętni: w świecie marszałka przybyły także znakomitości w strojach cywilnych, kilku dyrektorów departamentu w ministerstwie wojny – wszyscy odziani na czarno, jakby i tutaj na pustkowiach kierowali jakimś departamentem. Po prawej stronie marszałka kroczył słynny chirurg z São Paulo, który – jak niosła wieść – przybył tu, dlatego że na miejscu chciał studiować rzadsze, efektowne rany, ponadto ciekawiło go, jako fachowca, na ile prawdziwe są pogłoski, podług których nasi żołnierze wysyłają jeńców na tamten świat przez rozplatanie brzucha. Przynajmniej tak przebąkiwano w obozie.

Pośród wielkomięjskich znakomitości towarzyszących marszałkowi nieopodal szańców Canudos

wyróżniał się stary kapłan z fioletowym *cingulum*¹ – szanowana i sławna osobistość dawnej stolicy, arcybiskup Bahii, który przed laty, kiedy zaczęło się to zakłócenie porządku w Canudos – jeszcze w czasach cesarstwa – wystosował list okólny, skierowany przeciw Doradcy i jego zwolennikom. Lecz nawet sprzeciw Kościoła nie był w stanie przeszkodzić fanatykom w zbudowaniu Canudos. U szyi staro arcybiskupa na grubym złotym łańcuchu zwiślał krzyż z kości słoniowej, i hierarcha od czasu do czasu niepewnie unosił wysoko bezkrwistą, kościastą rękę, jakby skonsternowany sam już nie wiedział, co byłoby bardziej wskazane: miałby błogosławić czy przeklinać...

Ponieważ tutaj, w miejscu, gdzie na rozkaz pewnego szaleńca dyletancy chrześcijanie zbudowali jakąś deliryczną wizję, nazywaną przez tych buntowników – jakby pod wpływem cesarzy – Świętym Miastem, arcybiskup rozglądał się wokoło zmieszany i przestraszony, niczym fachowiec, który wreszcie widzi z bliska straszliwe zbrodnie partaczy. Ale w jego konsternacji był też lęk, jak u kogoś, kto pojmuje, że religia to nadzwyczaj niebezpieczna energia. Pod koniec pierwszej wojny światowej przeczytałem w gazecie żartobliwie poważną wypowiedź pewnego europejskiego męża stanu, który stwierdził, iż wojna to na tyle poważna sprawa, że nie można jej powierzyć wojskowym². Tamci z Canu-

¹ *Cingulum* (łac.) – wełniany lub lniany sznur, skręcony i często zakończony frędzlami, jakim kapłan w kościele katolickim przepasuje albę.

² „Wojna to nazbyt poważna sprawa, by powierzyć ją wojskowym” – słowa George’a Clemenceau podczas konferencji pokojowej w Paryżu.

dos myśleli coś podobnego, kiedy nie oddawali religii w ręce księży. I arcybiskup teraz, naprzeciw Canudos, mrużył oczy, zmieszany. Bo przecież sprzeciwy ze strony Kościoła, klątwy pozostały tu na pustkowiach równie nieskuteczne, co wydawane niegdyś dla pozorów policyjne zarządzenia władz cywilnych. Penitencje, jakie na zgromadzeniach z kazaniem Doradcy nakładano po wygłoszeniu prorocत्व, wierni przyjmowali bez żadnego sprzeciwu: rozkopywali stare cmentarze i w miejsce grobów, z kradzionego marmuru, wznosili kaplice i sanktuaria wotywnie.

Kamieniarze i stolarze – także ci, co nie należeli do odurzonej bandy Doradcy, rzemieślnicy z okolicznych wiosek – za darmo pracowali dla tamtych z Canudos. Bezdonna hołota, włóczędzy z pustkowi posłusznie znosili kamienie potrzebne do budowy. Bogacze z pobliskich miast i latyfundiów dobrowolnie przekazywali przedmioty do urządzenia kaplic, sanktuariów... Arcybiskup zaś wiedział, że jego kapłani milczą, patrzą przez palce na te partackie, heretyckie awantury, bo *jagunços* łaskawie pozostawiali księżom opłaty za chrzty, pogrzeby, śluby, podatki kościelne. Dlatego teraz, w godzinie zwycięstwa, arcybiskup rozglądał się zmieszany i czasem niepewnie, w przestachu unosił żółtą, wysuszoną rękę. W końcu splótł ramiona na piersi i zaciskając bezkrwiste, wąskie usta, w milczeniu stał po lewicy marszałka. Widać było, że czuł się urażony: był ucieleśnieniem inkwizycji, pozostała po niej na pamiątkę postacią, która uważa ten przykry epizod w Canudos, tę wypaczoną, zwyrodniałą parodię sekciarstwa i herezji za zamach na jego własną osobę i kościelne dostojeństwo. Niekiedy, w zapomnieniu, marszczył brwi, jakby przypominał sobie czasy, gdy stos był jeszcze praktyką

administracyjną. Lecz teraz już Canudos w całości nie było niczym innym jak stosem, dymiącym ospale cierpkim fetorem. Może i o tym myślał, bo od czasu do czasu uśmiechał się z roztargnieniem.

Wybitne osobistości miasta i sprawozdawcy wojenni przybyli nocą specjalnym pociągiem na pobliską stację Queimadas. O świcie ogolili się, bez pośpiechu zjedli śniadanie w wagonie restauracyjnym tego specjalnego pociągu, a potem na oddanych im do dyspozycji, zaprzężonych w muły wozach przytoczyli się tutaj, by stać się naoczniymi świadkami tego, jak na pustkowiach rząd organizuje końcową uroczystość.

Rząd bowiem najwyraźniej dlatego – kilka godzin przed zaplanowanym, kończącym wszystko marszem z nożami szturmowymi, przed „oczyszczaniem” – sprowadził tutaj gości. Dlatego zorganizował konferencję prasową na miejscu wydarzeń. Canudos było w minionych dziesięciu miesiącach „terenem zamkniętym”, gdzie nikomu obcemu nie pozwolono przyrzeć się owym zjawiskom. Canudos było straszną wojną dzikiego, przepelnionego ciemnymi namiętnościami plemienia o mieszanej krwi, wojną, przy której nie potrzebowano obcych świadków. Lecz teraz, kiedy wszystko się skończyło, rząd pozwolił, żeby przyjechali tu obserwatorzy z miasta – jakbyśmy byli po *corridzie*, kiedy *chulos* już wywlekli zdechłego byka, *banderilleros* zapędzili za ogrodzenie konie przeszyte rogami, zakrwawioną ziemię maneżu posypuje się piaskiem, a publiczność studzi własną żądzę krwi lizaniem łódów... *Chulos* i *banderilleros* w Canudos – teraz, pod koniec tej strasznej gry w *corridę* wolno to już wypowiedzieć – byliśmy my, federalni żołnierze. A ofiarą był lud Doradcy, mieszkańcy Canudos.

A ponieważ w miesiącach ekspedycji przeciwko Canudos brazylijska ziemia wypełniła się legendami, najwyższe władze z pełnym zdecydowaniem zabrały się do tego, by – nim jeszcze oficjalnie, w rozumieniu wojskowym, zakończy się to zakłócenie porządku – wyplenić wszelkiego rodzaju mity. To dlatego do Folwarku Wikariusza marszałek przybył z zaproszonymi wojskowymi i cywilami. Dlatego ściągnął tutaj dziennikarzy, którzy dotąd jedynie z porządnej odległości, z Queimadas i Monte Santo mogli obserwować oblężenie Canudos – bo rząd chciał, żeby świat dowiedział się, że na pustkowiach powrócił Porządek i znów działają tam Demokracja i mechanizmy Cywilizacji. Niech telegraf w Queimadas poniesie w świat wieść – tego pragnęli w Rio – że w historii triumfującej, młodej brazylijskiej Republiki Canudos nie było niczym innym, jak tylko nieszczęśliwym wypadkiem administracyjnym. I niech brazylijski lud, jak i zagranica, uwierzą, że Republika ma bezwzględna moc, by stworzyć ład, że moralna i materialna przewaga Cywilizacji złamie buntowniczy instynkt ludzi pustkowi... Tak to zaplanowano na górze.

Chyba dlatego towarzyszące marszałkowi i jego przybocznym adiutantom znamienite osoby cywilne ubrały się tak elegancko, jakby miały przyjrzeć się nie owej kupie ludzkiego gnoju, zwanej Canudos, lecz – z lornetkami i kieliszkami do szampana w dłoniach, w Bahii, w pałacu gubernatora – puszyc się niczym pawie na oficjalnej uroczystości. Rzucał się w oczy pewien dostojny mężczyzna o białej brodzie, ubrany w długi, czarny surduty, białą pikowaną kamizelkę i cylinder – rzadki to widok tu na pustkowiach! – i po kilku chwilach wszyscy wiedzieli, że ta wyjątkowa osobistość jest w Rio pre-

zesem wielkiego banku, ponadto patronem związku opieki nad zwierzętami. W każdym razie musiał to być prawdziwy rekin biznesu, bo sprawozdawcy wojenni z szacunkiem rozstępowali się przed nim na boki, a na skiniecie ręki marszałka jeden z ordynansów natychmiast przyniósł dla niego nawet krzesło. Zajmująca się finansami i opieką nad zwierzętami znakomitość o białej brodzie tutaj na pustkowiu – gdzie pieniądz nie miał żadnej wartości praktycznej, nadawał się co najwyżej do tego, by ze szlachetnych metali dzicy ludzie odlewali kule do karabinów, a ochroną zwierząt, tak samo jak dwunożnych istot żywych, nie przejmowano się w najmniejszym stopniu – była zaskakującym fenomenem. Jakby do Canudos przybyły postaci z mitów... A ich śladem – niczym chór grecki w klasycznym dramacie – ciągnął pomrukujący i poszeptujący oddział specjalny: sprawozdawcy wojenni.

Współpracownicy wielkich gazet z São Paulo, Rio de Janeiro oraz innych, zagranicznych tytułów zaprezentowali się bardziej bojowo niż walczący żołnierze. Niektórym z ramienia zwisał aparat fotograficzny w skórzanym futerale, inni przywieźli trójnożne statywy i natychmiast przystąpili do pracy: wyciągnęli urządzenia i na konstrukcjach o bocianich nogach zamocowali baterie aparatów fotograficznych. Następnie z wysoko uniesioną ręką podpalali paski magnezji, aby oświetlić pomieszczenie. Jeszcze inni pośpiesznie zaczęli szperać, przebierać pośród rzadkich okazów łupu z Canudos, rozmieszczonych na wspartym na krzyżakach długim stole. Większość przedstawicieli prasy ubrała się na tę wycieczkę w sposób niemal teatralny. W przeciwsłonecznych okularach, bryczesach, skórzanych kurtkach, dziennikarze krzątali się z pod-

niecenieniem myśliwych, węszących dzikie zwierzę do upolowania. Był pośród nich pewien *geck*¹ w kurtce w pepitkę, z monoklem, dmuchający dymem z grubej hawany i rozglądający się wokół w sposób tak arogancki, jakby przyglądał się spacerowiczom na korso w Rio, podobnie jak zachowują się mężczyźni podpierający ścianę na wieczorku tancecznym, gdy obserwują wirujące pary. I był też jeden taki, co w pierwszej chwili właśnie dlatego rzucił się w oczy, że jego strój nie był ani miejski, ani też sportowo-aktorski. Wyglądał bez mała jak obszarpaniec, miał na sobie zaniedbaną garderobę, jakby wcale nie był dziennikarzem, osobą znającą się na pisaniu, wykształconym, obytym człowiekiem z miasta, lecz postacią, która trafiła tutaj z peryferyjnych dzielnic Rio, z blaszanych domów, spośród ludzi będących wielkomięskimi odpadkami. Ten człowiek natychmiast, od pierwszej chwili niepokojąco wyróżniał się w kolorowej mieszance znakomitości, paradnie przystrojonych żołnierzy i dziennikarzy. Od momentu gdy marszałek i jego świta wkroczyli do szopy, nie spuszczałem z niego oka, ponieważ widać było, że jest tutaj obcy – nie jest takim zawodowym dziennikarzem jak reszta.

Lecz było tak wiele rzeczy wartych obejrzenia, że wkrótce zapomniałem o nim i nie uświadamiałem sobie jego obecności, dopóki nie odezwał się niespodziewanie.

Marszałek odczekał, aż niespokojna z powodu wybuchającej płomieniami magnezji, hałasująca i tłocząca się grupa rozlokuje się w szopie. Wówczas – powoli, z godnością – odwrócił się twarzą do przedstawicieli prasy i uprzejmie zapytał:

¹ *Der Geck* (niem.) – fircyk, lalusz.

– Panowie, czy są pytania?...

Marszałek Carlos Machado de Bittencourt mógł mieć w owym roku pięćdziesiąt pięć–pięćdziesiąt sześć lat – gdzieś w połowie drogi pomiędzy pełnią wieku męskiego a początkowym okresem starości. Był zatem w wieku, kiedy mężczyźni przy poranym goleniu podejrzliwie dotykają namydlonych twarzy, albowiem nie zaskoczyłoby ich, gdyby nocą, podczas gdy spali, w ich życiu podstępnie zaszła rzecz niespodziewana, przypominająca apopleksję: policzek wymierzony przez starość. Nie był otyły, ale pod płaszczem uszytym z alpaki, jedwabście połyskującej tkaniny, przypominającej wielbłądzia sierść, widać było wystający brzuch. (Ten legendarny płaszcz był w obozie niemal tak osławiony, jak niebieska szata przeciwnika, Doradcy). Od sierpnia, kiedy marszałek de Bittencourt przybył do Monte Santo, by przejąć dowodzenie nad oblężeniem Canudos, oblężeniem, które stoczyło się w wojskowy krach i ludzką hańbę, chodził i rozkazywał w tym płaszczu z alpaki. Miał go na sobie, gdy odwiedzał szpitale polowe, gdzie jego obojętność, poprawna i straszna urzędowość, jaką okazywał wobec lirycznego patriotyzmu i ludzkiego cierpienia, były równie obce, co ów przeciwdeszczowy płaszcz, noszony przez tego wysokiego rangą urzędnika niczym swego rodzaju mundur.

Spod płaszcza wystawał brzuch starzejącego się mężczyzny: ów miejski brzuch, tak, owa mieszczańska, cielesna wypukłość, która w Rio, w urzędzie może wcale nie rzucałaby się w oczy. Lecz tutaj w Canudos – w tej godzinie, u kresu pory zimowej, pośród oficerów i szeregowców wyschłych do kości od niedostatków i wojennych mąk – brzuch, który wkroczył teraz do szopy, zarówno we mnie, jak

i w większości obecnych współtowarzyszy niedoli (potem wyznali to także inni) wywołał następujące wrażenie: „Oto i burżuj!”... Nie jestem człowiekiem wykształconym, choć żyję pośród książek. Mimo to muszę powiedzieć, że w tamtym czasie – w ostatnich latach minionego wieku – przy końcu pierwszego dziesięciolecia naszej młodej republiki, określenie „burżuj” znaczyło w Brazylii coś innego niż gdziekolwiek indziej na Zachodzie. To pojęcie nie miało jeszcze takiego obraźliwego, gniewnego wydźwięku. U nas „burżuj” lub bardziej elegancko „burżua” znaczyło w owym czasie co innego niż określenia używane później – z szyderczym, pogardliwym naciskiem – w żargonie zachodnich socjalistów. Także „proletariusz” nie był tym „wojownikiem” czy też istotą „o świadomości klasowej”, jak mówiono o nim na Zachodzie. Nie miał „świadomości klasowej” także dlatego, że w rzeczywistości nie był „prolem” – był *vaqueiro* lub *jagunço*, albo też zwyczajnie *sertaneio*, a zatem człowiekiem, który więcej wspólnego miał z ludźmi swego rodzaju, od których się wywodził, niż ze społeczeństwem, które go otaczało.

I więcej wspólnego miał z przyrodą, pośród której żył i umierał, niż z państwem, co za pomocą swych paragrafów, struktury, instytucji poczęło panoszyć się nad Naturą i ludźmi. Tak jak oligarcha, feudalny posiadacz, mały król pastwisk, jeszcze nie oznaczał wtedy granic swego majątku (nawet dzisiaj trudno w naszych stronach rozstrzygnąć, z pewnością ksiąg wieczystych, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy latyfundium jakiegoś oligarchy...), tak również ludzkie, społeczne granice były w owym czasie zatarte. „Mieszczanin” – w znaczeniu, jakiego używano w Europie – był rzadkim

zjawiskiem w naszym brazylijskim świecie. Człowiek, który nie miał domu mieszkalnego w mieście czy wkładu w banku nie czuł się jak proletariusz, bo nie znał tego socjologicznego pojęcia. W cywilizacji widział nie postęp, awans, a raczej tylko niebezpieczeństwo, zagrażające jego naturalnemu stanowi. Społeczeństwo, otaczające go swymi pełnymi wodorostów moczarami, nie złamało w człowieku pustkowi podejrzania, czy aby wszystkie te zapisane mądrości, jakie biali obcy, którzy zjawili się tutaj przed trzystu laty, utrwalili w księgach, są rzeczywiście prawami prawdziwszymi od bezlitosnych praw rasy, gatunku i natury.

Lecz o tym wszystkim nie powinienem mówić, lepiej pojmują to uczeni. Ja mogę rzec tylko tyle, że marszałek, który w płaszczu z alpaki i z laseczką w ręce wszedł teraz do zamiecionej do czysta szopy Folwarku Wikariusza, żeby na oczach fotografów, podpalających paski magnezji, z widowiskową ceremonialnością zakończyć pewien przykry historyczny epizod, nie był tym *Homo americanus*, o którym piszą badacze ras, człowiekiem z rodzaju indiańskich bękartów zbiegłych niewolników, *canhemboras*¹... I nie wywodził się z cechu białych awanturników, którzy cynicznie wypaczyli hasło konkwistadorów, szyderczo głosząc, że *ultra aequinoctialem non peccavi*² – co uzupełniali tym, że poza graniczną linią zrównania dnia i nocy nie ma „grzechu”, za równikiem są tylko „możliwości”, któ-

¹ *Canhembora* (port.) – indiański zbiegły niewolnik ukrywający się w *quilombo*, osadzie, jakich wiele założyli na niedostępnych terenach murzyńscy uciekinierzy.

² *Ultra aequinoctialem non peccavi* (łac.) – nie grzeszyłem za równikiem.

re biały człowiek może wykorzystać w sposób perwersyjnie okrutny i bezkarny... Lecz nie był też takim prawdziwej krwi „arystokratą” – daremnie dodawał sobie przed nazwiskiem przedimek „de”, podobnie jak pyszniący się swą niebieską krwią Portugalczycy... Kim zatem był? Był mieszczaninem, urzędnikiem – nowym społecznym zjawiskiem w tej okolicy. Był marszałkiem, lecz nie był żołnierzem; nie miał broni, jedynie laseczkę i płaszcz przeciwdeszczowy. I „zwyciężył”, bo tu na pustkowiach zorganizował – za pomocą tysiąca osłów i mułów – zaopatrzenie. Teraz stał tutaj, z wystającym brzuchem. Patrzyliśmy na niego z otwartymi ustami.

Pierwszy raz widziałem słynnego Szefa – nie tylko ja, większość osób w pomieszczeniu, my, weterani Canudos, po raz pierwszy widzieliśmy Dowódcę. Wygrał za pomocą ołówka – mówili, że to człowiek po maniacku zajmujący się papierami, bawiący się nimi, niewypuszczający ołówka z ręki. Był niewidoczny, podobnie jak Doradca – tyle że zawsze, wszędzie był tam, gdzie należało wydać instrukcje: w Queimadas, kiedy przestały działać lokomotywy, w Monte Santo, gdy w obozie wybuchła dyzenteria. To on przeliczył amunicję okopanych u stóp góry Favela baterii artyleryjskich, beczki wypełnione amunicją do dział Kruppa, i przebąkiwano, że osobiście brał też udział w starciach podczas nocnych ataków na Canudos, był tam w zaułkach, kiedy żołnierze, dom po domu, dźgali nożami, razem z szeregowcami czołgał się w błotnistych rowach, ale to nie nóż miał w ręce, lecz laseczkę... (Ponieważ obok legendarnego płaszcza przeciwdeszczowego i pogodnego, mieszczańskiego brzucha znakiem rozpoznawczym marszałka była również laseczka, którą wszędzie z sobą zabierał, nigdy, nawet na mo-

ment nie wypuszczał jej z ręki – tę laseczkę wykonano z bejcowanego bambusa, a do jej spiczastego zakończenia przymocowano gumową osłonkę). W płaszczu przeciwdeszczowym, z laseczką w dłoni – wyglądał tak, jakby nieprzerwanie wybierał się na zdrowotną przechadzkę. Tak właśnie wkroczył teraz do pomieszczenia.

Nie był „Celtem”, zatem – według naszych pojęć – nie był czystej krwi potomkiem Portugalczyków – coś takiego rozpoznaje się w naszych stronach po zapachu. I wystarczyło nań spojrzeć, a natychmiast widać było i to, że nie jest „Kreolem” – nie urodził się tutaj, nie pochodzi od naszych europejskich ojców i matek, którzy tu zabłądzili, a w żyłach ich potomków zawsze trafia się kropla kolorowej krwi... Był biały, może pochodzenia niemieckiego, z francuską domieszką – nie znam się na rasach, ale słyszałem, że w Europie Środkowej żyje pewna rasa ludzka, ogólnie określana jako typ alpejski, zamieszkująca górskie okolice. Potem przebąkiwano, że był Alzacyjny: jego matka była Niemką, ojciec – Francuzem. Opowiadano też, że w młodości w angielskiej szkole kadetów w Walii szykował się do kariery wojskowej; mogło być w tym ziarno prawdy, bo niezadługo przekonałem się, że po angielsku mówi z obcym akcentem, lecz wyszukаныmi wyrażeniami, w sposób biegły. I byłem dumny, kiedy to zaobserwowałem, ponieważ jego znajomość angielskiego znaczyła dla mnie w tych godzinach rodzaj skrytego współnictwa, podwyższenie rangi w stosunku do wielu tutejszych kolorowych, półdzikich ludzi, spośród których większość nawet portugalski znała jedynie w gwarze.

Jego przystrzyżone krótko włosy już siwiały, także zapuszczone od skroni bokobrody były szpako-

wate – typowe srebrzyste owłosienie człowieka światowego. Nosił binokle ze sprężynką, z grubymi szklami o wielu dioptriach, i binokle te od czasu do czasu – pieczołowicie, ostrożnie – zdejmował z nosa, z wewnętrznej kieszeni płaszcza z alpaki wyjmował delikatną batystową chusteczkę, przecierał nią szkła z troskliwością krótkowidza. Jego obuwie – uszyte z lśniącej, miękkiej, jasnej skóry, zapinane na trzy guziki półbuty – wykonano w którymś z modnych śródmiejskich warsztatów szewskich w Rio; takich butów też dotąd nie widziano na pustkowiach. I w sumie – to było w nim naprawdę rzucające się w oczy – nie było w nim nic rzucającego się w oczy. Był niczym jakiś wysokiej rangi urzędnik w biurze, w dzień powszedni, daleko od szanów Canudos.

Stałem bezpośrednio w jego pobliżu, wyprężony na baczność, i uważnie przyglądałem się temu słynnemu mężowi. Jeśli to prawda, że każdy człowiek przypomina jakiś rodzaj zwierzęcia i w trakcie rozwoju zachowuje charakterystyczne cechy wizerunku przodka – są ludzie o ptasiej twarzy, kociej głowie, a nawet ludzie przypominający ryby – marszałek Bittencourt przywodził na myśl coś pomiędzy łagodnym baranem a strzegącym domu owczarkiem. Teraz, kiedy zatrzymał się pośrodku szopy i czekał, żeby fotografowie zakończyli podpalanie pasków magnezyj do oświetlenia pierwszych ujęć, dwoma palcami poluzował kołnierz płaszcza, jak mają w zwyczaju osoby nieco otyłe, gdy jest im gorąco i ciśnie je kołnierz. Wszyscy gapili się na niego, bo od chwili, kiedy ten człowiek wszedł do szopy, wszyscy – wojskowi i cywile – zrozumieliśmy, że z tym, który wszedł, nie można się spierać: to on jest Szefem. Dziennikarze, którzy – nie tylko

zgodnie z opinią, jaką się cieszyli, ale i w sposób rzucający się w oczy – nie byli ludźmi szczególnie respektującymi autorytet, podejrzliwie czekali, co w tej historycznej chwili powie Dowódca. Lecz nim marszałek przemówił, rozległ się huk działa. Dwa pociski przeleciały ze świstem, z ciężkim, leniwym pomrukiem, tuż ponad dachem szopy, w kierunku Canudos. Marszałek, mrużąc nerwowo oczy w sposób typowy dla krótkowidza, spojrział w sufit.

– A to co? – zapytał i odkaślnął.

Dziennikarze mrużeli, szturchali się nawzajem. Pewien pułkownik o szpakowatych włosach – Antônio Olimpio da Silveira, dowódca czternastego oddziału artylerii Piątego Korpusu – odchrząknął i podniósł rękę do ust, takim ruchem, jakby odganiał muchę. Tonem służbisty, choć nieco niepewnym głosem, jak zazwyczaj mówią wojskowi, kiedy zmuszeni są odpowiedzieć cywilnemu przełożonemu, zaraportował:

– Bohaterowie Piątej Brygady salwami honorowymi ze szczytu Monte Favela świętują zwycięstwo.

Bittencourt dwoma palcami starannie umieścił binokle z powrotem na nosie. Od niechcienia – jak ktoś, kto nie ma czasu dyskutować z żółtodziobami – rzucił przez ramię:

– Niech pan powie tym bydlakom, żeby natychmiast przestali.

A kiedy pułkownik w pełnej urazy konsternacji odpowiedział pokasływaniem, powtórzył głośniej:

– Przerwać ogień! Rozkaz. Niech pan powtórzy, pułkowniku.

Antônio Olimpio da Silveira wyprężył się. W tym starym żołnierzu refleks służbisty działał silniej niż oburzenie publicznie obrażonej osoby o wysokiej randze. Bezbarwnym głosem wymruczał:

– Przerwać ogień! Rozkaz.

Stuknął obcasami i ciężkim krokiem pośpiesznie opuścił szopę. Dwa kolejne pociski wystrzelone ze szczytu Monte Favela przeleciały ze świstem nad Rancho. Marszałek spojrział w sufit i pokręcił głową, jakby zasmucała go ludzka głupota i beznadziejność. Podszedł ku mapie wiszącej na ścianie i – plecami do dziennikarzy – oparł się na laseczce. Po czym rzekł:

– Panowie, proszę podejść bliżej.

*

Dziennikarze, przepychając się, stanęli w półkolu za plecami marszałka, który nie patrzył na nich: przyglądał się przybitej do ściany, popstrzonej przez muchy, rozpiętej na żółtym kartonie wojskowej mapie. Arcybiskup usiadł naprzeciw mapy niczym stały bywalec zajmujący swoją łóżę. Chirurg odrzucił głowę w tył, rozglądał się wkoło butnie i surowo, jakby podejrzliwie obserwował, co tu, w świetle umundurowanych pacjentów, można by uznać za przypadek kliniczny. Wojskowi, którzy ruszyli śladem marszałka – dwóch pułkowników, kilku majorów i kapitanów – posępnie lustrowali dziennikarzy, jakby po cywilach nie spodziewali się niczego dobrego, ale teraz nie mogli, niestety, nic przeciw nim uczynić.

Wisząca na ścianie wielka, kwadratowa, wojskowa mapa pokazywała Canudos i okolice. Górski obszar porośnięty kolczastymi zaroślami, *caatingę*, w gęstwinie której wykrwawiło się i odniosło rany wiele tysięcy naszych ludzi, kartografowie wyrysowali bruzdami z tuszu. Mapa była sumienną pracą egzaminacyjną, wykonaną w szkole kadetów: pośrodku linia o kształcie prostokąta odgra-

działa Canudos, na prawo i lewo, zgodnie ze wskazaniami strzałek, oglądający mógł znaleźć ważniejsze strategiczne i administracyjne budynki tego miasta z gliny zmieszanej ze słomą: Stary Kościół, który w ogniu artyleryjskim już legł w gruzach, Sanktuarium i Nowy Kościół, choć walący się od trafień, to jednak wciąż jeszcze stanowiący schronienie dla resztek tylnej straży buntowników, Nowy i Stary Cmentarz. Szczegóły stanu walk sprzed dziesięciu dni pokazywała gruba, czarna linia: ręcznie naniesione oznakowanie informowało, że ten wijący się niczym wąż obrys stanowił *Cerco de 23 Setembro*, zatem pierwszą linię piechoty w ofensywie. Następnie pokazano teren zdobyty pomiędzy 1 a 5 października, gdzie teraz stały wojska: przedpole Canudos przedstawiał zakreskowany kontur na mapie. Rozsiane tu i ówdzie strzałki ukazywały położenie miasteczka namiotów, tworzącego obóz, okopane u podnóża góry Favela baterie Kruppa, szpitale polowe, czerwonym okręgiem zaś zaznaczono zaimprovizowane baraki Naczelnego Dowództwa. Podobne do plamek napstrzonych przez muchy kropki, które w pierścieniu ochronnym stoków pomiędzy Monte Favela a Canabrava pokrywały powierzchnię mapy, symbolizowały szkarłatne dachy domów z gliny i słomy w Canudos. Mapę sporządzono z profesjonalną precyzją – i marszałek, z binoklami na nosie, wsparty na laseczce, pochylił się niczym krótkowidz ku rzeczy godnej obejrzenia albo też niczym koneser sztuki, który przygląda się obrazowi zawieszonemu na ścianie w muzeum.

– Jesteśmy tutaj – powiedział i końcem laseczki wskazał jakiś punkt. – Tu mamy Rancho do Vigário, a tu Canudos. – Znów odkaslnął, po czym

– jakby bacząc na każde słowo, bo przecież zdawał teraz sprawę nie tylko przed dziennikarzami, ale i przed historią – ciągnął nieprzerwanie: – A dokładnie, tu było Canudos, dwudziestego trzeciego września. O trzy kilometry stąd... Pięć tysięcy dwieście domów mieszkalnych... – Końcem laseczki pokazywał musze kropki na mapie – domy Canudos, pole walki – jak nauczyciel w szkole powszechnej za pomocą laski trzcinowej pokazujący obrazki na tablicy ściennej. – Tutaj możemy zobaczyć stan walk, panowie – stwierdził z zadowoleniem. – Nasze straty... – Zmarszczył brwi. Skinął ręką na jednego ze swych przybocznych adiutantów, który w lot zrozumiał rozkaz i z grubo wypchanej teczki wyciągnął spisane na żółtych kartach informacje statystyczne. Przyboczny adiutant – pułkownik Joaquim Manuel de Medeiros – najwyraźniej przygotował się do przedstawienia tego wykazu. Z pękatą aktówką pod pachą, z plikiem żółtych dokumentów w ręce skwapliwie klepał dane, posapując jak uczeń, który stara się celująco odpowiedzieć na egzaminie.

Surowy wyraz twarzy marszałka złagodniał. Najwyraźniej marszałek był zadowolony, ponieważ pułkownik śpiewał lekcję z prawdziwie uczniowską pilnością, dobrze się przygotował.

– Od początku czerwca minionego roku do dzisiaj nasze straty to blisko pięć tysięcy zabitych i rannych – wyrzucał z siebie pułkownik. – Straty artylerii... Poległo ośmiu oficerów, trzydziestu czterech podoficerów, czterystu dwudziestu szeregowców... Straty pierwszej brygady piechoty do połowy sierpnia: poległo czterdziestu trzech oficerów...

W osobliwy sposób ci polegli i ranni teraz, kiedy ulegli przemianie i pojawili się w postaci cyfr, także dla mnie utracili swój człowieczy charakter. Jak-

by nigdy nie żyli jako rzeczywiści ludzie z krwi i kości. Jakbym wcale nie znał osobiście jednego czy drugiego, jakbym nie pisał listu do ukochanej Manuela, do matki José... Jakby każdy pojedynczy człowiek, sam w sobie i oddzielnie od innych, wcale nie stanowił całkowitej tragedii – gdy słuchałem trajkoczącego statystyka, wszystkie ludzkie sprawy ukryte za liczbami i dla mnie stały się bezkształtne. Czyżby statystyka była tak wielką siłą? Również marszałek mógł tak pomyśleć, bo od czasu do czasu poważnie kiwał głową jak nauczyciel, który chwali obkutego prymusa.

Dziennikarze starannie notowali. Ekspedycja przeciwko Canudos, ten krajowy skandal, aż do teraz kryła się, tliła się w mroku pustkowi; nikt dotąd nie poznał dokładnych danych liczbowych dotyczących strat. Teraz za to cyfry potoczyły się odczuwalnie, jak w ruletce. Prezes wielkiego banku – słynny obrońca zwierząt – bezdźwięcznie poruszał ustami, bezgłośnie powtarzając dane, jakby na walnym zebraniu kierownictwa spółki akcyjnej, nim rozdziela dywidendę, ważył fakty bilansu handlowego. Arcybiskup przymknął oczy, jakby słuchał naukowego odczytu, którego sedna nie pojmuje, lecz zgodnie z regułami uprzejmości, obowiązującymi w życiu towarzyskim, nie wychodzi, pozostaje na swoim miejscu, tyle że tymczasem drzemie z obojętnym wyrazem twarzy. W trakcie owego wyliczania danych statystycznych dotyczących poległych i rannych słynny chirurg od czasu do czasu potakiwał, jakby dokładnie tego oczekiwał; patrzył w sufit, marszczył czoło, zdawało się, że ocenia całość jako coś stosownego, jako że polegli i ranni – zarówno w statystyce, jak i w rzeczywistości – są na swoim miejscu. Tylko niekiedy uno-

sił brwi, dając w ten sposób znak, że przysłuchuje się w sposób krytyczny.

Ponieważ pułkownik rozpałił się od tego wykładu i nie potrafił przerwać mechanicznego wyliczania – podobnie jak tańczący derwisz wirowania – po upływie kilku minut marszałek machnął nerwowo ręką. Rozkazujący gest skutecznie zdławił słowa w gardle przybocznego adiutanta. Bittencourt wyprężył się teraz – a właściwie, za pomocą pełnej próżności i przebiegłości gimnastyki, charakterystycznej dla ludzi ze skłonnością do tycia, wciągnął brzuch pod połami płaszcza z alpaki. Nagle odwrócił się i stanął twarzą do dziennikarzy.

Z początku odezwał się śpiesznym, nosowym głosem, jakby nagle przemówiła jakaś maszyna licząca. Wszystko, co mówił, pasowało do siebie, nie pozostawiając żadnych luk w wywodzie: jedno dane precyzyjnie uzupełniały inne, i w końcu wiele czynników schodziło się sumarycznie, podobnie jak liczby w rozwiązaniu zadania z matematyki. Po głosie marszałka czuło się, że nie przygotowywał się do wykładu: szczegóły – polegli i ranni – zalegały w którejś z szarych komórek zwojów mózgu niczym w jakimś archiwum. I kiedy czasem milkł, jego usta poruszały się dalej, jakby liczył w zapamiętaniu. W taki sposób rozpoczął sprawozdanie.

Jako że była to pierwsza konferencja prasowa w trakcie ekspedycji, kiedy minister wojny bezpośrednio, osobiście informował prasę – dotychczas aktualne wiadomości przekazywali dziennikarzom jedynie adiutanci – teraz, kiedy ten słynny i potężny człowiek przemówił, sprawozdawcy wojenni, z notatnikami i ołówkami w rękach, tłocząc się niecierpliwie, obstąpili marszałka. W szopie nie było słyhać najmniejszego szmeru, jedynie skrzeczący,

nosowy głos Bittencourta. Poza tym panowała gęsta, lepka cisza. Przy końcu dłuższych zdań Bittencourt oddychał łapczywie, posapując. Wszystko, co mówił, było sumiennym sprawozdaniem i nikt spośród słuchaczy nie wątpił, że każde jego słowo jest czystą jak łza, obiektywną prawdą – lecz jednocześnie zrozumieliśmy, że to, co słyszymy, jest nie tyle sprawozdaniem historycznym, ile raczej gorliwym działaniem sumiennego urzędnika, który na naszych oczach wpina we właściwe miejsce akta pewnej sprawy.

Bo dla ministra wojny Canudos – ponadto wszystko, co w minionych miesiącach wydarzyło się tutaj – nie było ludzkim wybuchem emocji ani też utratą gruntu pod nogami w społeczeństwie: były to zaopatrzone w numer sprawy dokumenty, nic innego. I teraz, na naszych oczach, wpinał te akta we właściwe miejsce, żeby je potem gdzieś umieścić – w archiwum lub w historii Brazylii.

– Panowie!... – lekko prychnął. – Przed rokiem, w grudniu 1896 roku, w prowincji Bahia fanatyczne i negujące prawo szumowiny zbuntowały się przeciwko normom prawnym państwa, przeciwko porządkowi społecznemu... Co więcej, przeciw wszelkiej cywilizowanej umowie pokojowego współistnienia. – Zamilkł, przełknął ślinę – dało się zauważyć, że nie oczekuje wyrazów uznania, nawet nie rozkoszuje się słowami, jedynie w myślach przewraca kartę, przerzuca jedną ze stron akt. Na moment przymknął oczy i kiedy znalazł to, czego szukał, z zadowoleniem kontynuował: – Po dziesięciomiesięcznej bohaterskiej walce zbrojne siły Republiki stłumiły bunt. Anarchia skończyła się.

Jako że w tym momencie przyczajona w błotnistym lesie resztką specjalnego oddziału buntowni-

ków oddała na chybił trafił w kierunku obozu jeszcze jedną terkoczącą serię ognia – nasi, niczym ci, co reagują na przekleństwo, natychmiast odpowiedzieli krótką strzelaniną – marszałek z podniesionymi brwiami, urażony, spojrzał poprzez rozbite szyby w oknie w stronę Canudos, jakby usłyszał nietaktowny wtřęt, jednak uznał, że jakakolwiek reakcja byłaby poniżej jego godności. To interludium zajęło sekundy – sprawozdawcy wojenni akurat skończyli stenografować komunikat marszałka, a posłyszawszy wystrzały, z niedowierzaniem natężyli uwagę. Wielu uśmiechnęło się ironicznie. Dlatego Bittencourt znów popatrzył na mapę, jak na coś, co mimo wszystko jest bardziej pewne niż to drugie Canudos, widoczne przez okno o rozbitych szybach.

– O świcie piechurzy ósmej brygady oczyszczą teren – dorzucił od niechcienia.

I odwrócił się plecami do mapy, pokazując w ten sposób, że nie ma nic więcej do powiedzenia, czeka na pytania.

Lecz dziennikarze milczeli. Wojskowy żargon, „oczyszczanie terenu”, to urzędowe, fachowe słowo, w zauważalny sposób nie podobało się gościom. Bittencourt poczuł wrogą atmosferę, denerwowało go nieprzyjazne milczenie. Dlatego koniec laseczki znów pchnął w kierunku mapy, jak przewodnik w panoptikum:

– Tutaj wykrwawiła się pierwsza ekspedycja – powiedział niecierpliwym tonem fachowca, jakby miał po dziurki w nosie towarzystwa tych biegłych jedynie w piśmie dyletantów. – A tutaj wykrwawiła się druga... – Końcem laseczki pokazywał teraz w kierunku Serra Vermelha. Wciąż jeszcze brakło oddźwięku. Jakby oficjalny komunikat o zwycięstwie

wywołał w obecnych raczej niechęć niż zachwyty. Wreszcie, niespodziewanie, przemówił mężczyzna w monoklu, który dotychczas w milczeniu palił cygaro, jakby w trakcie przechadzki tylko przypadkiem trafił tu, do szopy, gdzie pokazuje się osobliwości etnograficzne. Z grubą hawaną w dwóch palcach, znudzonym tonem, od niechcienia zapytał:

– Panie marszałku, ilu ich jeszcze jest?

Bittencourt najwyraźniej ucieszył się tym przejawem zainteresowania.

– Po tamtej stronie?... – Nie czekał na odpowiedź, pytanie padło w porę, przełamało wrogie milczenie. – Sampaio!... – zaskrzeczał.

– Rozkaz! – odparł młody major. Stał przy drzwiach, pośród oficerów piechoty, brudny i nieogolony. Prawą rękę miał na temblaku, bo przed dwoma dniami, podczas jednego z tych piekielnych przemarszów w nocnych jatkach przez Canudos, został ranny.

– Ilu zostało?... – spytał marszałek. Major odpowiedział z naturalną wprawą pastucha, jakby wcale nie mówił o ludziach, lecz o bydłe, które włóczy się po wyschniętych polach:

– Trzystu. Niewielu więcej. Sami mężczyźni.

Mówił o szkieletach, które jeszcze się ruszały po tamtej stronie. Przemówił tak, jak starszy pastuch, który w czasie suszy składa swemu panu sprawozdanie o zwierzętach, co padły tego dnia, i o pozostałych, które spragnione wałęsają się jeszcze wokół wyschniętej studni, suchego poidła. Marszałek aprobując przytaknął głową i spojrział na arcybiskupa, jakby oczekiwał kościelnego błogosławieństwa dla decyzji w pewnej sprawie. Arcybiskup obudził się, lecz nawet mrugnięciem oka nie dał znać, że zgadza się z tym, co usłyszał. Wszyscy milczeli, w osłupieniu.

Wieczorny wiatr poruszył się i znad *caatingi* po-

rwał w kierunku Rancho gęste, słodkawe opary gnicia. Poprzez otwarte okno szopa wypełniła się mdlącym powietrzem.

Marszałek czuł wrogą atmosferę i zmieszany rozglądał się wokół. Zaszło coś, czego nie brał pod uwagę. Przełykał ślinę raz za razem, jedną ręką, drżącymi palcami zaczął sobie poprawiać granatowy jedwabny krawat, co przypominało gesty, jakie wykonują chorzy na serce, otyli ludzie, kiedy boją się, że dostaną zawału, jeśli się zdenerwują. Właśnie w tym momencie marszałek odczuł, że to mgliste, bezkształtne zjawisko nazywane „opinią publiczną” nie jest jakimś rozmazanym wyobrażeniem, lecz rzeczywistością. Wroga, posępna cisza, odpychające milczenie, z jakim sprawozdawcy wojenni słuchali wymiany zdań pomiędzy marszałkiem a majorem, zdumiała tego wysokiej rangi urzędnika, przyzwyczajonego do służbistego posłuchu. Jakby w tym momencie znaczenie epizodu w Canudos rozjaśniło się również dla niego: dusząc się, z trudnością łapał powietrze. Bo wszystko, co się dotąd wydarzyło, było urzędowym działaniem: stu poległych, jedno akta, dwustu jeńców – a więc cyfry, których nie potrzebowano już w oficjalnym równaniu, można je było wymazać gumką – następne akta. I wszystko, co jeszcze wydarzyło się w ciągu dziesięciu miesięcy pomiędzy Canudos a Monte Santo... Tysiące rannych, leżących w jamach u bezdroży peryferii pustkowi, jak w czasie suszy trupy padłych bydła, jak popękane od gorąca skóry wołów i krowie kości, wypalone przez wysuszające zarośla słońce i twarde niczym skorupy. Wszystko to były dla marszałka akta. Lecz teraz zjawili się „na miejscu wydarzeń” ci niewygodni i zawsze podejrzliwi obcy, naoczni świadkowie z „innego świata”, których żół-

nierze i urzędnicy tak niechętnie dopuszczają do swych wewnętrznych, sekretnych machinacji.

Marszałek rozglądał się wokoło, mrugając nerwowo, ponieważ na oczach tych obcych musiał rozliczyć się z czegoś, co – teraz po raz pierwszy o tym pomyślał – było może i czymś innym, niż tylko szaleństwem ośmiu tysięcy fanatycznych dzikusów w mieście z gliny i słomy. W sposób widoczny marszałek zmieszał się, ponieważ nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że wszystko to, co wydarzyło się w Canudos, wielki świat podda kiedyś obrachunkowi. Jakby zaszło też coś innego niż tylko konwulsyjna samozagłada, partyzancka wojna buntowników i federalnego wojska... Jakby w tym momencie w Canudos coś się nie tyle „skończyło”, ile raczej – niespodziewanie – „zaczęło”... Półnaczy ludzie zbuntowali się przeciw czemuś, co pozbawionym jasności umysłem nazywali „odwiecznym wrogiem”... Wszystko to aż dotąd działo się w mroku, w Brazylii, na dzikich pustkowiach. Lecz teraz przybyli naoczni świadkowie – i marszałek ponurym wzrokiem, podejrzliwie rozglądał się wokoło.

Nagle, z entuzjazmem, powiedział:

– Napiszcie o wszystkim, panowie!... Naród... Tak, cały świat ma prawo poznać prawdę. Ta wojna tutaj, no cóż... To była wojna innego rodzaju, nie taka przepisowa...

Słowa ugrzęzły mu w gardle, bo jeden z dziennikarzy – starszy człowiek, w okularach, z aksamitną muszką La Vallière¹ i w słomkowym kapeluszu, panamie – surowo mu przerwał:

¹ Louise de La Vallière – jedna z kochanek Ludwika XIV, wprowadziła modę m.in. na krawaty wiązane w gruby węzeł w kształcie motyla, pierwowzór muszki.

– Artykuł wstępny proszę zostawić nam, panie ministrze – stwierdził bezczelnie.

Marszałek zaczerwienił się.

– Dla której gazety pisze pan sprawozdania? – zapytał z godnością, czerwony jak rak. Noszący okulary sprawozdawca wojenny wzruszył ramionami, następnie z poczuciem dumy odparł:

– Dla „La Nación”.

Bittencourt skinął głową.

– Aha – rzekł i odkaszlnął. Jakby właśnie tego oczekiwał, skinął na przybocznego adiutanta.

Pułkownik, który wystąpił na owo skinięcie ręki, bez pytania podał marszałkowi zmięte egzemplarze gazet. Bittencourt najwyraźniej przygotował się do rozrachunku, kiedy to konieczne będzie zrobienie porządku z prasą. Jedną ręką uniósł wysoko gazety i zamachał nimi niczym prokurator wodem oskarżenia.

– Wolność prasy to wielka idea, panowie – stwierdził posępnie. – Wolność prasy zapewniają pisane i niepisane prawa Republiki. Ale kłamać nie wolno – zaskrzeczał z groźbą w głosie. – „La Nación”, tak pan powiedział?... – uniósł wysoko egzemplarz gazety. – Wielki to zaszczyt, że nawet największa gazeta Buenos Aires wysłała sprawozdawcę wojennego na brazylijskie pustkowia... – Starszy człowiek w okularach rozejrzał się zmieszany, jak ktoś złapany na ulicy na gorącym uczynku, gdy robił coś niestosownego. A marszałek pośpiesznie poprawił sprężynkę binokli na nosie i głośno zaczął czytać zaznaczony na czerwono tekst na pierwszej stronie „Nación”. – Pańska gazeta pod koniec lipca... tak, trzydziestego lipca, proszę, mogą to panowie przeczytać... pańska gazeta jako pierwsza podała w świat to kłamstwo, że jakaś podejrzana kontrre-

wolucyjna banda... siedzibę mają oni w Nowym Jorku... Jakżeż się nazywają?

Starszy sprawozdawca wojenny odparł cicho:

– Stowarzyszenie Argentyńskich Przyjaciół Imperium Brazylii...

Marszałek prychnął z zadowoleniem.

– Właśnie tak. Dziękuję panu za informację. „Nación”, pańska gazeta, pośpieszyła poinformować świat, że owa banda... ten zbuntowany oddział specjalny upadłych monarchistów... ma w prowincji Bahia piętnaście tysięcy ludzi... Prawda? – zapytał surowo.

Stary odrzekł obojętnie:

– I sto tysięcy gdzie indziej, w Brazylii. Tak napisaliśmy, to prawda.

Marszałek ciągnął triumfująco:

– I sześćdziesiąt tysięcy w różnych miastach Stanów Zjednoczonych... Wszyscy oni to wynajęci za pieniądze monarchistów *gringos* i gangsterzy... – Z groźbą w głosie, pośpiesnie stwierdził: – Ale to jeszcze nic. – Powoli zaczął przerzucać strony gazet.

Nagła zmiana tonu sprawiła, że konferencja prasowa przybrała inny obrót, niż wyobrażali to sobie sprawozdawcy wojenni, kiedy na zaproszenie brazylijskiego rządu pośpieszyli tu z Monte Santo. Marszałek stał się naraz oskarżycielem, prokuratorem i sędzią w procesie o Canudos. A oskarżonymi byli teraz już nie buntownicy, lecz dziennikarze, którzy – tak brzmiał zarzut marszałka – otrzymali od monarchistów pieniądze na to, by brazylijskiemu ludowi i całemu światu wmówić pewną bajkę: legendę restauracji monarchii. Oskarżenie, które rywalizujący z Republiką monarchiści rozpowszechniali w zagranicznej prasie na całym świecie, głosiło, że rząd Republiki be-

stiałską masakrą starał się zdławić nie tylko fanatyczne, maskowane religijnym obłędem lokalne zakłócenie porządku, wywołane przez wiele tysięcy biedaków z peryferii, ale także kierowany z zagranicy, zorganizowany spisek o wielkich rozmiarach, którego autorami byli zmuszony do udania się na wygnanie cesarski ród Bragançów oraz pozbawieni dawnych wpływów monarchiści; i dla owego spisku Canudos stanowiło wyłącznie pretekst i wymówkę... A ponieważ szalone przepowiednie Doradcy często napomykały o Republice jako o prazwierzęciu i odwiecznym wrogu, a imię zmuszonego do przebywania za granicą cesarza, Dom Pedra, pobrzmiwało w śpiewach buntowników, powyższe podejrzenie nie wydawało się całkiem bezpodstawne. Pisała o tym nie tylko prasa północnoamerykańska, ale też niektóre brazylijskie gazety niczym papuga powtarzały hipotezę, że wszystko, co wydarzyło się w Canudos i na pustkowiach, w istocie było zbrojnym puczem, usiłowaniami oligarchów, którzy w tak zawyły sposób, za pomocą kłusowniczej wojny partyzanckiej, chcieli obalić Republikę.

Dlatego marszałek mówił teraz takim tonem jak ktoś, kto wreszcie otrzymał zakończenie do swej roli i może odśpiewać wielką arię.

– Koniec z kłamstwem – niemal krzyczał. – Proszę, rozejrzyjcie się panowie dookoła. I napiszcie, że wśród naszych jeńców nie znaleźliście ani jednego monarchisty-spiskowca.

Dobrze to zabrzmiało. Ale my – żołnierze, którzy staliśmy na straży w szopie – nie spojrzeliśmy po sobie, ponieważ obawialiśmy się, że posłyszawszy wypowiedzianą na cały głos deklarację, jeden czy drugi z nas pocznie śmiać się szyderczo... jako że

pośród wyróżnionych jeńców trudno byłoby dziennikarzom znaleźć świadka, który zaprzeczyłby słowom marszałka bądź je potwierdził.

Mimo to Bittencourt przemawiał teraz na cały głos.

– Canudos nie było niczym innym, jak buntem braku wykształcenia i kultury – zawołał uroczyście. Zerknął na arcybiskupa, jakby na dobrze sformułowaną, odznaczającą się wielką wagą deklarację męża stanu oczekiwał kościelnej aprobaty. Lecz arcybiskup nie poruszył się z przezornego schronienia w czujny sen, nie odpowiedział nawet mrugnięciem. Dlatego marszałek zszedł o pół tonu niżej: – Ten brak wykształcenia i kultury pozostawiła tu w spadku monarchia. – Rozejrzał się, wyczekiwał wrażenia. Lecz szumna deklaracja nie podziałała na cynicznych dziennikarzy. Bittencourt odwrócił się, zły. Podszedł do stołu, na którym ordynansi ułożyli w stosach trofea z Canudos. Wziął do ręki nóż „aligator” i z widocznym wstrętem wybrednego filistra badał zaplamione krwią narzędzie do zabijania. Dziennikarze poszli za jego przykładem. Otoczyli długi stół, wypełniony symbolami zwycięstwa, i podawali sobie z rąk do rąk co radsze okazy łupu, barbarzyńską broń. Niektórzy pośpiesznie wsadzili do kieszeni kilka takich pamiątek. Fotografowie krzatali się, żwawo i gorliwie starając się uwiecznić dla czytelników niezwykle obraz wypełnionego trofeami stołu.

Przez kilka minut marszałek cierpliwie przyglądał się sprawozdawcom wojennym, grzebiącym w stosie resztek łupu. Potem odrzucił z powrotem na stół nóż „aligator” i zdenerwowanym tonem – jakby uważał, że nadszedł czas, by położyć kres temu interludium, choć potrzebnemu dla uspokoi-

jenia opinii publicznej oraz z punktu widzenia rządu, to w sumie niegustownemu – zapytał ochryple:

– Panowie, czy są jeszcze jakieś pytania?

*

– A Doradca – rzekł niespodziewanie jeden ze sprawozdawców wojennych. – Co się z nim stało?

Odezwał się niskim głosem. Wszyscy natężyli słuch. Przemówił ten mały człowiek, który pojawił się w szopie równocześnie z dziennikarzami – ten mały człowiek, który rzucił mi się w oczy od razu, gdy wszedł, jednak w kolorowej, hałaśliwej grupie pozostawał w pewien sposób obcy. Aż dotąd milczał. Mógł mieć około czterdziestu lat, był chudy i niezdarly. Tluste, czarne włosy opadały mu na czoło, a szerokie, wystające kości policzkowe przypominały o jego indiańskim pochodzeniu. Był jak jakiś dziwak, zabłąkany typ, raczej włóczęga niż dziennikarz... *aficionado*¹, który w chwili nieuwagi wśliznął się do towarzystwa z miasta. Mimo to, teraz, kiedy ten potargany człowiek w zaniedbanym ubraniu wymówił imię Doradcy, wszyscy zwrócili się w jego stronę, a wśród dziennikarzy wybuchł niepohamowany szum. Naraz wszyscy spoglądali na niego. Marszałek z pogardą popatrzył na niechlujnie odzianego mężczyznę o zaniedbanej powierzchowności. Zapytał:

– Której gazecie posyła pan sprawozdania?

Obcy milczał. Zareagowali za niego inni:

– Hej, Euclides! Masz rację, Euclides!... Co się stało z Doradcą?...

Mężczyzna z monoklem wykrzyknął nazwę gazety:

¹ *Aficionado* (port.) – miłośnik, ałtator.

– „Estado de São Paulo”!... Łaskawy pan jej nie czytał?...

Mały człowiek milczał. Ze spuszczoną głową stał nieruchomy pośrodku hałaśliwej gromady; spoglądał na polepę, jakby obserwował coś innego. Teraz, gdy zabrzmiało imię Doradcy, dziennikarze poczęli szumieć bez umiaru. W szopie zapanował harmider, atmosfera żądania: „Dawać tu kawę na ławę!”.

– Co się stało z Doradcą?... – krzyczeli. – Żyje czy umarł?... Pojmali go czy uciekł?...

Marszałek przysłuchiwał się z głową przechyloną w bok. Spoglądał na małego, niechlujnego mężczyznę, następnie po kolei na wojowniczych pismaków. Potem – butnie i zarozumiale, jakby oczekiwał tego pytania i z góry znał na nie odpowiedź – uśmiechnął się. Skinął głową, dając do zrozumienia, że zgadza się z pytającymi. Bo to pytanie stanowiło sens wojny w Canudos.

Od dziesięciu miesięcy, kiedy mówiono o Canudos, wszyscy w Brazylii zadawali pytanie: „Co się stało z Doradcą?..”. Pytali o to w brazylijskich miastach, w kawiarniach, ponadto w odległych wioskach, dokąd dotarła wieść o losie owej legendarnej postaci. Ludzie chcieli wiedzieć, czy Doradca naprawdę żyje, czy też istnieje jedynie w wyobraźni pomylnych wędrownych proroków, czarodziej-skich bajarzy? Czy prawdą jest to, co rozgłaszają żołnierze, iż ów szalony prorok poległ w trakcie rzezi ostatnich dni, żołnierze znaleźli go w jednej z jam w Starym Kościele i jego zwłoki wrzucili do bagna?... Czy prawdą jest, że to nie nasi z nim skończyli, tylko resztką jego zwolenników, którzy się zbuntowali i go zabili? Czy to możliwe, że Doradca jest martwy od wielu już dni, a żyje jedynie w nieprzytom-

nej od bagiennych oparów wyobraźni buntowników?...

Te pytania od tygodni niepokoiły prasę, brazylijskich czytelników gazet. Teraz nastąpiła chwila, gdy należało skończyć z ową legendą. Bo jeśli Doradca żyje, jeśli nie został pojmany, jeśli uciekł i skrywa się na pustkowiach, to wówczas na próżno uległo zagładzie miasto z błota, legenda dalej będzie się nieść niebieskawym dymem, podobnie jak w czasie suszy poranna mgła ponad horyzontem... Religijno-magiczny niepokój dalej będzie się tlić w duszach ludzi pustkowi. Będą oni czekać na powrót Doradcy, tak jak na powrót Dom Pedra, cesarza... i ta nadzieja, że szalony Wódz raz jeszcze pojawi się na porośniętych krzakami pustkowiach, dalej zachęcać będzie zdziczałych ludzi do wolności i swobody, do wędrownego życia pracźlowieka. Dla rządu młodej Republiki zwycięstwo jedynie wówczas byłoby pełnowartościowe, jeśliby nasi żołnierze mogli pokazać światu Doradcę – żywego czy martwego. Potrzebna była pewność...

Lecz Bittencourt milczał i osobiście – ironicznie, tak, z wyższością – uśmiechał się.

Teraz znów przemówił ten mały człowiek, którego jego towarzysze, sprawozdawcy wojenni, nazwali Euclidesem:

– Panie marszałku, co się stało z Doradcą?... – spytał. I w dalszym ciągu patrzył na polepę, posępnie, jakby mówił sam do siebie.

Teraz, kiedy tajemnicza postać po raz drugi wypowiedziała to pytanie, wszyscy, którzy znajdowali się w szopie, spojrzeliśmy po sobie. Jakbyśmy pojęli w tym momencie, że Canudos miało też inny sens niż rzeź. Tajemnicą i sensem Canudos był Doradca – niewidoczny człowiek, który podług

legendy naraz był Prorokiem, Wodzem, Sędzią i Kapłanem, mitycznym Przywódcą. Ta postać była osobistością przypominającą królów-kapłanów teokracji dawnego, prekolumbijskiego świata. Podług pogłosek, panował na pustkowiach dzięki widmowemu, magicznemu autorytetowi. O tym zjawisku opowiadali uchodźcy i uciekinierzy... lecz jeśli naprawdę, rzeczywiście żył, to jaki był? Czy płonąła w nim siła szaleństwa? Czy przyciągnął, zwerbował ową dziką wspólnotę przy użyciu takiej pozorowanej siły? Czy miał też innego rodzaju moc, mistyczną, za pomocą praktyk ciemnej magii stworzył – nadające się raczej dla zwierząt niż dla ludzi – ulepione z gliny i słomy gniazdo, Canudos, z niezdrową przesadą ochrzczone Świętym Miastem, Nowym Jeruzalem, gdzie żarzyły się pradawne namiętności ludzkie, rodząc dym i sadzę, niczym ognie prerii?...

Canudos skończyło się, o tym wiedzieli wszyscy. Ale co się stało z Doradcą?...

*

Protokół uległ zakłóceniu. Sprawozdawcy wojenni otoczyli marszałka, wpadali sobie nawzajem w słowo. Czy to prawda – pytali – że Doradca dostał się do niewoli, że dowództwo wojskowe zamknęło go w klatce, zarośniętego, ubranego w niebieski habit kościotrupa, i tak poszło do Rio, gdzie potem w triumfalnym pochodzie obwiezie się go dookoła ulicami niczym zakute w łańcuch dzikie zwierzę, które wpadło w pułapkę?... Albowiem rozchodziły się i takie wieści. Inni chcieli wiedzieć, ile jest prawdy w pogłoskach, że go nie złapano, lecz żyje i uciekł, pęta się w towarzystwie nielicznych przywódców bandy i pozostawił swemu losowi ma-

ruderów, którzy teraz – jak w dawnych czasach, w odległych krainach, w Ziemi Świętej krzyżowcy – jedli padlinę, umierali z pragnienia, oczekując, by dopełnił się ich los... Czy to prawda, że Doradca wcale nie był jeden, lecz było ich wielu – wszyscy brodaci, wszyscy nosili ten sam kostium, niebieską tunikę, i teraz to ci dublerzy dalej wloką po brazylijskich pustkowiach obłąkanie, bunt, obsesję negocjowania cywilizacji? Czy to prawda...

Marszałek, niczym dyrygent, uniósł rękę. Kiedy wrzaskliwy hałas opadł, sucho i poważnie rzekł:

– Panowie przynajmniej zobaczycie Doradcę.

Powiedział to do adiutanta, z lekceważeniem. Wy-mawiał słowa poważnie i powoli, ze swego rodzaju przyjemnością. Stulił wydęte wargi i wysunął koniuszek języka, jak smakosz, gdy wreszcie rozkoszuje się wybornym kąskiem. Teraz, kiedy niechlujny mały dziennikarz wypowiedział to pytanie, rysy twarzy marszałka wygładziły się. Oczy świeciły mu się z radości, uśmiechał się z ulgą i swobodą – był jak kuglarz, gdy nadchodzi wielka chwila i wreszcie ma okazję oszołomić niedowierzającą publiczność, wyciąga z cylindra gołębie i królika, na oczach gapiącego się tłumu dmucha ogniem i połyka sztylet. Syknął przez ramię:

– Pokaż go.

Cabra natychmiast zrozumiał. Uroczystym ruchem zdjął z miedzianego kotła ciężką ołowianą pokrywę. Podobna do posągu czarna góra mięsa, z kotłem w rękach, zrobiła trzy kroki w kierunku marszałka. Następnie *cabra* zatrzymał się i jedną ręką sięgnął do kotła. Rum – i inny, mdlący zapach, fetor gnicia – buchnęły oparami z głębi metalowego naczynia. *Cabra* nie śpieszył się, możliwość grzebania w rumie najwyraźniej sprawiała mu przy-

jemność. Uroczyście i szczerząc zęby, wyciągnął z dna kotła coś, co mogło być też głową człowieka. Wysoko uniósł trofeum.

Marszałek uśmiechnął się z zadowoleniem. Podniósł słynną laseczkę – niczym kuglarz magiczną pałeczkę – wskazując na nieoczekiwane zjawisko:

– Oto Doradca – rzekł.

I czubkiem języka, niemal z rozkoszą, oblizał górną wargę.

*

Głowa – czy cokolwiek innego – była mała, niczym preparowane czaszki, uwędzone do miniaturowych rozmiarów, obkurczone głowy ofiar andyjskich Indian. I – jak wszystkie preparowane głowy – również ta zdawała się żywa, wywołując ciarki na plecach: jakby z kotła wychynęło wcale nie oblicze zmarłego, lecz pozbawiona wyrazu twarz jakiejś drobnej żywej istoty. Ruchem drapieznika *cabra* pochwycił ociekające rumem, posiwiałe kosmyki włosów trofeum, podniósł wysoko ludzką głowę i powoli nią kołysał.

Ta wytrawiona w alkoholu, zmumifikowana czaszka była jak głowa *fetusa* w wypełnionej spirytusem retorcie w klinice. Ale wydawała się też inna. Oblicze, podobne masce, a mimo to upiornie żywe – zamknięte oczy, zaciśnięte, wąskie usta w obramowaniu szarobiałej brody – przywoływało na myśl zlepione ze skóry i pakuł fetysze, jakie sprzedawali na targowiskach zbłąkani magowie oraz cieszące się sławą wiedźm stare baby. Jarmarczni czarownicy za pieniądze oferowali te magiczne przedmioty, przeznaczone do podstępnych, czarnoksięskich praktyk, do zaklinania, trucia. Owłosienie – bujna korona z włosów, opadająca na

nieistniejące ramiona, białoszara broda, która niegdyś sięgała pasa i którą jej właściciel, Doradca, hodował przez pięćdziesiąt lat i najwyraźniej nigdy nie przycinał – niczym upleciony z włosów diadem okrywało to, co pozostało z głowy. Szerzyła się pogłoska, że o tej brodzie proroka wierni, kiwając się i lamentując, śpiewali litanie. Mdlący, słodko-oleisty destylat rumu wytrawił ją, sklejjąc w lepki makaron.

Zjawisko, osoba, która niegdyś żyła pod osłoną tej brody, człowiek, który nie tak dawno nosił ten sięgający pasa zarost i omiatające ramiona włosy, w rękach Murzyna nabral teraz cielesnego kształtu. Jakby stanął tu przed nami fantom: figura niemal na dwa metry wysoka, sucha – już tylko kości i kora, niczym drewno korzenia. Jakby do pomieszczenia weszła owa postać i w swej widmowej ręce przyniosła własną głowę. Przypominała potwory w snach, przed którymi się bronimy: jakby przyoblekła ciało i zbliżała się w ciemnoniebieskiej tunice, z torbą na ramieniu – z torbą, w której, podług legendy, przechowywała modlitewnik zatytułowany *Godzinki do Matki Bożej*, wypchany prymitywnymi, kolorowymi obrazkami z powykrzywianymi świętymi, oraz manierkę na wodę. Głowa, którą Murzyn uniósł wysoko, ożywiła człowieka, który jeszcze do niedawna niepokoił imperium – i wydawało się, że w widmowej ręce zjawiska pojawił się też długi kij pasterski, laska proroka, z którą przez dziesięciolecia przemierzał bezdroża dzikich pustkowi... Jakby Murzyn wyciągnął z kotła nie tylko wytrawioną w alkoholu, obkurczoną ludzką głowę, ale całego człowieka, naraz jego głowę i tułów – człowieka, który już za życia był raczej wizją i przywidzeniem niżli zjawiskiem z krwi i ko-

ści. Drobną twarz w obramowaniu brody i kosmyków włosów ludzkim wyrazem zaświadczała o osobowości człowieka, który przed niedługim czasem nosił tę głowę.

Podparty pod boki, w binoklach ze sprężynką na nosie, marszałek pochylił się w przód. Patrzył głowie prosto w oczy, jak ktoś, kto w jednym z decydujących momentów życia, skonsternowany, przygląda się rzeczywistości, o której nie umie rozstrzygnąć, co jest jej prawdziwym sensem: triumf czy klęska?... Spojrzeniem niemal wołającym o pomoc zerknął na słynnego chirurga, szukając aprobaty fachowca wobec tego wszystkiego, co było tu widoczne. Lecz chirurg, ze splecionymi ramionami, bez ruchu przyglądał się obkurczonej głowie, jakby wszystko, co pokazywano, było demonstracją w klinice. Nie tylko on był taki poważny i nieruchomy. Także dziennikarze milczeli. Jedyne fotografowie działali, i na błysk światła magnezji marszałek nerwowo odwrócił głowę w kierunku aparatów. Lecz zdjęcia już uwieczniły wielką chwilę: marszałka Brazylii, który patrzy prosto w oczy odciętej ludzkiej głowie.

W gęstej, pachnącej rumem – ponadto wypełnionej innymi, pogańskimi woniami – przenikającej aż do mdłości ciszy scena ta oddziaływała na obecnych inaczej niż zakończenie jakiegoś przywracającego porządek wojskowego epizodu. Było w tym widoku coś z liturgii: w goście Murzyna, którym wysoko uniósł ową głowę niczym jakiś pogański kapłan – fetysz. Ta maska o wielkości dłoni, ta ludzka twarz złożona z wyschniętej skóry i włosów, te wąskie usta nie tak dawno poruszyły na pustkowiach siły podobne tym zrodzonym w wyniku zjawisk naturalnych, tragicznych wyładowań atmo-

sferycznych, wybuchów żywiołów, które potrafią zmienić warunki współbywania ludzi. Blisko pięć tysięcy brazylijskich żołnierzy regularnego wojska odniosło rany i poległo, ponieważ ten człowiek widział w Republice prazwierzę i odwiecznego wroga. I to błędne przekonanie potrafił narzucić ośmiu tysiącom fanatycznych, negujących wszelkie prawa cywilizacji dzikich ludzi, którzy z pomysłowością i przebiegłym instynktem bestii dżungli walczyli przeciw nowoczesnym broniom. Walczyli i ginęli, dlaczego?... To pytanie zadźwiewało teraz dla wszystkich. Także marszałek o tym pomyślał, bo zaczął mówić cicho – mówił nie tyle do dziennikarzy i zaproszonych tu znakomitości, ile raczej do odciętej głowy.

– To był on – rzekł. Zdjął z nosa binokle, z kieszonki na cygara znów wyciągnął śnieżnobiałą chustkę i starannie wyczyścił zaparowane szkła. Następnie, z okularami na nosie, pochyliwszy się blisko ku głowie, przemówił z pełną troski powagą znawcy sztuki. – Nasi żołnierze znaleźli go przed czterema dniami. Leżał w pobliżu Sanktuarium, przed wyciosanym z sosnowego drewna ołtarzem ofiarnym... Wierni klęczeli wokół niego i modlili się.

– Zabili go? – spytał cicho ten niechlujny mały człowiek. Marszałek pokręcił głową.

– Nie zabili go – odparł konfidencyjnie. Teraz przemawiał i do sprawozdawców wojennych. – Niech panowie napiszą, że przywódca bandy buntowników... – Zaciął się. Pytającym wzrokiem spojrzął na adiutanta.

– Antônio Vicente Mendes Maciel – zachrypiał oficer, głosem takim, jakby zadał w róg. Marszałek przytaknął skinięciem głowy.

– Doradca – rzekł z zadowoleniem. – Wódz bun-

towników z Canudos. Zmarł z całkowitego wycieńczenia. Jego zwolennicy zawinęli zwłoki w płótno. – Mówił w sposób uroczysty i wyszukany, rozkoszując się słowami. – Raport! – warknął na adiutanta.

Major wyciągnął z teczki kartę spisana na przypominającym pergamin, grubym papierze do sporządzania dokumentów, i urzędowym tonem począł odczytywać:

– Zgodnie ze wskazówkami jeńców wojennych z Canudos, w okopie ruiny zwanej Sanktuarium, dowódca pierwszego oddziału marszowego odnalazł zwłoki, które jeńcy zidentyfikowali. W suchej ziemi dwudniowy trup jeszcze nie zaczął się rozkładać. Znalezisko zweryfikowali świadkowie i dowódca. Wykonano zdjęcia zwłok. Sporządzono raport, który podpisali świadkowie i dowódca. Na rozkaz przełożonych głowę odcięto i zakonserwowano w alkoholu.

Marszałek przerwał mu. Powiedział do chirurga, z naciskiem, ale jakby prosząc o wybaczenie:

– Nie było pod ręką formaliny.

Chirurg poważnie, z aprobatą skinął głową na znak, że rozumie tę drobną nieprawidłowość w procedurze, nie ma obiekcji co do rumu.

– Tułów pogrzebano na miejscu. Głowę straż zabrała do dowództwa.

Major złożył dokument.

– Zdjęcia – rzucił krótko marszałek. – Panowie chcą zobaczyć zdjęcia.

Dwaj ordynansi pośpiesznie rozdali zdjęcia zwłok Doradcy. Sprawozdawcy wojenni wydzielali sobie z rąk te odbitki. Zdjęcia były fachową robotą wojskowych fotografów: jeden z obrazów ukazywał ludzkie zwłoki zanurzone w szarej glinie – raczej

jedynie kontury czegoś, co mogło być tak samo szkieletem, jak i ludzkim ciałem. Drugi obraz wykonano niemal w naturalnej wielkości, jak reklamowe portrety filmowych gwiazd. Twarz *Conselheiro* na zdjęciu była napuchnięta, oczodoły pełne osadu z brudu i błota. Ten obraz nie był podobny do wypreparowanej głowy, którą Murzyn trzymał w górze w niezmiennie uroczysty sposób, jako namacalny dowód – może dlatego, że destylat rumu jeszcze nie zakonserwował twarzy. Dziennikarze, ze zdjęciem w ręce, pomrukując, porównywali zdjęcie i odciętą głowę. Po pełnej szeptów i utyskiwania dyskusji uzgodnili, że zdjęcie przedstawia martwego Doradcę – nikt nie wątpił w to, że odcięta ludzka głowa o wielkości pięści w istocie jest tym, co pozostało z Antônia.

Zorganizowana z troską, z zachowaniem wojskowego regulaminu scena – zwycięska końcowa uroczystość sił zbrojnych Republiki i pewność, że Canudos nie było zamaskowaną monarchistyczną kontrrewolucją, lecz buntem kuglarskich i pomylnych fanatyków – dobiegała końca przy polemicznej wymianie zdań pomiędzy obecnymi oraz zbieraniu manatków. Lecz Bittencourt nie dał jeszcze sygnału, że konferencja skończyła się. Przyglądał się obciętej głowie i jakby zapomniał o obecnych. Jakby ta głowa – zamknięte oczy, wąskie usta zacisnięte w śmiertelnym spazmie – zahipnotyzowała go... Wiem, to śmieszne, co teraz tu napiszę, ale ani wówczas, ani też później nie umiałem uwolnić się od podejrzenia, że ta odcięta głowa przemówiła nie tylko do Bittencourta, ale do wszystkich, którzy tam byli w szopie – jak przemawiają widma, bez wydawania głosu, a mimo to zrozumiale. Rozum odrzuca takie przypuszczenie, a ci, co nigdy cze-

gość takiego nie przeżyli, uznają to za szarlatańskie wymysły. Lecz marszałek nie był jedyny, który pod wpływem nagłego, przerażającego uroku wlepiął wzrok w to, co pozostało z Doradcy.

Dyrektor banku, chirurg, tak, nawet arcybiskup powstali z miejsc i podészli bliżej, jakby nieoczekiwanie wydarzyło się coś nadzwyczajnego, co pragną obejrzeć z bliska. Podniesiony przez dziennikarzy harmider ucichł, w nagłej ciszy i oni – powoli, z wahaniem – zbliżyli się ku Murzynowi.

Co się stało? Napiszę to tutaj, nie mogę uczynić nic innego – możliwe, że wyśmieją mnie z tego powodu. Stało się, że w tym momencie odcięta głowa przemówiła do nas – do wszystkich w szopie... Przemówiła nie słowami i dźwiękami, ale inaczej. Jak wierzyli dzicy ludzie w *caatindze*: umarli, przez krótki czas po śmierci, w tych pierwszych dniach mają jeszcze możliwość obcowania z żywymi. Lecz nie potrzebują już słów, głośnej mowy; duch zmarłego potrafi przemówić i bez pośredniczącego medium ciała.

Co powiedziała?... W osobliwy sposób, w nagłej ciszy, w martwym bezruchu, zrozumieliśmy tę bezdźwięczną mowę. Nie tylko marszałek gapił się wybałuszonymi oczami, zastygłym spojrzeniem – także inni, powątpiewający, cyniczni sprawozdawcy wojenni, wielkomięjscy, wykształceni, obyci ludzie słyszeli, że Głowa – ten fetysz z włosów i skóry, trzymany w ręce przez Murzyna – bez głosu, ale w sposób zrozumiały dla wszystkich, krzyknęła. A marszałek, z czołem pokrytym perlistym potem, jęknąc się, wypowiedział to, co zakrzyczała Głowa. Cofnął się o jeden krok, wyprostował i ochryple – jak ktoś, kto naraz pyta i odpowiada – tak zawołał:

– Brazylia!...

W tym momencie zrozumieliśmy, że to była odpowiedź Doradcy. W pomieszczeniu zapadła wielka cisza.

*

Nikt nie śpieszył się do odejścia. Wojskowi i osoby cywilne w bezradnym oczekiwaniu przyglądali się, co teraz nastąpi. Marszałek – blady niczym bohater w starych tragediach, gdy akcja dotarła już do najwyższego stopnia i wtrąca się deus ex machina – nie ruszał się. W tych chwilach – i potem w następnej godzinie, kiedy miałem możliwość, aby z bliska obserwować jego i wszystko, co jeszcze się wydarzyło – ten pulchny, starszy człowiek zachowywał się tak, jakby po raz pierwszy w życiu spotkał się z czymś, czego nie potrafił pomieścić w swoim zasobie wspomnień opartych na doświadczeniu. Zrozumiał, że wszystko, co dotychczas było dla niego wiedzą geograficzną, następnie wykształceniem pozyskanym w szkole, na seminariach oraz dokumentem, w istocie jest też czymś innym. „Brazylia” była dotąd, w świadomości marszałka, pojęciem, geograficznym obrazem, który ze znośną dokładnością przedstawiała mapa: mapa odwzorowywała góry i równiny. Dziką, leniwą rzekę o śmiertelnych nurtach, Amazonkę. I w oddali Andy. Jeden z rogów mapy ukazywał także okolicę, gdzie teraz staliśmy – tu znajdowały się jeden przy drugim namioty brazylijskich sił zbrojnych, gruzy Canudos, miasta wzniesionego z błota oraz – pośród ruin – skazani na śmierć dzicy ludzie. I w ręce Murzyna preparowana głowa, która z uporem, zaciskając wargi, mówiła: „Brazylia”.

Świat, który majaczył za mapą, był bezkształt-

ny: to była dzicz. Stale głodna, przyczajona do skoku puma. I miliony, miliony zwierząt hodowlanych, które milionami padały, kiedy susza poczęła dławić pastwiska i północno-wschodnie wybrzeże, okolice Canudos. (Teraz, na początku lata, już po wszystkim – także tutaj w szopie – czuć było, że zbliża się susza, soki życia zaczynają uciekać z ziemi, z roślin i z żywych istot). W dobrze urządzonej, wypełnionej po brzegi nowoczesną wiedzą umyśle marszałka to Pojęcie – Brazylia – teraz nagle przemieniło się, jak w oczach opętanego, któremu jakaś wizja ukazuje prawdziwe oblicze codziennej rzeczywistości. Lecz nie tylko marszałek, także my pozostali, obecni w szopie, zrozumieliśmy w tym momencie, że „Brazylia” to coś innego, niż uczyliśmy się w domowym otoczeniu, następnie w szkole i podczas wędrówek; coś innego niż to, co oznaczano etykietą „demokracji” czy „oligarchii”. Coś innego, niż wierzyli Kreole, którzy tu przybyli, żeby rabować i zabijać, lecz potem coś ich uwiodło, przywiązało do tych stron – dżungla, wybrzeże oceanu, krew i ciało. Coś innego, niż wyobrażali to sobie Metysi, którzy rodzili się tutaj z uścisków odrzucanych rumem i krwią białych i Indian. I coś innego, niż sądzili Murzyni, których przed trzystu laty i potem jeszcze nawet u końca minionego wieku, na dnie statków, ze Złotego Wybrzeża przywleczono tutaj siłą – tak że ci, co przeżyli porwanie ludzi, masową zagładę nazywaną transportowaniem, rękami i pazurami czepiali się tu ziemi, gór, wybrzeża, pastwisk i kopalni. I robili z Indian *zambo*¹. A teraz wszyscy oni, wspólnie, wrzeszczeli –

¹ *Zambo* – pejoratywna nazwa mieszanych potomków Murzynów i Indian.

głośno czy bezgłośnie – to, co krzyczała odcięta głowa: „Brazylia!...”.

Bo to się wydarzyło. Wiem, dla cudzoziemców i ludzi uczonych śmieszne jest to, co opisałem. Śmieszne jest wiele różnych rzeczy, których człowiek nie przeżył osobiście... Marszałek był blady. I wszyscy milczeliśmy. Wtedy – podczas gdy marszałek i Doradca patrzyli sobie prosto w oczy – zaszło coś jeszcze. To już nie tylko sobie wyobraziłem, wszak wszyscy, którzy w tym momencie znajdowali się w szopie, byli świadkami. Widzieli to także jego ekscelencja arcybiskup oraz wszyscy doświadczeni dziennikarze. Widzieli to również wielki chirurg oraz bogaty bankier. I wszyscy jęknęli albo syknęli, kiedy zobaczyli, że zaciśnięte, wąskie wargi Doradcy – te „usta” były już raczej jedynie cienką graniczną linią pośrodku maski ze skóry – wykrzywiły się. Nawet i dzisiaj nie wiem, co spowodowało tę zmianę. Może gęsty rum o wysokiej zawartości alkoholu, którym nasiąkła sucha, podobna do pergaminu skóra twarzy? Lub przesycone oparami ciepło wieczoru u początku lata? Temperatura w szopie?... Pewne jest tylko to, że usta Doradcy poczęły się uśmiechać – nie można było zrozumieć tego opacznie, usta uśmiechały się szyderczo. Ten szyderczy uśmiech był tak przerażający, że marszałek cofnął się i zakrył sobie usta ręką. Wielu gwizdnęło, syknęło.

*

Głowa uśmiechała się szyderczo, jakby w ten sposób odpowiadając marszałkowi... Opisałem to, bo tak to widziałem. Inni być może inaczej zrozumieli to, co widzieli.

Upłynęły długie chwile, nim Bittencourt pozbie-

rał się. Ten nadający się do panoptikum, potworny uśmiech był nieprzyjemnie zaskakującym finałem paradnej uroczystości końcowej. Marszałek pocił się, chustką wycierał sobie usta i czoło. W końcu przemówił – w wojskowym stylu, rozkazująco.

– Głowę zawieźć do Bahii. Jeszcze dziś wieczorem. Bezzwłocznie! – wychrypiał. Ruchem pełnym żalu Murzyn włożył głowę z powrotem do kotła.

Na odgłos nieoczekiwanego, surowego rozkazu prysło hipnotyczne odrętwienie. Dziennikarze poczęli hałasować. Co się stanie z głową? – pytali. Czy będzie wystawiona w Bahii, obniesiona po ulicach, czy może?... Pytali, w podnieceniu przerywając sobie bezładnie. Lecz marszałek nie odpowiadał na pytania. Teraz już znów był pewnym siebie, wydającym instrukcje urzędnikiem, surowym Szefem: skinął na dwóch adiutantów, którzy w lot zrozumieli rozkaz i po wojskowemu stuknąwszy obcasami, pośpieszyli eskortować z dwóch stron, pomiędzy sobą, Murzyna. Tak oto ruszyli ku wyjściu, w kierunku obozu i nocy, gdzie już czekał na nich zaprzęg z mułami, który powiózł na stację kolejową ów łup: uśmiechającą się szyderczo głowę Doradcy w kotle z rumem.

Marszałek chwilowo nie raczył odpowiedzieć dziennikarzom; kiedy Murzyn z kotłem opuszczał szopę, mówił do arcybiskupa. Rozmawiali po cichu i arcybiskup od czasu do czasu z powagą potakiwał, jakby zatwierdzał niezwykłe, lecz posiadające określony cel zarządzenie. My, którzy trzymaliśmy straż w pobliżu, zrozumieliśmy, że mówili o głowie Doradcy – o głowie, która wyruszyła teraz w drogę w kierunku dawnej stolicy Bahii, żeby tam pokazano ją ludowi, żeby ów szyderczo uśmiechający się, upiorny fetysz wystawiono na publiczny

widok na placu, jako namacalny dowód Zwycięstwa. Arcybiskup kiwał głową, ale jednocześnie patrzył w sufit, zasepiony – niczym fachowiec zastanawiający się, jakie następstwa będzie mieć publiczne pokazywanie jakiegoś religijnego, pogańskiego przedmiotu kultu.

Podczas gdy tak rozmawiali, jeden z przybocznych adiutantów – pułkownik Joaquim Manuel de Medeiros, zaufany marszałka, ten sam, który niewiele wcześniej odczytał na głos dane z listy strat ekspedycji przeciwko Canudos – szeptem poprosił gości, by pofatygowali się do namiotu dowództwa, gdzie czekają na nich napoje orzeźwiające. Większość dziennikarzy pośpieszyła ku wyjściu; najwyraźniej przyciągały ich nie tyle owe napoje i przekąski, ile raczej zawodowa ambicja: nie chcieli spóźnić się z wysyłką w świat swoich depesz. Pułkownik zapewniał ich przyjaźnie:

– Telegraf działa. – Konfidencko szepnęła do jednego i drugiego dziennikarza. – W Queimadas oczekuje na panów pociąg specjalny!... – Lecz marszałek dał znak, że raz jeszcze pragnie przemówić. Tłocząca się grupa stanęła z wahaniem.

– Panowie – rzekł Bittencourt w sposób niespodziewanie uroczysty. – Napiszcie o tym, co widzieliście. Młoda Republika przyniosła tu na pustkowiach sztandar triumfujących idei demokracji.

Przełknął ślinę – dało się słyszeć, że przygotowywał się do tego przemówienia, a mimo to zmieształ się, ponieważ teraz, kiedy wypowiedział te słowa, nie był pewien, czy idee mają sztandar. Dziennikarze, gotowi do odejścia, notowali niecierpliwie, lecz z zawodową dyscypliną. Marszałek odchrząknął i głośno powiedział:

– Wielkim zadaniem demokracji będzie to, by wy-

plenić brak wykształcenia i kultury, źródło wszelkiego ludzkiego zła.

Czuło się po jego głosie, że i tego nauczył się wcześniej na pamięć. Rozejrzał się wokół, jakby czekał na oklaski. Aplauzu zabrakło; przemówił niechlujny mały człowiek – ten sam, który przedtem jako pierwszy zapytał, co się stało z Doradcą. Stojąc naprzeciw marszałka, półzgięty niczym myśliwy, gdy w gęstwie unosi nóż i szykuje się do dźgnięcia, głośno, surowo rzekł:

– Plewienie braku wykształcenia i kultury demokracja rozpoczęła od tego, że wypleniała niewykształconych, nieobytych ludzi.

Zniewaga huknęła niczym petarda. Marszałek nagle pochylił się w przód, jak człowiek, który w bezpośredniej walce otrzymał cios hakiem w brzuch. Oddychał głęboko, poczerwieniał. Końcem laseczki wskazał w kierunku otwartego okna, mroku, pustkowi, Canudos. Zapytał:

– Czy pan wie, co jest tam, w ciemności?...

Sprawozdawca wojenny wzruszył ramionami:

– Wiem – odparł cicho. – Brazylia.

Odpowiedział tym samym słowem, co przedtem Głowa i marszałek – lecz teraz słowo to miało inny sens. Odwrócił się, zbierał się do odejścia. Nim dotarł do progu, zatrzymał go głos marszałka:

– Pańskie nazwisko!...

Tonem osoby prowadzącej towarzyską konwersację, uprzejmie odpowiedział:

– Euclides da Cunha.

Niedźwiedzim krokiem, ślamazarnie ruszył ku wyjściu. Nazwisko nic nie mówiło marszałkowi. Lecz dziennikarze usłużnie rozstępowali się na boki przed odchodzącym, jakby wiedzieli to i owo o sprawozdawcy „Estado de São Paulo” i czuli wo-

bec niego respekt. Bittencourt z otwartymi ustami patrzył za odchodzącym. Nim zdołał przemówić, mały człowiek minął już drzwi szopy i zniknął w ciemności.

Teraz, przywołując tę chwilę, spojrzałem w górę na półki, gdzie na tytułowych kartach grubych, oprawionych w skórę książek przeczytać można nazwisko Euclidesa da Cunhii. W tych książkach, w wielu setkach tysięcy odmiennych wydań przeczytać można wszystko to, co autor określił wówczas jedynym słowem: „Brazylia”. Przed pięćdziesięciu laty, w szopie Rancho do Vigário nie śniłem nawet, że kiedyś takie książki stać tu będą rzędami na półkach biblioteki w São Paulo. I kiedy – przed pięćdziesięciu laty – po raz pierwszy usłyszałem to nazwisko, nie miałem też pojęcia, że pewnego dnia napiszę książkę o tym, co potem przeżyłem na swój sposób. I o czym Euclides da Cunha już nie zdał relacji, ponieważ nie było go tam, gdy wydarzyło się to, o czym teraz napiszę.

*

Bo teraz już wszystko następowało szybko. Jakby odszedł Naoczny Świadek – człowiek, który w chaosie wydarzeń dojrzał prawdę – a my, uczestnicy, którzy byliśmy tylko statystami w tej rzeczywistości, poczęliśmy się uwijać, gdy opadło napięcie. Bittencourt też się opamiętał; naraz znów był Szefem, który rozporządza podwładnymi bez ograniczeń. Gardłowym głosem wydawał rozkazy, uprzejmie odprowadził arcybiskupa do drzwi szopy, wymienił uścisk dłoni z chirurgiem i prezesem banku, ubolewał nad tym, że dopiero o świcie będzie mógł podążyć ich śladem do Queimadas, ponieważ – co zrozumiałe – ma tu jeszcze coś do zrobienia

nocą, osobiście chce skontrolować zwinięcie obozu, wymarsz oddziałów oraz szczegółoly zaplanowanej na świt akcji oczyszczania...

Dowiedzieliśmy się, że zgodnie z planami marszałek dopiero po północy wyruszy z powrotem do kwatery głównej – i była to żołnierska, odważna decyzja, bo nocna przeprawa przez gęstwą *caatingi* nawet teraz, po zniszczeniu najeźdźczych sił zbrojnych Canudos, nie była przedsięwzięciem pozabawionym niebezpieczeństwa. Arcybiskup, dwaj panowie z miasta i niejeden ze sprawozdawców wojennych pożegnali się z marszałkiem uprzejmym uściskiem ręki, jednak większość dziennikarzy przejmowała się już tylko tym, żeby szybko zająć miejsce na którymś z zaprzężonych w muły wozów, otoczonych jednostkami ochrony, i śladem specjalnego oddziału, wiozącego głowę Doradcy, rychło dotrzeć do Queimadas, gdzie będą mogli posłać w świat swoje doniesienia.

Szopa wkrótce opustoszała. Bittencourt, wsparty na laseczce, odczekał, aż osoby cywilne znikną w ciemności. W bezruchu słuchał głośniejszym wymiany zdań pomiędzy odchodzącymi, trzasku biczy, którymi uderzali wozacy, kierujący zaprzęgami mułów, skrzypienia kół pojazdów i urywków rozmów. Jak zawsze na początku lata, tak i teraz nad *caatingą* gwałtownie zapadł zmrok. Wokół Rancho do Vigário poczerniało, bez zmięzchu i bez najmniejszego przejścia. Przypominające robaczki świętojańskie światełka pochodni i lamp acetylenowych eskorty pojazdów pokazywały w gęstym mroku *caatingi* krętą drogę wlokącego się pochodu.

W obozie panowała cisza. Czasem któryś z trębaczy wydobywał ochryply dźwięk ze swej trąbki, ale siły zbrojne Republiki już się pakowały, płone-

ły ogniska. Może to obecność marszałka sprawiła, że po cygańsku hałaśliwe obozowisko stało się teraz takie ciche. Żołnierze karnie szykowali się do drogi powrotnej. Lecz może i coś innego spowodowało, że obóz pograżył się w nagłej ciszy: jakby teraz, po dziesięciomiesięcznym, bezrozumnym mordowaniu ludzie oprzytomnieli, uświadomili sobie, że to „zwycięstwo” tak naprawdę jest czymś innym, niż sobie dotąd wyobrażali. Nie tylko obozowisko ucichło; osobliwie, złowieszczo cicha była też ta ciemna masa gliny zmieszanej ze słomą, jaka – kilka kilometrów dalej – pozostała z Canudos.

Nieco ponad trzystu ludzi – wartownicy przynieśli dokładne wieści, nie kłamali też ostatni jeńcy, którzy jeszcze przywlekli się do nas o świcie – żyło tam po drugiej stronie. Ale teraz i oni umilkli. W ostatniej godzinie nie padł ani jeden strzał. Jakby Canudos przestało istnieć.

Ordynansi przynieśli ogromne, kościelne świece i pośrodku długiego stołu ustawili dwa świeczniki. Szeregowcy zgarnęli już w stos zwycięskie trofea i wynieśli je; na stole nie pozostało nic, jedynie te dwa świeczniki i zwinięte w rulon, spisane na żółtych paskach papieru raporty dowódcy jednostki. Oficerowie sztabowi i adiutanci, którzy towarzyszyli tutaj marszałkowi i przez cały ten czas aż dotąd w milczeniu, z niemal nieskrywanie wrogim i podejrzliwym wyrazem twarzy przyglądali się wydarzeniom końcowej uroczystości w Canudos, powoli zbliżyli się i jeden obok drugiego ustawili się w półkolu za Bittencourtem. Wydawanie rozkazów, uroczysta chwila podjęcia ostatnich działań wojennych interesowała wszystkich: dyżurni oficerowie po kolei przekazywali na ręce marszałka przygotowane raporty o oddziałach wojskowych, rannych,

armatach, pozostałej amunicji, ponadto o namiotach, noszach. Bittencourt kartkował dokumenty z widocznym zadowoleniem. Patrząc w sposób charakterystyczny dla krótkowidza, ze skrupulatną orientacją fachowca szybko odnajdywał w kolumnach liczb to, co najistotniejsze, i prostymi zdaniami wydawał instrukcje.

Marszałek i oficerowie uzgodnili harmonogram pakowania, zwijania obozowiska i wymarszu o świcie. Wszystko to działo się szybko, z żołnierską i urzędową precyzją. Oficerowie sztabowi po otrzymaniu rozkazu odbierali żółte dokumenty, salutowali i czekali na pozwolenie, by powrócić do oddziałów.

– Panowie proszeni są o pofatygowanie się do namiotu dowództwa – rzekł cicho młody adiutant przyboczny.

Wieść, że przed zwinięciem obozu i wymarszem marszałek kazał podać napoje orzeźwiające również oficerom – jak wcześniej gościom cywilnym – obecni skwitowali pomrukiem zadowolenia. Kiedy ostatni oficer sztabowy – pułkownik weteran o białych wąsach, który w pierwszych tygodniach ekspedycji przeciwko Canudos otrzymał postrzał w twarz, ale ledwie wyleczył ranę, powrócił do oddziału – minął drzwi szopy, Bittencourt zrzędliwym, zduszonym głosem wezwał majora, który uprzednio informował dziennikarzy o sytuacji w Canudos:

– Sampaio!...

Major, z ręką na temblaku, stał przy końcu długiego stołu wspartego na krzyżakach. Zbliżył się bez słowa i w pozycji na baczność czekał na rozkaz. Bittencourt nie podniósł na niego wzroku. Zapytał – mówiąc w przestrzeń – od niechcienia: „Dwustu ludzi wystarczy?...”. Major, nieruchomy, odparł:

„Wystarczy”. Mówili o „oczyszczaniu”, fachowo. Rozmawiali jak dwaj wspólnicy i nie patrzyli sobie w oczy. W bladym świetle kościelnych świec twarz młodego majora wyglądała tak, jakby postarzał się nagle. W taki właśnie sposób, bez najmniejszego przejścia, starzeją się w dziczy żywe istoty, kiedy susza wysysa z ciał młodość, podobnie jak z krzewów – soki. Mówili po cichu. Rozmawiali o poufnych i wstydliwych wewnętrznych sekretach tragedii w Canudos... I żaden z nich nie napomknął nawet słowem o tym, że teraz, na końcu owego przykrego epizodu, triumfująca Republika mogłaby zakończyć te wydarzenia aktem łaski... Ale możliwe, że w świadomości Bittencourta mignęła taka alternatywa, bo słowa uwięzły mu w gardle, jakby się zastanawiał. W tym momencie przed wejściem do szopy dały się słyszeć ochryple okrzyki.

– Viva, viva!... – wołano.

Oficerowie spojrzeli po sobie. Bittencourt ze wstrętem zapytał:

– Co się tam dzieje?...

Kapitan Lauriano da Costa, dowódca oddziału specjalnego odkomenderowanego do egzekucji jeńców, wzruszył ramionami. Kiedy w ciemności ponownie zabrzmiał śmiejący się w głos, pokrzykujący chór, wyprostował się. Ze spokojem stwierdził:

– Przyprawdzono ich w południe. Jest ich troje. Dwóch mężczyzn, jedna kobieta.

*

Nie trzeba było tłumaczyć, wszyscy w szopie rozumieili, co dzieje się tam na zewnątrz, w mroku. W pobliżu namiotu dowództwa – gdzie goście i oficerowie częstowali się przekąskami i napojami dla orzeźwienia – żołnierze plutonu egzekucyjnego szy-

kowali się do zabicia trzech jeńców z Canudos. A przed egzekucją szyderczo zachęcali ofiary, żeby zawołały: „Viva, viva!”... – niech w taki sposób zawiatają na cześć Republiki, to skończą z nimi łaskawie i litościwie: otrzymają kulki. W ostatnich tygodniach owa gra towarzyska była już czymś codziennym; jeńcy, którzy odmawiali wiwatowania na cześć Republiki, zamiast od kulki szli na tamten świat od innego rodzaju śmierci: żołnierze chwyтали ofiarę za włosy, odchylali jej głowę do tyłu i podrzynali jeńcowi gardło – albo, jeśli się śpieszyli, kończyli z nim jednym dźgnięciem w brzuch. Wiedzieli o tym w obozie wszyscy; zarówno oficerowie, jak i dowódca plutonu egzekucyjnego, kapitan Lauriano da Costa. Wiedział o tym także marszałek.

Ta odrażająca żądza krwi była jednym z najohydniejszych rozdziałów tego, co nieludzkie w Canudos. „Viva, viva!” – wołali żołnierze i szyderczo śmiali się w głos, zachęcając jeńców, by prosili o litościwą śmierć. Lecz wśród buntowników jedynie nieliczni reagowali na to szydercze i okrutne wezwanie. Teraz też nie dało się posłyszeć nic innego, jak tylko odarty z wszelkiego człowieczeństwa rechot szeregowców w mroku.

Marszałek posępnie, więcej, z widocznym wstrętem popatrzył na swych oficerów. Lauriano da Costa zrozumiał w lot to spojrzenie i jakby tłumacząc się, powiedział:

– Przynieśli wiadomość.

Marszałek odparł z pogardą:

– Wiadomość? Od kogo?...

– Od Doradcy. Mówią, że nie umarł.

*

Jeden i drugi oficer wzdrygnął się i odchrząknął z oburzeniem. Inni szyderczo wybuchli głośnym śmiechem. Jednak marszałek – ku osłupieniu obecnych – nie śmiał się. Bez zdziwienia, spokojnie, urzędowym tonem zapytał:

– Żyje?...

Lauriano da Costa, jak wcześniej, odpowiedział niepewnie:

– Tak mówią. I przesyła jego Ekscelencji wiadomość.

Marszałek rzucił z powagą:

– Jaką wiadomość?

Major, zmieszany, odparł:

– Mogą ją przekazać jedynie osobiście...

Wszyscy oczekiwaliśmy, że marszałek zareaguje odmownym skinieniem ręki, uważając, że byłoby poniżej jego godności odpowiedzieć na ową wieść w inny sposób. Lecz Bittencourt myślał inaczej. W tych chwilach – i potem, w następnej godzinie – ten pedantyczny urzędnik przeszedł tu na pustkowiach taką przemianę, jaką ludzie przeżywają w momencie wielkiego zaskoczenia, zgotowanego im przez życie: nie wiedzą dokładnie, co się dzieje, ale rozumieją, że to jest ta chwila, kiedy ich dotychczasowa tożsamość, a także wszelkiego rodzaju role, jakie grali w swym życiu, naraz ulegają deformacji, zmieniają się, jakby ich osobowość wykrzywiła się w grymasie. Nie oburzył się, nawet nie zaprotestował. Spojrzał na kapitana tak, jakby teraz – u końca parady – oczekiwał takiego zwrotu akcji.

Doniesienie było niezrozumiałe, śmieszne. W końcu śmierć Doradcy była faktem udowodnionym przez świadków, za pomocą protokołu i fotografii. Hipoteza, że komisja identyfikacyjna pomyliła się,

wykonała fuszerkę, czy też – przez zeznanie przypadkowych świadków bądź przez działanie w złej wierze – błędnie zidentyfikowała wodza tego plemienia buntowników, była nie do pomyślenia i mogła spowodować niebezpieczne konsekwencje. Teraz, kiedy za pomocą teatralnej i nadętej reżyserii zakończono przed całym światem ten straszny i smutny dramat, doniesienie trzech przypadkowych świadków, którzy wywlekli się z grobu w Canudos, nie mogło zakłócić urzędowego finału, nawet jeśli owa wieść była prawdziwa. Dlatego wszyscy oczekiwali, że marszałek wyda rozkaz, żeby skończyć z tymi, co przynieśli wiadomość.

Jednak marszałek milczał. Dla świata Canudos było oficjalnie zamkniętą sprawą, jakby posypanymi piaskiem do obsuszania atramentu i umieszczonymi w państwowym archiwum aktami. Lud Brazylii został poinformowany za pomocą telegrafu, że Porządek zatriumfował w starciu z Chaosem, Rozum jest silniejszy od ciemnych energii dżungli, silniejszy od Instynktu, naprzeciw którego znów stanęła w sporze Cywilizacja... I to spotkanie tutaj na pustkowiach, w północno-wschodnim zakątku Brazylii, wykrzesало złowróbną iskrę. Tę lekcję zakłóciła wzmianka rzucona przez dowódcę plutonu egzekucyjnego, który – zobojętniałym, znudzonym tonem – napomknął, że żyje jeszcze troje ludzi, którzy ośmielają się twierdzić, iż Doradca nie umarł.

Wreszcie marszałek przemówił. Cicho – nie spojrzawszy w tył – rzekł:

– Przeprowadzić ich.

A kiedy kapitan – zamarły z osłupienia – nie ruszył się, jedynie pochylił się w przód, jakby nie pojmował rozkazu, dodał:

– Nie rozumie pan?... Żywych. Natychmiast.

I osłoniętym gumą końcem laseczki trzykrotnie, niecierpliwie zastukał w polepę.

*

Lauriano da Costa wyszedł po jeńców, a marszałek – jakby zapomniawszy, że jest nas jeszcze kilku w szopie: oficerowie, trzymający straż szeregowcy z bagnietami i ja, bezimienny nikt, skryba – usiadł w jedynym fotelu pomiędzy dwiema świecami. Stałem od niego może na wyciągnięcie ręki, wyprężony na baczność, z przyniesionym do protokołowania zeszytem pod pachą, z buteleczką atramentu i przyborami do pisania w ręce. Marszałek oparł laseczkę o kant stołu i splótł ramiona. Płaszcz z alpaki, okulary, laseczka, wszystko to było takie, jakby wcale nie znajdował się na pustkowiach, naprzeciw śmietniska oblędu w Canudos, lecz oczekiwał swych znajomych na partię kart w kasynie w São Paulo. Stałem blisko niego i miałem czas przyjrzeć mu się uważnie. Nigdy nie śniłem, że kiedyś z tak bliska będę mógł obserwować wielkiego pana, jednego z potężniejszych ludzi Państwa. Dobrze pamiętam wszystko, co widziałem. W tych chwilach, gdy marszałek czekał na jeńców, jego twarz nie była zagniewana ani surowa, jak wcześniej, kiedy rozmawiał ze sprawozdawcami wojennymi i zwłaszcza z tym *aficionado*, z Euclidesem da Cunha. Jego twarz była teraz raczej zmęczona, smutna – oczywiście, o ile takie określenie jest stosowne dla tak potężnego człowieka. Patrzył w dal jak ktoś, kogo u kresu wielkiego wysiłku ogarnia niepewność, bo po raz pierwszy przychodzi mu na myśl, że wszystko, co się wydarzyło, być może wcale nie było takie bezsensowne, jak to sobie wyobrażał. Tak siedział i czekał na jeńców.

Nie czekał długo: po upływie kilku minut zbliżyli się, powłócząc nogami. Jako pierwszy nadszedł pewien kapral, z bronią z bagnetem na ramieniu, ze sznurem w ręce, którego jeden koniec zwinął w pętlę i umocował wokół nadgarstka. Na tej linie – niczym na sznurku do nawlekania, przytrzymującym razem kamienie prymitywnego naszyjnika – ciągnął za sobą trzech jeńców. Pojawili się gęsiego. Lina naprężyła się wokół ich szyj, niczym na szubienicy, w chwili gdy kat szykuje się, by odepchnąć stołek spod nóg skazańca. Ręce skrępowano im na plecach i prowadzący ciągnął za sobą tych troje ludzi tak, jak pasterz ciągnie bydło na targu. Pochód zamykał szeregowiec z bagnetem. Lauriano da Costa wolno szedł ich śladem. Zatrzymał się w proggu, z kieszeni bluzy wyjął cygaro i wykazując przy tym swoistą pedanterię, zapalił je bez pośpiechu. Tam też pozostał, na proggu, obserwując to, co nastąpiło.

*

Jeńcy, ze sznurem na szyjach, zatrzymali się przed marszałkiem. Kapral zasalutował, lecz nie popuścił liny, za pomocą której przyprowadził tutaj przybyszy z Canudos. W szopie robiło się już ciemno, ale ogromne świece promieniowały wystarczającym światłem, by można było dostrzec twarze.

W końcu długiego stołu siedział, z łokciami na blacie, major Sampaio. Zranione ramię ułożył na brzegu stołu, brodę wsparł na zdrowej ręce, jakby wcale nie był na służbie, jak podpierają się łokciami żołnierze popijający w kantynie. W szopie pozostało jeszcze trzech oficerów sztabowych i przyboczny adiutant marszałka – ci zajęli niektóre z pustych krzeseł, przyniesionych tutaj dla wygody znakomitości z miasta. A przed stołem, w fotelu z podłokiet-

nikami, pomiędzy dwiema płonącymi świecami, marszałek. I ja, skryba, u końca stołu. Tak oto siedzieliśmy i czekaliśmy w szopie, kiedy wprowadzono jeńców.

W mrocznym pomieszczeniu panowała duchota. W oknach wstawionych w ściany z suszonej cegły brakowało szyb, ale wnikający do wnętrza strumień powietrza nie przynosił chłodu ani orzeźwiających woni. Lato przybyło w tym roku wcześniej: już teraz, w pierwszych dniach października powietrze było przesycone zbliżającym się gorącem, gorzkim zapachem wysychających pustkowi. Ludzie, stada bydła, dzikie kozy i inne istoty żyjące na tych porośniętych z rzadka krzakami i kolczastymi krzewami terenach zaczęły uchodzić już w połowie zimy, w lipcu. Po przypominającym oddech pieca gorącu za dnia, bez żadnego przejścia następował straszliwy ziąb tropikalnych nocy. Ptaki opuściły te północno-wschodnie peryferie latem minionego roku, w grudniu. Od strony Recife stale migrowały głodujące bociany. Susza, niczym tężec, przymusiła do boleśnie zgiętej pozycji nawet karłowate drzewa, te sztywno powyginane grupowe rzeźby z drewna korzeni, a także kaktusy, skute wypieczoną i twardą niczym ceramika glebą wzgórz.

Na świętą Lucję, w połowie grudnia ubiegłego roku, pasterze powtórzyli zabobonną próbę: jak każdego roku, tak i wtedy ułożyli wzdłuż pastwisk, w bruzdach skrawków pól bryły soli i o świcie z niepokojem badali, czy na ich powierzchni wytraściła się wilgoć, czy powietrze ma jeszcze jakąś zawartość pary?... W grudniu minionego roku, w krytycznych dniach drugiej ekspedycji przeciwko Canudos, kiedy pod dowództwem majora Febronio de

Brito przybyło tu do Monte Santo trzystu piechurów, w *caatindze* i na pastwiskach rozeszła się złowróźbna wieść, że następnego lata nie będzie deszczu, bo grudy soli, co do jednej, pozostały twarde jak kamień i suche... Przydzieleni do oddziału geodeci wyśmieli ten zabobon.

Lecz szeregowcy nie śmieli się. Ludzie wiedzieli, że teraz już walczyć trzeba nie tylko z buntownikami, ale i z niewidocznym, od wszystkiego i wszystkich bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem, z suszą, która – niczym wampir – wysysa soki życia z gleby, roślinności, zwierząt i ludzi. I susza nadeszła nagle, bez najmniejszego przejścia – niczym zaraza, dyzenteria czy tropikalny udar słoneczny. Na horyzoncie majaczyły niekiedy błyskawice, jednak deszcz nie spadał. Po gorących dniach, w zimne jak lód noce gwiazdy świeciły ponad wysychającą roślinnością w taki sposób, jakby promieniowały nie tylko światłem, ale też pozaziemskim ciepłem, które już nie sięga ziemi. Dało się słyszeć, jak nocą wróg prowadzi procesje w mieście z błota – śpiewano *Kyrie*, błagano o deszcz. Ten śpiew suchą, chłodną nocą był przeraźliwy, upiorny. Lecz kanały nieba nie otwarły się.

*

Ofiary następujących jedna po drugiej wojskowych ekspedycji niepochowane leżały wzdłuż spękanych, wydeptanych ścieżek. Zwłoki żołnierzy wyschły niczym mumie – ten i ów pozostał w pozycji siedzącej na skraju drogi, z jedną ręką uniesioną ponad głowę w obronnym geście, zeszywniawszy w suchym gorącu, który wyszał z krzaczastej gęstwiny ostatnią kroplę wilgoci, wypił też żyły wodne, ukryte w głębi ziemi. Z wygarbowanych ludzkich

i zwierzęcych zwłok pozostały jedynie wysuszona na sżywno skóra i białe kości. Choroba suszy, kurza ślepotą zaraziła wlokące się naprzód kolumny marszowe: widmowe stada, leżące wokół wyschniętych wodopojów, brano czasem za oddziały wroga i strzelano do omdlałego bydła. Ginała z pragnienia trzoda, którą porzucili tutaj pasterze – kiedy zaczęli uchodzić przed klęską – patrzyła na maszerujących ludzi, błagając o pomoc... Lecz wszyscy wiedzieli, że nie ma pomocy.

Ten upiór, susza, od samego początku stale towarzyszyła ekspedycji przeciwko Canudos. Była jak jakaś sekretna broń pustkowi, broń, przeciw której nic nie pomoże. Kilka tygodni wcześniej, przy końcu zimy, w lipcu, suche powietrze ogryzło pastwiska niczym toczeń skórę twarzy. Ale już na świętego Józefa, w marcu wszyscy wiedzieli, że w tym roku deszcz nie spadnie: ten drugi zabobonny dzień – tu w tropikach jest on czymś w rodzaju święta Matki Boskiej Gromnicznej w Europie – przyniósł sygnał alarmowy: zamiast deszczu ponad pustkowiec rozlał się oślepiający potok światła. Teraz już wiedział i człowiek, wiedziało i zwierzę, że nie ma ratunku: rozpoczęło się bezlitosne, bezgłóśne masowe morderstwo, przed którym nie można było ująć. Życie wyszło z wszelkiej organicznej materii, z ciał i roślin. Na początku lata, w październiku nie pozostało w kolczastych zaroślach i na pastwiskach nic, jedynie szkielety padłych zwierząt, mumie zmarłych z pragnienia ludzi, te zabalsamowane słońcem zwłoki. Pasterze już w połowie zimy, w czerwcu zaczęli pędzić stada w kierunku nadbrzeżnych, dalekich pastwisk. Ludzie postępowali za nimi z wolna, ociągając się.

Tylko tamci z Canudos nie uciekli przed niewi-

działnym i okrutnym wrogiem, przed suszą: jakaś bezrozumna siła zmuszała ich, by pozostali na miejscu.

*

Jeńcy wojenni, których – z zapętloną na szyjach liną i rękoma skrępowanymi na plecach – przypędzili do szopy piechurzy z bagnetami, wnieśli do pozbawionego powietrza pomieszczenia widmo suszy. Jakby wcale nie byli ludźmi, a marionetkami wyrzeźbionymi z wypalanej, wyschniętej na kamień gliniastej gleby tych terenów. Ale wyglądali też niczym indiańskie rzeźby w muzeach, wystrugane przez błędnych artystów pustkowi z drewna korzeni i kości zwierząt.

Żyli, lecz już tylko tak, jak by było wokół wyschniętych wodopojów, niemające siły nawet na tyle, by zaryczeć. Wszyscy troje ubrani byli w takie same luźne szaty, *sacco benedetto*, żółte płócienne koszule z niebieskim krzyżem z przodu i z tyłu, z językami piekielnego ognia, koszule noszone dawniej przez tych, których inkwizycja skazywała na stos. Wiedzieliśmy w obozie, że ten strój był w Canudos swego rodzaju pogańskim zakonnym przebraniem: mogli go nosić tylko „ubodzy”, a więc ci, co bytu wspólnoty nie wspierali datkami. I chodziła pogłoska, że Doradca – który w innym wypadku surowo wymagał od wiernych wspólnoty majątkowej – był dla tych biedaków wielkoduszny, żywił ich.

Na pierwszy rzut oka trudno było odróżnić, które z tych trojga jest kobietą. Przed trzema dniami, kiedy Pobożny Antoni¹ – szpieg i zausznik Dorad-

¹ Mowa tu o jednym z najbliższych współpracowników Doradcy, noszącym przydomek Antônio Beato.

cy – przyprowadził do nas z Canudos trzysta kilkoro starców, kobiet i dzieci, zeznał podczas przesłuchania, że w mieście z błota nie ma już kobiet. Ten Pobożny Antoni – chytry Mulat – był zakrystianem w Sanktuarium w Canudos. Jednocześnie był też szefem policji w mieście z błota, pełnił służbę polegającą na wewnętrznym, prywatnym szpiegowaniu dla Doradcy. To on szpiclował na spotkaniach mieszkańców chat w Canudos, wiedział o wielu różnych rzeczach i dlatego wydawało się prawdopodobne, że to, co mówi, jest prawdą. Ale teraz, na zakończenie, przybyła z Canudos jeszcze jedna kobieta. Które z tych trojga było kobietą?...

Marszałek skinął ręką i szeregowiec rozwiązał sznur z szyj i rąk jeńców. Niczym ci, co uwolnili się od wielkiego ciężaru, wszyscy troje raptownie przykucnęli i splekli ręce na piersi. Było coś śmiesznego w tym pośpiechu, z jakim przysiedli na piętach i pozostali w kuckach. Osobnik po prawej był Metysem, starszym człowiekiem o szerokich kościach jarzmowych, niskim czole. Nosił sfatygowany kapelusz i jeden z szeregowców, wymierzywszy dłońią policzek Metysowi, zrzucił mu ten kapelusz z głowy, bo buntownik okazywał brak szacunku, zjawiając się przed obliczem wielkiego pana, ministra wojny, z nakrytą głową. Tłuste włosy Metysa obcięto na równo i szczesano w dół na czole – przypominało to fryzurę żebrzących zakonników. Kiedy kapelusz potoczył się, Metys z wolna obrócił głowę, patrząc za nim. Na szerokich kościach jarzmowych skóra napinała mu się niczym na wyschniętych zwierzęcych łbach. W kucki, z rękoma skrzyżowanymi na piersi podobny był do wyciosanych z pni kaktusów zezowatych świętych, stojących wzdłuż skrawków pól prowadzących do Sanktu-

arium w Canudos. Sztywno spoglądał śladem kapelusza, jakby to był jedyny przedmiot na ziemi, z którym osobiście coś go łączyło i z którym teraz się żegna. Ten wzrok był wskazówką, że za wyschniętą maską ten człowiek jeszcze żyje i coś wie o sobie, o swym położeniu i losie.

Jeniec po lewej był krępyim Murzynem – nie Mulatem, lecz czarnym jak sadza Murzynem, potomkiem przywleczonych tutaj niewolników, którego żaden przodek nigdy nie zmieszał się z Indianinem ani z białym. Ten Murzyn nie był takim wyschniętym strachem na wróble, jak Metys, jak – bez wyjątku – wszyscy jeńcy, których nasi żołnierze przyprowadzili w ostatnich dniach z Canudos. Większość z nich była szkieletami, a złapano ich dlatego, że pozostała resztką walczących w Canudos już ich wypchnęła ze Świętego Miasta, bo nie chciała dzielić z nimi ostatniego kęsa żywności czy resztek zgniłych, stęchłych łyków z bukłaków na wodę. Murzyn nie był „grubasem”, ale w jakiś sposób zachował masywność ciała – jego czarna twarz była okrągła, jak może być okrągła twarz wypchanej szmacianej lalki. Brakowało mu jednego oka – wybiła je kula – w jego miejscu była dziura ze skrzepem krwi. Lecz drugie oko pozostało nietknięte i sprawne, błyszczące, i patrzyło rozumnym wzrokiem. Na głowie, ciele, ramionach widać było blizny po ciężkich ranach, które Murzyn nosił i pokazywał z taką pewnością siebie, jak żebracy pokazują ułomne kończyny. Jego wełniste włosy o krótkich kędziorach, krwiste, wydęte wargi, mięsiste, pełne ciało, ta czarna masa tłuszczu, wszystko to sprawiało „ludzkie” wrażenie – ale jakby na granicy człowieczeństwa, granicy, która w puszczy raczej łączyła, niż oddzielała zwierzęta i ludzi... Mimo wszystko ten Murzyn

– już czy jeszcze – był człowiekiem i nie wypaczyły go życie w Canudos, walka, głodowanie czy pragnienie, pozostał człowiekiem. Najwyraźniej ostał się tutaj z owej murzyńskiej osady, która nosiła nazwę Palmares – była to czarna republika, państwo w państwie, założone przed dwustu laty w Brazylii przez murzyńskich zbiegłych niewolników – i później, kiedy upływ czasu i okrucieństwo pustkowi zmusiły ich, żeby poniechali własnej niezależności i działali wspólnie ze swymi dawnymi panami, Kreolami, potrafili zachować jakąś praczłowieczą odrębność. Czytałem w książkach, że Palmares założyło może trzydzieści tysięcy albo jeszcze więcej zbiegłych murzyńskich niewolników. Pozostali oni żywym przykładem na to, że Murzyn nie jest takim oślepłym, apatycznym niewolnikiem, jak to głosili Metysi – owi pochodzący z Afryki Murzyni zachowali skłonność do buntu oraz potrzebę niezależności także w obozach przymusowej pracy na plantacjach i potem w dziczy. Cesarz, Dom Pedro, przed blisko dwustu laty nie bez powodu zabronił, by mieszkańcy południowych wybrzeży oraz puszczy na północy stykali się z sobą. Oligarchowie bali się Murzynów – co najmniej tak samo bali się tych w niewoli, jak i tych na wolności.

A teraz przykucnął tu jeden z nich, żywy przykład na to, że człowiek – będąc czarnym, bliższym zwierzęciu niż człowiekowi – także w tym wielkim tyglu potrafi zachować buntownicze skłonności. Upstrzona językami płomieni żółta, obszarpana bluza przykrywała ludzkie ciało, w którym nawet nędza Canudos nie była w stanie spowodować, by obumarł odwieczny poryw sprzeciwu. A ze znajdującego się w okolicy piersi rozcięcia kurty, spod pa-

chy Murzyna, wystawał ustnik glinianej fajki z długim cybuchem.

Szeregowiec, pogardliwym gestem – jak wcześniej zerwał kapelusz z głowy Metysowi – wyszarpał fajkę spod pachy przykucniętemu Murzynowi. Miała długi na metr cybuch – a na jego końcu przypominającą naparstek główkę ze srebrną przykrywką – i musiała być jedynym skarbem Murzyna, bo – jak wcześniej Metys za kapeluszem – tak i Murzyn rozglądał się z żalem. To była jedyna chwila, kiedy na twarzy Murzyna – w oczach, wokół ust – zabłysła namiętność. W tym porywczym rozżaleniu było coś śmiesznego. Wszyscy, którzy to zobaczyliśmy, roześmieliśmy się... Teraz, dużo później, sądzę, że raczej tylko wyszczerzyliśmy zęby, zmieszani... Ale możliwe, że to już sobie tylko wyobrażam.

Metys i *quilombola* – jak gwarą północnych krajin nazywano u nas potomków czarnych uciekinierów – przycupnięci, ujmowali pomiędzy sobą trzecią osobę – tę, która spośród ich trojga prawdopodobnie uchodziła za kobietę. Lecz któżby rozpoznał w tym szkielecie i trupiej czaszce kobietę? Mimo wszystko rzucało się w oczy, że do twarzy tej żywej istoty nie przywarł ów dziwny grymas, w jakim wykrzywili się jej towarzysze, Murzyn i Metys: patrzyła sztywno i machinalnie, niczym malowane lalki, podczas gdy do wyschniętych i twardych niczym łupina kaktusa twarzy jeńców, podobnie jak do odciętej preparowanej głowy Doradcy, lepił się ten wywołujący ciarki na plecach grymas, przylgnięty niczym pigment, brązowy jak kawa czy czarny kolor skóry. Możliwe, że jest taki stopień cierpienia i nędzy, kiedy ludzka twarz traci mimiczne zdolności wyrażania emocji i już tylko za pomocą grymasu, rozedrganego wykrzywienia ust opowiada o tym,

co myśli i czuje człowiek żyjący za maską?... Osoba, która uchodziła za kobietę, nosiła maskę, choć maska ta nie zdradzała żadnej namiętności: była obojętna, jakby wypalono ją z gliny. Zastygłe rysy, półprzymknięte oczy, surowo zaciśnięte jak u obłąkanego wąskie usta o jednakowoż pięknej linii, wszystko w tej twarzy było tak obojętne, jak na masce.

Fenomenowi zwanego „kobiecością” – będącego co najmniej tak samo zjawiskiem, jak i promieniowaniem, bo przecież nawet w ciemności człowiek poczuje, że stoi naprzeciw kobiety – brakowało w tej lalce z gałganów i kości. Ale ta twarz, bez namiętności i wyrazu, wciąż była ludzką twarzą i malowała się na niej taka obojętność, jaką potrafią wywołać jedynie wielki ból czy najwyższy stopień rozkoszy, kiedy wymazują z człowieczego oblicza wszelkie osobiste rysy. A to, co pozostaje z twarzy, już nie zadaje pytań ani nie reaguje. Miała długie włosy, opadające na ramiona – ta poplątana masa włosów nie różniła się niczym od kłaczek porastających skórę głowy Murzyna czy Metysa. Najwyraźniej już od bardzo dawna nie czesano, nie pielęgnowano tych potarganych, brudnych splotów. Kobieta siedziała w kucki, ze skrzyżowanymi ramionami, naprzeciw marszałka. Nie patrzyła na nikogo: spoglądała nie tyle w dal, ile raczej do wewnątrz.

I w osobliwy sposób ta żywa istota nie miała płci, jak i umarli już jej nie mają – umarli nie jest „płci męskiej” ani „płci żeńskiej”, jest tylko umarłym. Taka była ta postać.

Marszałek, z głową przechyloną na bok, badał jeńców, niczym myśliwy upolowaną zwierzynę u kresu nagonki. I jak ten, co uważa, że byłoby poniżej

jego rangi, by osobiście zamienić słowo z tymi pod-
istotami, przez ramię zwrócił się do mnie:

– Zapytaj, które z nich to kobieta?...

Wyróżnienie dosięgło mnie w sposób nieoczeki-
wany. Ale nim mogłem zadać pytanie, odezwała się
postać w żółtej koszuli, pośrodku trzyosobowej gru-
py. Ochryplym, niskim głosem, gwarą z pustkowi
– ale też tak, jakby zamruczało zwierzę – rzekła:

– Ja jestem kobietą. Ty jesteś marszałkiem?...

*

Bittencourt skinął, żebym za pomocą jednej z ol-
brzymich świec oświetlił twarz pytającej. Kiedy
zbliżyłem się z płomieniem, kobieta jeniec rozwar-
ła powieki. Teraz, z bliska, zobaczyłem, że ma oczy
o dwóch różnych kolorach: lewe oko było niebie-
skie, prawe zaś brązowe. W ogniu świecy dwubarw-
na para oczu mrugała i błyskała niczym oczy zwie-
rzęcia, kiedy dosięgnie je blask świtania. Marsza-
łek długo, uważnie przyglądał się kobiecej twarzy
podobnej masce. Następnie spokojnie – jakby zde-
cydował się, że teraz już coś wyjaśni do końca –
rzekł cicho:

– Ja jestem marszałkiem. Czego chcesz?

Rozmawiali pośpiesznie – kobieta północną, leś-
ną gwarą, którą marszałek o dziwo rozumiał. Ochryp-
le powiedziała:

– Doradca przesyła wiadomość.

– Kłamiesz. Doradca umarł.

Metys i Murzyn roześmieli się do siebie. Ale ko-
bieta pozostała poważna. Przykucnąwszy, z ręko-
ma skrzyżowanymi na piersi, siedziała nieruchomo.
Podczas rozmowy jej wąskie usta nie porusza-
ły się, jakby dźwięki dochodziły wcale nie spoza
zębów, lecz z miejsca położonego głębiej, z klatki

piersiowej – jak mówią brzuchomówcy, bezosobowo.

– To ty kłamiesz. I kłamią twoi żołnierze. To nie jego głowę odcięli. Żyje i przesyła ci wiadomość.

Marszałek, pozostając w pozycji siedzącej, pochylił się w przód, wsparł się na laseczce i zapytał:

– Jaką wiadomość?

– Taką, że żyje. Nic na to nie możesz poradzić. Na próżno masz działa. Do jutra będzie w Brazylii dziesięć Canudos. A pojutrze sto.

Jej dwaj towarzysze szczerzyli zęby i potakiwali, potwierdzając, że wszystko to jest prawdą.

Marszałek – cierpliwie, beznamiętnie – niemal przyjacielsko powiedział:

– Posłuchaj. – Osłoniętym gumą końcem laseczki zastukał w glinianą polepę szopy. – Sampaio!

Major powstał, zasalutował.

– Czy ktoś może jeszcze uciec?...

Major, tonem służbisty, obojętnie odparł:

– To niemożliwe, pilnujemy każdego wyjścia.

Bittencourt skinął na kobietę:

– Słyszałaś. Moi ludzie pójdą z tobą. Znasz drogę. Przyprowadź go tutaj.

Kobieta powstała gwałtownie, niemal podskoczyła. Jej towarzysze, jakby otrzymali rozkaz – z wolna, ociągając się – podnieśli się z kucek. „Kobieta” – tobolek szmat, kości i włosów – pochyliła się i zasyczała w twarz marszałkowi:

– Co mi dasz za niego?...

Bittencourt instynktownym, obronnym ruchem odchylił się w tył. Następnie powoli wstał. Wszyscy wyprężyliśmy się na baczność. Poruszyli się też szeregowcy z bagnetami, jakby tylko czekali na rozkaz, by odprowadzić jeńców i przekazać fachowcom z plutonu egzekucyjnego. Lecz nim marszałek zdą-

żył odpowiedzieć, niespodziewanie przemówił Metys. Szczercząc zęby, na cały głos, co więcej, wesoło, powiedział:

– Dobry Doradca nie trafi do klatki.

Także Murzyn skinął, z zadowoleniem, że tak, taka właśnie jest prawda. Marszałek – bez gniewu, jakby ucieszony, że wreszcie nawiązał jakiś dialog z jeńcami – cierpliwie zapytał:

– Tak sądzisz?

Metys zaśmiał się szyderczo:

– Zabrzmi srebrny dzwon. Jeszcze dziś w nocy Doradca odejdzie.

Wzmianka o legendarnym srebrnym dzwonie w sposób widoczny podzielała na oficerów i żołnierzy; był to ów tajemniczy sygnał dźwiękowy, który każdej nocy rozbrzmiewał z wieży Nowego Sanktuarium, kiedy Doradca wygłaszał kazanie dla ludu Canudos. Chodziły słuchy, że Sanktuarium zostało trafione pociskiem, ale dzwonnica ciągle stoi. Marszałek, wciąż jeszcze cierpliwie, zapytał:

– Dokąd pójdzie Doradca?

Metys zawołał teraz triumfalnie:

– Pójdzie do Bahii. Ludzie będą się śmiać i krzyzczeć...

Marszałek zachęcająco, przyjaźnie zapytał:

– Co będą krzyzczeć?

Metys rozwarł ramiona.

– Zdychajcie, wy tchórzliwi sprzymierzeńcy rządu. To będą krzyzczeć.

Murzyn warknął, niczym zwierzę z puszczy, z aprobatą. Żołnierze wydali pomruk. Ale marszałek błyskiem oczu nakazał ciszę. Bittencourt był jedynym w szopie, który nie wzburzył się na tę obrazę. Urzędnik, doświadczony żołnierz i polityk spoglądał w dal, jakby nie uważał za niemożliwe tego, że w cha-

osie sądnych dni Canudos, tuż przed rozejściem się, żołnierze szukali wygodnej wymówki. Dlatego marszałek patrzył na jeńców podejrzliwie, jak ktoś, kto węszy zapach skandalu. Na wieść o zwycięstwie w miastach Brazylii oświetlono publiczne place. Lud tańczył na ulicach. Jeśli teraz nieoczekiwanie rozejdzie się wieść, że niebezpieczny, wzbudzający zabobonny lęk przywódca buntu uratował się, może się to skończyć skandalem politycznym o dużym zasięgu rażenia. Legendę należało zdusić, Doradca – jeśli prawdą jest to, co mówili jeńcy – musi zniknąć z powierzchni ziemi. Marszałek nie mógł ufać już nikomu – ani nam, oficerom i szeregowcom, którzy byliśmy naocznymi świadkami i na własne uszy słyszeliśmy, jak jeńcy szydęrczo i bezczelnie zapewniali, że Doradca, ten szarlatański Jednorożec brazylijskich pustkowi, żyje. A pozostali – oficerowie sztabowi, którzy w namiocie dowództwa niecierpliwie czekali, żeby wypić toast i żeby potem zabrzmiał rozkaz zwinięcia obozowiska – co oni powiedzą, jeśli teraz rozejdzie się wieść, że mistycznego dzikiego człowieka nie pojmano i może już jutro znów zacznie czarować i podżegać do buntu?... Marszałek – jakby wszystko przemyślał – zdecydował się. Sucho rzucił:

– Przyrowadź go. Poczekam dwie godziny.

Nastąpiła długa cisza. Kobieta z głową przechyloną na bok patrzyła na marszałka. Zamiast odpowiedzi ponownie zapytała:

– Co mi dasz za niego?...

Bittencourt wzruszył ramionami:

– Będziecie mogli odejść. – Pogardliwym gestem wskazał na Murzyna i Metysa. – Wszyscy troje.

– I?...

– Chcesz pieniędzy?...

Kobieta, z pogardą, powtórzyła:

– I?...

Zapadła cisza, nikt nawet nie pisnął. Pochyliliśmy się w przód, wyteżając uwagę. Ta nieprawdopodobna sytuacja – marszałek Brazylii targował się z jeńcem – kobietą! – upiornie zmieniła sens końcowej sceny Canudos. Widać było po marszałku, że ten opanowany człowiek zaczyna tracić swoją wyższość. Był niczym myśliwy, który w ostatnim momencie czuje frustrację, bo obawia się, że wielka zwierzyna, którą na śmierć i życie ścigał po pustkowiach, ucieknie sprzed jego strzelby... Głucho, ale tonem tak surowym, jakiego do tej pory nie słyszeli od marszałka nawet jego podwładni, wrzasnął na kobietę:

– Czego chcesz?...

Kobieta otworzyła szeroko oczy. Te dwubarwne, niebiesko-brązowe oczy zabłysły w blasku świec niczym krzemień, gdy dotknie go stal. Ochryple, przeciągając sylaby, odparła:

– Chcę się wykapać.

*

W szopie wręcz eksplodowała rechocząca wesołość. Każdy z nas ryczał ze śmiechu za dwóch – oficerowie, ordynansi, szeregowcy z bagnetami i ja, skryba. Na pustkowiach, w sąsiedztwie błotnistych jam Canudos, w ostatnich godzinach rzezi jakaś żywa istota – twierdząca, że jest płci żeńskiej – żądała od marszałka Brazylii, żeby dał jej wody, bo chce się wykapać. Wszyscy śmieli się w głos, do rozpuku, idiotycznie... Tylko marszałek pozostał poważny. W chwili gdy wypowiedziane zostało owo szaleńcze żądanie, ten doświadczony człowiek o wielkomięjskim obyciu zrozumiał coś, czego my,

pozostali – żołnierze, istoty zepchnięte, podobnie jak jeńcy, do poziomu zwierząt – nie zrozumieliśmy; pojął, że następuje ostatnia scena tego dzikiego przedstawienia z piekła rodem – oblężenia Canudos. Chwila, kiedy nieoczekiwanie zabrzmiała jakaś odpowiedź na krzyki szaleństwa. I wówczas – być może – będzie można dokonać sądu w Canudos.

Lecz nie od razu zareagował.

Dlatego kobieta teraz krzyknęła. Nie tyle nawet był to krzyk, ile raczej wycie: to wyła Kreatura u kresu wytrzymałości. Krzyczała (a jej głos nie był już kobiecy, co więcej, był ledwie ludzki):

– Chcę się wykapać!...

Wyjąco-miauczący głos był przeraźliwy, podobny skarżącemu się wyciu padających z pragnienia w czasie suszy istot żyjących w *caatindze*. Marszałek, z laseczką w ręce, postąpił jeden krok w kierunku kobiety. Z uwagą pochylił się nad nią, jak uczony – lekarz albo fizjolog – patrzy na kogoś, kto najwyraźniej jest na granicy wytrzymałości. Powoli, rozkazującym tonem – głosem Szefa, który spokojnymi słowami zaprowadza ład w chaosie – rzucił sucho:

– Sampaio.

– Rozkaz.

– Pójdzie pan do namiotu.

– Rozkaz.

– Weźmie pan z sobą dwóch ludzi.

– Dwóch ludzi.

– Przyniosą tu gumową wannę. Dwa skórzane worki z wodą. Mydło, grzebień, ręcznik.

– Gumową wannę. Dwa skórzane worki.

– Oficerów proszę, żeby poczekali. Wydanie rozkazów o dziewiątej.

Wszyscy milczeli. Tylko Murzyn posapywał z za-

dowoleniem, jak człowiek, który chrapiąc, śni o czymś pięknym. Bittencourt świsnął laseczką:

– Marsz. Biegiem.

Major skinął na dwóch szeregowców i oddalili się w pośpiechu, biegnąc. Bittencourt podszedł do stołu, usiadł w fotelu. Przetarł okulary i spokojnie – jakby był sam w jakimś urzędowym pomieszczeniu – zaczął czytać raporty, które zawierały sprawozdanie z przydziału jednostek i przygotowań do zwinięcia obozowiska. Od czasu do czasu ołówkiem stawiał znaki na marginesie wojskowych dokumentów. Nikt się nie ruszał. Wszyscy milczeli. A marszałek w tych minutach nawet jeden raz nie spojrział na kobietę – ani też na jeńców czy na nas, żołnierzy.

Upłynął długi czas, może dziesięć minut. Wtedy pojawił się Sampaio. Jego śladem szło czterech szeregowców: dwóch niosło skórzane worki z wodą, kolejny – gumową wannę, czwarty – gruby, włoski ręcznik kąpielowy, mydło, grzebień – z podróznego neseseru marszałka przynieśli wszystko, co było potrzebne, żeby jakaś kobieta, która na zakończenie, chwając się, wypelzła z Canudos, wzięła kąpiel.

Scena, która w następnych minutach stała się rzeczywistością, była tak ceremonialna, jak dawno temu, za czasów królów, w Europie mogły być dworskie obrzędy, czy też tu w naszych stronach, na zachodnim kontynencie, liturgie na dworze królów-kapłanów Tolteków albo Azteków.

Pojawienie się skórzanych worków z wodą podkscytowało wszystkich w szopie: dało się słyszeć, jak na widok tych worków ludzie przetykali ślinę z pragnienia. Od miesięcy ani jeden z nas nie wypił choćby łyku czystej wody – naturalnie również

o myciu wszyscy zapomnieli, a o kąpieli nie myśleliśmy nawet w snach. Owa okoliczność, że marszałek, ta wielkowiejska znakomitość, kazał wieźć za sobą na pustkowie, na skraj Canudos, wodę, wodę do kąpieli w mieszczących hektolitry workach z bydłej skóry... zdawała się taką samą niemożliwością, co wyobrażenia snute w nieprzytomnej gorączce.

Ale ordynansi ustawili teraz pośrodku szopy gumową wannę, na skraju eleganckiej konstrukcji przymocowali mydelniczkę i w zasięgu ręki umieścili gruby, włochaty ręcznik. Następnie – po dwóch – unieśli wysoko skórzane worki i włąli wodę do gumowej wanny.

Stawaliśmy na palcach – również oficerowie – żeby zobaczyć, jak w realnym świecie urzeczywistnia się ten biblijny cud. Ze skórzanych worków obfitym, czystym strumieniem lała się do wanny woda... woda, prawdziwa woda, woda potrzebna do picia, mycia, do ludzkiego istnienia, do człowieczeństwa wyższego rzędu, element pierwotny! Przyglądaliśmy się temu cudowi i spragnieni, przelykaliśmy ślinę. Bardziej cynicznego marnotrawstwa, bardziej zbytkownej rozrzutności, jak ta woda do kąpieli, tutaj, pomiędzy jamami Canudos, śmierdzącymi moczem mułów i odchodami ludzi, pośród namiotów podziurawionych od kul karabinów i rojących się od wszy na pięciu tysiącach żołnierzy regularnego wojska, nawet nie można było sobie wyobrazić – wody pitnej i wody do kąpieli, jaką ten i ów z nas kiedyś dawno temu widział, pił, wachał...

Skórzane worki opróżniły się, wanna napełniła się czystą wodą. Z wytrzeszczonymi oczyma gapiiliśmy się na wannę i na wodę, podobnie jak sprag-

nieni patrzą we śnie na złudę, której miejsce jest w bajce. I obserwowaliśmy kobietę, jak wyprostowana, z twarzą podobną masce, bez wyrazu, nieruchomo siedziała pomiędzy swoimi towarzyszami jeńcami – patrzyła, można by rzec, szklanymi oczami na wannę, napełniającą się wodą.

Marszałek wstał. Pedantycznie przyjrzał się wannie, ręcznikowi, mydelniczce – ze starannością gospodarza, który chce być pewien, że wszystko dla gościa jest na swoim miejscu. Cicho – bez szyderstwa, uprzejmie, jak wielki pan mówi do damy – rzekł:

– Kąpiel gotowa, pani.

Odwrócił się, podszedł do zawieszanej na ścianie mapy, przedstawiającej wojnę w Canudos, i z rękami splecionymi na plecach z uwagą począł studiować upstrzony przez muchy obraz. Bez rozkazu czy sygnału wszyscy odwróciliśmy się tyłem do wanny i do kobiety: patrzyliśmy na ścianę, tak jak marszałek. Także dwaj jeńcy odwrócili się i – plecami do wanny – przysiedli w kucki na polepie. Tak czekali, żeby ich towarzyszka niewoli, kobieta, wykąpała się.

Ten takt tutaj, w tej dziczy, w tym nadzwyczajnym położeniu był tak zaskakujący, jakby w jakiejś staroświeckiej komedii odgrywający członków dworu aktorzy powtarzali jedną z wyszukanych ceremonii pałacu cesarza Dom Pedra. Lecz to nie była komedia: później, kiedy wracałem wspomnieniami do tej sceny, przypominałem sobie, że w tamtych chwilach czułem dumę i zadowolenie. Człowiek zawsze się cieszy, gdy odkryje, że w zwierzęciu, którym jest, drzemie też coś ludzkiego, czego nie trzeba uczyć czy wpajać.

Tak oto – posepni, z otwartymi ustami, ogłupiali

i taktowni – staliśmy tyłem do wanny: marszałek Brazylii, oficerowie, szeregowcy, jeńcy... Milczeliśmy, bo wydarzyło się coś nadzwyczajnego: coś nieoczekiwanego, w rodzaju rzeczy, jakie mają miejsce, gdy następuje zakłócenie w religijnym, liturgicznym porządku. Osłupienie zdławiło nam słowa w gardłach. Ale w rzeczywistości działo się tylko tyle:

Kąpała się kobieta.

*

Nie widzieliśmy kąpiącej się kobiety – ale gdy za-pluskała woda w gumowej wannie, nadstawialiśmy ucha, z przejęciem. Maską, którą chwilę wcześniej ledwie uznawano za istotę ludzką – była raczej tylko odpadkiem, zlepkiem żywej materii – wygodnie, powoli i ceremonialnie rozpoczęła odprawianie rytuału mycia. Słyszać było szmery, pluski i hałasy. Dało się uchwycić, jak – w sposób niewidzialny, lecz odczuwalny – kobieta zdejmuje kolorowe szmaty pokutne i nago wchodzi do gumowej wanny. Dało się słyszeć, jak woda porusza się gwałtownie. Jednocześnie kobieta jęknęła: i ten jęk był naraz westchnieniem rozkoszy i zduszonym krzykiem, jak ciało przemawia w chwili orgazmu. Głuche stęknięcie było tak cielesne – więcej, bezwstydnie – że słysząc je, wielu spośród szeregowców i oficerów zaczęło chrząkać porywczo, w zapomnieniu. Kobieta kąpała się, a westchnienia, wydawane dźwięki były takie, jak okrzyk wydawany tuż przed utratą świadomości. Nie trzeba było do tego wielkiej wyobraźni, wszyscy w szopie zrozumieliśmy, że kobieta, która teraz „kąpała się”, była obnażona inaczej niż tylko jako rozdzielone ciało: była „naga” tak jak człowiek, który nieoczekiwanie zrzuca nie tylko ubiór, ale wszystko, co do niego przynależało, tak-

że rolę i los. O tym nie myślałem wtedy w ten sposób... ale upłynęło wiele czasu i teraz już wiem, że taka właśnie była ta chwila.

Wstydliwego odwrócenia się, tej spontanicznej zasady etykiety przestrzegaliśmy z surową, idiotyczną konsekwencją. Nikt się nie odwrócił ponownie, żeby oglądać kąpiącą się kobietę – mimo to scena ta była też taka, jakby w szopie odbywało się jakieś wszeteczeństwo, i jakbyśmy my, słyszący wszystko na własne uszy świadkowie, zabawiając się w erotycznych podglądaczy, obserwowali, jak kąpie się kobieta. Kobieta milczała, ale w wielkiej ciszy, w zgniłym, mdlącym mroku i ciepłe mówiło zamiast niej wiele drobnych szmerów dialogu z wodą. Dało się posłyszeć, jak w obie dłonie nabiera wody i wylewa ją sobie na twarz, na piersi, następnie powoli namydla ciało, ten szkielet. Słyszeliśmy, jak jedną nogę podnosi na brzeg gumowej wanny... i w tych niewidocznych, a jednak cielesnych ruchach było coś zmysłowego, więcej, coś bezwstydnego. Marszałek używał męskiego mydła, mydła o zapachu piżma – i ten zapach też oddziaływał na zmysły świadków, którzy przysłuchiwali się wszystkiemu. W tej nabożnej, pełnej lęku i zmuszającej do rozdziawienia ust ciszy szmer każdego ruchu wywoływał w nas, śledzących ową ceremonię kąpieli z pełnym zdumienia milczeniem, spotęgowany oddźwięk. Scena, która z takich szmerów wyzarowywała wizję, była zmysłowo cielesna – czuliśmy się niczym *voyeurs*, gdy przez dziurkę od klucza oglądają rozpustę jakiegoś bezwstydnego, wulgarnego pokazu. Lecz owe odgłosy wzbudzały również i takie wyobrażenia, jak sceny kąpieli na obrazach starych mistrzów baroku, kiedy kobiece ciała swobodnie, bez zawstyżenia, w sposób bez-

wiedny ukazują swe kształty. Nie „widzieliśmy”, ale „słyszeliśmy” to ciało... i w tych chwilach, kiedy odczucia z drobnych szmerów, hałasów złożyły się w całość, to wynędzniałe od głodu, pragnienia i cierpień w Canudos, kąpiące się ludzkie ciało było osobliwie zmysłowe.

Było „zmysłowe” inaczej niż kobiece ciało, gdy przyjmuje kształt w erotycznym wyobrażeniu – inaczej, a mimo wszystko właśnie tak. Bo podczas gdy słuchaliśmy szmerów wywołanych przez związane z myciem się ruchy kobiety w kąpielni, naraz powróciły do świadomości wyobrażenia, które w tej piekielnej, orgiastycznej grocie rozkładającej się, rozpadającej się cielesności były echem przynależącym do innego, zapomnianego już świata... Coraz więcej z nas chrząkało, sapało. Nikt się nie odwracał, dochowaliśmy – bez rozkazu – tej szczególnej zasady etykiety. Lecz dało się słyszeć, jak bezwiednie przełykający ślinę i chrząkający szeregowcy i oficerowie w stanie podniecenia śledzą to osobliwe słuchowisko. Te ekscytujące hałasy mężczyźni obserwowali podobnie jak spragniony człowiek, gdy nieoczekiwanie dobiegnie go dobra wiadomość, na którą nie miał już nadziei, plusk źródlanej wody. W pobliżu, na wyciągnięcie ręki, była kobieta, „prawdziwa kobieta”, która miała ciało... ciało, które pielęgnowała, myła do czysta mydłem, kobiece ciało, którego wspomnienie naraz wyłoniło się spośród parujących krwią, mglistych obrazów dramatu Canudos. W tych chwilach żywa istota – która w rzeczywistości była raczej tylko szkieletem, wysuszoną postacią – samą skórą i kośćmi, ciałem nieposiadającym kobiecego kształtu – wywołała w słuchaczach, odbierających te szmery, złudzenie kobiecego ciała. Odurzyliśmy się tak, jakbyśmy już zapomnieli, kim tak naprawdę jest

„kobieta”... – kimś innym niż zataczające się, już nie tyle brudne, ile raczej wysmarowane jak dzikie zwierzęta stworzenia płci żeńskiej, które w ostatnich tygodniach wypełzały z rynsztoka Canudos i zataczając się, maszerowały gęsiego przed żołnierzami, w takim stanie, że ani jeden z głodnych płciowości wojowników nie miał ochoty zbliżyć się do tych jeńców inaczej niż z zakrzywionym nożem. Tutaj w Canudos „stosunek” już od miesiący nie był niczym innym, jak – czasem szybkim i litościwym, czasem perwersyjnie wymyślnym, zawiłym – ciągiem egzekucji. Te zmysłowe czy uczuciowe wyobrażenia, które w mężczyźnie wywołuje wspomnienie „kobiety” – wyobrażenie kochanki lub matki – żyły w nas wyłącznie tak, jak w świadomości szaleńców słowa podniety, na które rozum nie potrafi już zareagować.

I naraz w świadomości obecnych zamajaczyło to zapomniane zjawisko. Kąpała się kobieta... a my przypominaliśmy sobie, że było w życiu także coś innego niż amok okrucieństwa i zezwierżenia. Było w życiu coś łagodnego i miękkiego jak woda, jak świeżo upieczony chleb, jak... tak, jak żywe, delikatne ciało kobiety.

O czymś takim myślałem, podczas gdy kobieta kąpała się. Sądzę, że zastanawiali się nad tym również pozostali, bo spragnieni, napełnieni rozkoszą sapali i przelykali ślinę. Potem szmery wydawane przez plusk wody ustały, słychać było szelest ubrania. Następnie, przez długie chwile, nie było słychać nic: kobieta wycierała się ręcznikiem i czesała włosy. W końcu zabrzmiał głos. Cicho, miękko zadźwięczało:

– *Thank you, gentlemen.*

*

Głos był całkowicie „inny” niż głos żywej istoty, która nieco wcześniej – w gwarze północnych krajin, właściwej ludziom żyjącym na pustkowiach – charczała, że chce się wykąpać. Jakby i głos się wykąpał... Zmiana tonu była upiorna: ani jeden z nas nie potrafił pojąć, że głos, mówiący teraz po angielsku, należy do istoty, którą przywleczono tutaj wraz z jej dwoma towarzyszami. W szopie, jak się natychmiast okazało, było nas tylko dwóch, rozumiejących po angielsku: marszałek i ja, wychowywany przez irlandzkiego ojca. Jak sądzę, większość obecnych przy tym nagłym wydarzeniu nawet nie podejrzewała, w jakim języku przemówiła owa obca osoba...

Dlatego na dźwięk obcego głosu nie tylko osłupielśmy, ale też wielu przeżegnało się, z zabobonną odrazą. W pierwszej chwili ludzie zachowywali się tak, jakby wydarzył się zamach: wybuchła petarda albo też z mroku, od strony Canudos, uderzył w szopę pocisk. Wielu przekląło w przestraszeniu. Był taki, co podniósł broń do strzału. Jednocześnie wszyscy odwróciliśmy się w kierunku głosu i ze zdumieniem, więcej, z oczami wytrzeszczonymi w panice, przyglądaliśmy się owemu zjawisku. Ta kuglarska i obrzydliwa niespodzianka nastąpiła w sposób tak nieoczekiwany, bez jakiegokolwiek przejścia, że wzburzyli się nie tylko szeregowcy, ale też oficerowie. Lauriano da Costa, w przestraszeniu, wypluł niedopałek cygara, który żuł. Sampaio rozglądał się wokół pustym, szklanym wzrokiem, jakby szukał znaków uprawiania czarów: jakby sądził, że nocne demony puszczy skryły kąpiącą się kobietę jeńca, a na jej miejsce stanęła teraz przed nami obca osoba: kobieta, która mówiła po angielsku.

Albowiem kobieta, która stanęła teraz przed nami, tylko w takim stopniu przypominała istotę – samą skórę i kości – która nieco wcześniej weszła do gumowej wanny, w jakim odmienianą się we śnie znajome osoby. Miała na sobie tę samą luźną szatę – upstrzone niebieskimi i żółtymi znakami pokutnicze łańchmany – ale jakby zmieniła ubranie, jakimś cudem i ten kostium zdawał się być strojem różnym od brudnych gałganów sprzed kilku minut. Jakby w tym krótkim czasie, gdy z niezdarnie pośępnym taktem staliśmy odwróceniem tyłem do kąpiącej się kobiety, magiczne ręce wiedźm wyprały, wyprasowały to uwalane okrycie. Szata sięgała kostek, tylko wycięcie wokół szyi ukazywało cokolwiek z kobiecego ciała. Jak to zrobiła, do dzisiaj nie rozumiem, ale to odzienie wydawało się teraz całkowicie odmienne od tego sprzed kąpieli. Na bospych stopach kobieta miała sandały, te same co wcześniej, kiedy weszła do szopy. Ale zdawało się, jakby podczas kąpieli jakieś niewidzialne dłonie wyszorowały i to obuwie o grubej podeszwie. Wszystko na niej i wokół niej stało się czyste – jakby się przebrała.

Osoba, która się wykąpała i jakby się przebrała, stała przed nami bez ruchu. Na jej twarzy widać było spokój i ulgę, z jaką potrafi patrzeć tylko ten, kto dotarł do kresu. Kto czegoś bardzo pragnął i to zrealizował: przeżył Canudos. A teraz się wykąpał.

Jej twarz była poważna, lecz oczy się śmiały.

*

To był moment przemian, albowiem zmieniła się nie tylko kobieta, lecz i my, którzy przeżyliśmy tę chwilę tam na miejscu. Wydaje się, że kobieta to wielka siła... Pod każdym względem. Nie tylko gdy

jest młoda, ładna... Jeśli prawdziwie jest kobietą, do ostatniej chwili – także stara i pomarszczona – stanowi wielką siłę. Ta istota – która wyszła z Cannudos i z wanny marszałka – była „prawdziwą” kobietą. Jakiej wielu z nas może nigdy przedtem nie widziało. Teraz już, na starość, mogę wyznać, że i później nie widziałem takiej kobiety – zazwyczaj spotykałem żywe istoty płci żeńskiej, łagodne i użyteczne lub nieużyteczne i namiętne kobiece stworzenia – a ponadto niewiasty w rodzaju imitatorek kobiet, które z pomocą swego ciała, włosów, następnie stroju, makijażu i stylu bycia robiły z siebie coś, o czym mężczyźni sądzili, że taka jest prawdziwa kobieta. Ta istota, która teraz stanęła przed nami, uśmiechała się oczami, ale inaczej niż kobiety, które uśmiechem przyzywają mężczyzn. Nie przyzywała nikogo, nie obiecywała niczego... mimo to jej jaźń, zjawisko, którym była, we wszystkich wzbudziły niepokój.

Najwyraźniej także w marszałku. Chciałbym być precyzyjny. Marszałek Bittencourt był bez wątpienia człowiekiem obytym: wysokiej rangi żołnierzem i wykształconym, kulturalnym mieszczaninem. Ale sądzę, że w swym urozmaiconym wielkomięjskim życiu towarzyskim on także nie spotkał dotąd tego „innego rodzaju” kobiety, jak ta, która teraz stała przed nim. Znał damy, damulki... Lecz ta kobieta była inna. Dlatego również marszałek zmienił się w tej chwili – i jak ktoś, kto niespodziewanie zmuszony jest być kimś więcej, niż był do tej pory, wyprostował się. Jakby zrozumiał, że oto doszło do wyzwania, na które już nie można odpowiedzieć urzędową rolą i towarzyskim zachowaniem. Trzeba było odpowiedzieć chwili, która z pełną siłą i ze wszelkimi tego konsekwencjami żąda reakcji. Mar-

szałek zrozumiał, że to jest ta chwila: egzamin, kiedy człowiek ma sposobność, aby się odmienić – przez chwilę może być kimś więcej niż do tej pory, pod osłoną roli i kostiumu.

W taki sposób patrzył na kobietę. Wszyscy tak patrzyliśmy. Te żywe istoty, które umierający z głodu i ginący z pragnienia w jamach Canudos wojownicy posyłali tu do nas w tych ostatnich dniach, w anatomicznym sensie były najczęściej płci żeńskiej. Zdarzały się też dzieci oraz starcy... Lecz większość stanowiły kobiety: odstraszone stworzenia, więdźmy z puszczy, kobiety o wełnistym, białym owłosieniu, które rzucającym błyski wzrokiem dzikich zwierząt rozglądały się dookoła i przyciskały do swych wyschniętych piersi niemowlęta, te człowiecze pędraki, przypominające przedwcześnie urodzone płody. I wszystkie były wyschnięte niczym korzenie drzew w porze suszy. Trafiały się pomiędzy nimi niektóre – mieszanej rasy, krwi portugalskiej i mulackiej czy indiańskiej – co także w stadzie uchodźców przepędzonych z Canudos maszerowały wyprostowane, z podniesioną głową niczym zamykające pochod niedobitki jakiegoś rozgromionego oddziału buntowników, co nie proszą o łaskę i nie poddają się, jedynie defilują przed żołnierzami – w milczeniu przechodzą z bezsensownej walki, która poniosła klęskę, w bezsensowną śmierć. Także ta kobieta przybyła tu w ten sposób, pół godziny wcześniej.

Ale teraz wykapała się i zaczęła się czesać. Na skinięcie ręki Sampaia ordynansi pośpiesznie wynieśli gumową wannę, opróżnione z wody skórzane worki. Jednemu z szeregowców kobieta podała niedbale ruchem grzebień – grzebień marszałka, grzebień, przy pomocy którego doprowadziła do porząd-

ku swoje włosy – ruchem takim, jakim dama oddaje śłudze jakiś zbędny przedmiot codziennego użytku. I wykonując ten gest, nawet nie spojrzy na osobę, która jej usługuje. A ordynansi, jak na komendę, co tchu i w przestachu – podobnie do uwiijającej się służby, wykonującej rozkaz damy – śpieszyli usunąć wodę po kąpieli, przedmioty użytkowe, rekwizyty toalety. Piżmowa woń mydła marszałka rozpyliła w szopie jakąś wulgarnie poufałą cielesność. I teraz, kiedy kobieta wykapała się, ubrała, stanęła przed nami tak, jakby w ciągu tych kilku minionych chwil urosła – jeńcy, ze sznurem u szyj, kroczyli zgięci, gdy ich wprowadzano, i na pierwszy rzut oka zdawało się, że wszyscy troje są jednakowego wzrostu. Ale teraz kobieta wyprostowała się i zobaczyliśmy, że jest wyższa od swych towarzyszy.

Murzyn i Metys też się odwrócili – bez pośpiechu, ze sznurem u szyj, z wolna odwrócili się w kierunku kobiety i siedząc w kucki, gapili się z dołu. Również oni patrzyli poważnie, ale inaczej niż pozostali, osłupiali obecni – patrzyli na kobietę jakby nie dostrzegali niczego szczególnego, bo przecież przybyli z Canudos, gdzie wszystko jest możliwe – także to, że ktoś ulega nagłej przemianie. Nie zdziwiło ich, że w ostatnich minutach kobieta jeniec w tak osobliwy sposób wystąpiła spośród nich – wyszła nie tylko z wanny i ze wspólnego szeregu, ale też z losu, z Canudos. Mimo wszystko pozostali obojętni, jakby wszystko to było naturalne i stosowne. Tak patrzyli na kobietę.

Kobieta nie przejmowała się nimi ani też nami, resztą gapiów. Dwiema rękami, kobiecym ruchem sięgnęła w tył i poprawiła uczesane gładko włosy. Spokojnymi, leniwymi ruchami ułożyła kosmyki na skroniach i na czole, niczym dama, która jest

sama w łazience i upiększa się, pielęgnuje. Teraz, kiedy zrzuciła brud – nie tylko tę ubraną w kostium cielesność, w której tu przybyła, ale też Canudos – była niczym jakaś niezwykle światowa dama, której nie przeszkadza to, że oglądają ją męskie oczy, bo przecież w obecności służby może być nawet naga.

Jej postać też była inna niż przed kąpielą – wówczas wszedł do wanny szkielet. Teraz stała tutaj kobieta, która niebiesko-żółtą szatę pątnika nosiła niczym jakieś lekkie woale, peniuar – i ciało, które ten ubiór nałożyło, nie było już szkieletem. Było to kobiece ciało, nie chorobliwie wyschłe, lecz proporcjonalne, więcej, ciało wysportowanej kobiety – takiej, która gra w tenisa lub jeździ konno, uważa na linię, na przykład także w Canudos stosuje dietę... Również jej twarz była pozbawiona zmarszczek, spokojna i wygładzona, jakby wymasowano ją w salonie piękności. Miała oliwkową cerę jak Kreolki, i teraz, kiedy brudy Canudos – które twarze tych, co przybywali z miasta z błota, zasłaniały niczym maski uczestników upiornego balu kostiumowego – nie ukrywały już jej rysów, patrzyła na nas kobieta w średnim wieku, niemłoda, ale też jeszcze niestara, około czterdziestki. Jej owalna twarz była innego kształtu niż twarze Kreoli tutaj w Brazylii – to oblicze przypominało malowane przed rewolucją portrety francuskich kobiet; było w tej twarzy coś staroświeckiego, tak, arystokratycznego. Nie była „piękna”: miała nieco wystającą brodę (pamiętam, że rzuciło mi się to w oczy i zakłócało harmonijne, ujmujące wrażenie, jakie owa twarz sprawiała) oraz pięknie wygięte, brązowe brwi. Miała pełne usta – nie tak nabrzmiałe, mięsiste jak Mulatki, lecz delikatne, zmysłowe jak dojrzałe kobiety. Teraz, kiedy

się uśmiechała, zza miękkich warg wyłoniły się białe, pozbawione jakichkolwiek defektów zęby. Jej czarne włosy – które chwilę wcześniej, czesząc starannie, rozdzieliła na środku – były pofalowane i miękkie, jakby ułożył je fryzjer. Niczym ktoś, kto marznie lub broni się, splotła ręce na piersi; ręce miała białe, o długich palcach.

A jej oczy promieniowały pogodnym, rozumnym blaskiem – jakby w ciemności migotała lampa sygnalizacyjna o dwóch małych, różnobarwnych światełkach.

Marszałek wstał i wspierając się na laseczce, powoli podszedł do kobiety. Przyglądał się jej z bliska, gruntownie – w sposób fachowy, jak *jagunço* patrzy na targu na jakieś rzadkie zwierzę hodowlane czy handlarz niewolników ogląda ludzki towar. Badał wzrokiem ręce kobiety, następnie włosy i – bardzo uważnie, przymrużywszy powieki – jej oczy. Ale nie odezwał się ani jednym słowem. Po tym badaniu powrócił do długiego stołu, usiadł i wskazał ręką jedno z krzeseł – krzesło, na którym wcześniej spoczęła owa wielkowiejska znakomitość, bankier będący przyjacielem zwierząt. Cicho rzekł:

– *Please, sit down.*

Kobieta zbliżyła się posłuszenie, bez pośpiechu. Usiadła w fotelu, jedną ręką poprawiła fałdy szaty na kolanie, założyła nogę na nogę. Bittencourt wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcz wykonaną z krokodylej skóry, grubą cygarnicę, wypełnioną owiniętymi w papier cienki niczym błona hawańskimi cygarami, i wyciągnął rękę w kierunku kobiety.

Kobieta uśmiechnęła się:

– *Sorry, Excellency. I don't smoke.*

Bittencourt wzruszył ramionami. Pedantycznie odgryzł i wypluł końcówkę grubej hawany. Pośpie-

szylem podać mu ogień od płomienia świecy. Marszałek zaciągnął się aż do płuc, następnie uroczyście wydmuchnął aromatyczny obłok, jak mają to w zwyczaju nałogowi palacze cygar, kiedy rozkoszują się pierwszym głębokim wdechem. Jednocześnie, drugą ręką, uprzejmie odgonił sprzed twarzy kobiety chmurę dymu, jakby nie chciał, żeby podrażniła jej oczy.

Kobieta uśmiechała się, patrzyła przed siebie, jakby ta sytuacja sprawiała jej przyjemność.

– *Now tell me* – cicho rzekł marszałek.

Kobieta skwapliwie odparła:

– *What do you want to know?*

– *Your name.*

Na to wezwanie – marszałek mówił cicho, ale jak ten, co rozkazuje – kobieta, pozostając w pozycji siedzącej, wyprostowała się. Jej twarz wykrzywiła się. Wokół oczu, ust zadrżały na moment gniew i rozpacz. Jakby nagle oprzytomniała ze stanu, który może był szaleństwem i obsesją, lecz zarazem był też rzeczywistością, jej rzeczywistością. Czymś, za co zapłaciła najwyższą cenę. Oddała za to wszystko, wszystko, co miała – a to, co zachowała, to jej własne nazwisko, i teraz już należy ono do niej, tylko do niej. I tego ostatniego, pozostałego jeszcze okruchu rzeczywistości, własnego nazwiska, nie odda nikomu. Nawet jeśli będą ją szarpać i rwać na kawałki, nie odda swojego nazwiska.

Tylko tyle powiedziała:

– *Never.*

Wszyscy w szopie zrozumieliśmy, że kobieta wypowiedziała słowo, które nie podlega zmianie, które jest bezwarunkowe i ostateczne. Marszałek też to rozumiał. Palił cygaro. Nie wzburzył się, nie poruszył – z uwagą patrzył na kobietę, jak ktoś, kto poj-

muje, że jest w ludziach również innego rodzaju siła niż siła mięśni czy przemocy. Niedbale, wielkodusznie rzekł, jakby nie mógł uczynić nic innego:

– *Well... Keep it.*

To krótkie zdanie było też niczym kęs pożywienia rzucony głodującemu. Kobieta w lot pochwyciła te słowa, obie ręce – w obronnym i pełnym ulgi geście – podniosła do piersi. Odetchnęła głęboko. Cicho, z wdzięcznością odparła:

– *Thank you.*

Milczeli. Nie patrzyli na siebie. Jakby oboje wstydzi się, że okazali słabość.

*

Teraz nastąpił dialog, którego w szopie nie rozumiał nikt inny, jedynie rozmówcy – marszałek, kobieta jeniec – oraz ja. Z notatnikiem i przyborami do pisania pod pachą stałem u końca stołu. Rozmawiali spokojnie, bo ani jedno z nich nie mogło sądzić, że trafi się w pobliżu jakaś dobra dusza, która rozumie ten język. Nie ściszyli głosów, rozmawiali tonem towarzyskiej konwersacji.

Akcent kobiety był zbliżony do mowy Anglików – *gringos*, co przybywali do nas z drugiej strony Rio Grande, *yankees*, mieli inny akcent. Marszałek mówił w obcym języku płynnie, ale jak ktoś, kto uczył się go w szkole i od długiego czasu nie miał okazji do praktyki. Lecz oboje mówili po angielsku swobodnie, bez trudności.

Tak oto rozmawiali:

*

– Niech pani powie.

– Co?

– Prawdę. Ilu was było?...

- W Canudos?... Dużo.
- Nie o to pytam. Ilu było was?
- Kogo, nas?
- Tych, co zorganizowali ten bunt. Spiskowców.
- Nie było spisku.
- Niech pani nie zaprzecza. Wiemy wszystko. Nawet gazety o tym napisały.
- Tak, czytałam. Mam na myśli... Dawno temu, czytałam.
- Dawno temu? Kiedy? I gdzie?...
- Dawno temu... Kiedy jeszcze nie żyłam w Canudos. Tam... Nie było gazet.
- Nie, tam robiono to, o czym gazety pisały. Rąbowano i mordowano.
- Robiono też coś innego. Ale o tym... jak sądzę... gazety nie pisały.
- Coś innego, czyli co?
- Czekano.
- Na co?
- Czekano, żeby Doradca dał znak.
- Tak idzie ta bajka. Da znak, w jakim celu? Bo nadszedł koniec świata? Armageddon?...
- Po prostu... koniec. I wówczas uratują się.
- Rąbusie i mordercy?
- Wyznawcy. Wszyscy.
- Pani też na to czekała?
- Ja nie jestem wyznawcą.
- Czego zatem pani tam szukała?
- Pewnego człowieka.
- Doradcy?
- Nie. Mojego męża.
- Pani udała się do Canudos, żeby tam szukać swojego męża?...
- Nie szukałam w Canudos niczego innego.
- Pani mąż był w bandzie?...

- Nie wiem, co to jest, co pan nazywa bandą...
Mój mąż... jeśli chce pan wiedzieć... nie walczył.
- A zatem? Tylko buntował?
- Nie. Leczył.
- Był lekarzem? Jakim? Znachorem?...
- Nie. Był lekarzem dyplomowanym.
- Pani mąż udał się do Canudos, żeby pomagać bandytom?
- Nie. Mój mąż udał się do Canudos dlatego, że chciał tam zobaczyć coś, czego wcześniej... w przychodni, w klinice... nie widział.
- Chciał studiować jakąś tropikalną chorobę?
- Nie. Chciał zobaczyć z bliska coś, co jest jak choroba, ale... nie ma tego w książkach.
- Był neurologiem? Chciał zobaczyć chorobę umysłową?
- W Canudos nie było choroby umysłowej.
- Nie, tam był bandytyzm. Pani mąż chciał studiować masową histerię?
- Jak sądzę, mój mąż... kiedy udał się do Canudos... chciał zobaczyć, jak to jest, kiedy ludzie odchodzą... trudno to ująć... słowem, odchodzą od umowy.
- Od jakiej umowy?
- Od tego wszystkiego, co pomiędzy ludźmi... jest umową.
- Od państwa? Od społeczeństwa?
- I od religii. Od wszystkiego.
- Canudos było zgrają religijnych fanatyków. Dlaczego pani mówi, że tam odeszli od religii?
- Religia była tam tylko czymś takim jak tapeta albo kulisy. Co innego stało za nią niż to, co wy tak nazywacie...
- Wy, czyli kto?
- Wy, którzy nie żyliście w Canudos.

– A pani?...

– Teraz już, skoro tam byłam... ja też sądzę, że religia jest czymś innym niż to, w co wy wierzycie.

– Kiedy przybyła pani do Canudos?

– Jaki mamy dzisiaj dzień?

– Piąty października.

– Zatem... Chwileczkę, muszę policzyć... Na początku lipca... Tak, minęły trzy miesiące, jak przybyłam do Canudos.

– Trzy miesiące było wystarczająco długim czasem, żeby pani, dama... stała się jedną z tych z Canudos?

– W Canudos czas nie istnieje.

*

– Pani... jest arystokratką?

– Co to znaczy?

– Proszę się nie wykręcać. Arystokrata to człowiek, który chce panować. I nie chce płacić.

– Wobec tego nie jestem arystokratką, bo nie chcę panować. I... zapłaciłam.

– Czym? W jaki sposób?

– Byłam tam, w Canudos. Jednym słowem, zapłaciłam.

– Czy w Canudos słyszała pani o neapolitańskich *malandrini*? O hiszpańskich *desperados*? Albo tam, po drugiej stronie, w świecie *gringos*, o ludziach granicy, rzecznych rabusiach?

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– Jest pani kobietą obytą, wykształconą. Z pewnością słyszała pani o tym, że wielcy panowie, w trudnym położeniu... obawiając się o swoje przywileje i bezpieczeństwo... sprzymierzają się z bandytami, półświatkiem, przestępczymi grupami... Canudos nie jest niczym nowym. Wiele małych

i dużych Canudos było już w Europie. I tutaj u nas, na Zachodzie. Pani z pewnością wiedziała, dlaczego wielcy panowie, wielcy łajdacy sprzymierzają się z *bandoleros*... Chaosem chcieli się bronić przeciw Porządkowi... Niech pani to przyzna.

– W Brazylii nie ma arystokratów.

– A co jest?

– Tutaj są tylko oligarchowie.

– Jaka to różnica?

– Oligarchowie to ludzie, którzy chcą zatrzymać łup.

– A arystokrata?...

– Niczego nie chce zatrzymywać. Wystarczy mu, że jest tym, kim jest... bez łupu. Widzę, że pan tego nie rozumie.

– Być może jednak rozumiem. Czy pani jest... Brazylijką?

– Nie jestem Brazylijką.

– Europejką? Angielką?...

– Nie odpowiem.

– *Gringo*?...

– Nie jestem Amerykanką.

– Mówi pani, że bandy w Canudos nie zorganizowali nasi przestraszeni arystokraci... Czy nasi oligarchowie, wszystko jedno...

– To nie jest wszystko jedno.

– Jeśli pani sobie życzy, plutokraci... Słowem, nie tacy, co się przestraszyli, bo lud wygnał cesarza... I teraz już nadejdzie nowy ustrój, nie będzie przywilejów... Chcieli chaosu, żeby mieć pretekst do ataku na demokratyczne państwo. Czy znała pani cesarza?

– Dom Pedra? Nie widziałam go nigdy. W Canudos mówiono... Był dobrym człowiekiem. Kochał swój lud.

– My też jesteśmy dobrymi ludźmi, my, zwolennicy republiki oraz demokraci. My budujemy państwo dla ludu.

– Państwo jest dobre dla ludu?

– Nic nie jest idealne, ale... niczego lepszego nie ma.

– Jeśli nie ma niczego lepszego, to jest już za późno.

– Na co jest za późno? Na państwo?

– Tak. Już nie pomoże.

– Słyszała to pani od Doradcy?

– Tak. Doradca powiedział, że państwo już nie może pomóc ludziom.

– Tylko on?...

– Tylko Bóg.

– Pani też to złapała?

– Nie rozumiem.

– Tę zarazę?... Nie sądzę, żeby była pani szalona.

– Dziękuję.

– Nie jest pani szalona, ale... Dlaczego pani tak patrzy?

– Bo żal mi pana.

– Pani?... Mnie?... Dlaczego?

– Żałuję, bo pan jeszcze nie wie...

– Niech pani powie. Czegóż takiego nie wiem?

– Nie wie pan, że kiedyś każdy musi pójść do Canudos.

*

– No cóż, pani tam poszła, to pewne. Z której strony pani przybyła?

– Już nie pamiętam.

– Proszę tu podejść. Na tej mapie... widzi pani?... Tu dobrze widać drogi. To była droga pielgrzymów... Słucha mnie pani? Tutaj, gdzie pokazuję, jest ścieżka... Tucano, przypomina sobie pani?

- Każda osada była jednakowa. I każda ścieżka. Od czasu do czasu kaktusy na skałach... Nie pamiętam nazw.
- Itapicuro? Natuba?...
- Teraz, kiedy pan mówi... Chyba tak. Możliwe.
- Przyszła pani z karawaną? Mieliście przewodnika?
- Wielu nas przyszło naraz. Może setka... Nie wiem.
- Przynieśli broń?...
- Broń?... Sądzę, że tak. I lekarstwa. Do doliny przybyliśmy nocą... Pamiętam, że o świcie dotarliśmy do jakiejś rzeki...
- Vaza-Barrís?... Niech się pani pochyli bliżej.
- Świtało. Wtedy zobaczyliśmy Canudos. Później już go nie widziałam. Jeśli człowiek tam wszedł, więcej już go nie widział.
- Czy pamięta pani, jakie było, kiedy zobaczyła je pani po raz pierwszy?
- Była szarówka. Nie dało się odróżnić miasta od wzgórz... Wszystko było szare... W pobliżu była też góra...
- Monte Favela?
- Poszliśmy ku kaplicy.
- Eskortowano was?
- Byli przewodnicy... Wszyscy uklękli wokół kaplicy. I dziękowali, bo się uratowali.
- Przed zagładą?
- Przed światem. Dziękowali za to, że przybyli do Świętego Kanaanu. Wiem, trudno to zrozumieć...
- Pani też dziękowała?
- Nie, ja... Nie dlatego tam przybyłam. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam... Przemówił do nas ktoś z Canudos. Był człowiekiem starym...
- Macambira? „Łagodnego serca”?... Niech się pani zastanowi.

– Pan wie wszystko. Dlaczego pan o to pyta?... Tak, Macambira. To on przyjmował przybywających. Powiedział, żeby do wieczora każdy zbudował dom. Pokazał, gdzie jest glina... i miejsce, gdzie wolno budować... Potem dostaliśmy ubranie... Tak, to, które mam na sobie, *sacco benedetto*... Starzec powiedział, że Canudos to przedsiónek Raju. Każdy, kto chce się zbawić, przychodzi tutaj, bo Republika zaraziła już wszystkie inne miejsca. To pamiętam... Wtedy usłyszałam to po raz pierwszy. Później mówił o tym także Doradca... Oddaliśmy starcowi, co przynieśliśmy...

– Pieniądze też?

– Tak, wszystkie pieniądze. W Canudos nie były potrzebne pieniądze.

– Ci, co zabrali pieniądze... co z nimi zrobili?

– Kupili broń w okolicy. Żywność dla dzieci i starców.

– Pocziwcy... Oto lista nazwisk. Byli powszechnie znanymi złoczyńcami i bandytami. Pieniądze... kto je ukradł?

– Kraść, w Canudos?... Tam nie trzeba było kraść. Wszystko było wspólne.

– Jeśli nie trzeba było kraść, to na co było więzienie?

– Zamykano tam tylko tego, kto popełnił grzech główny.

– Zabijał?...

– Nie. Ale kogo brakowało wieczorem na wspólnej modlitwie... tego zamykano do więzienia. A jeśli brakowało go wielokrotnie... wówczas nie było litości.

– A pani mąż? Co myślał o Canudos?

– Nie wiem.

– Nie rozmawialiście o tym?...

- Ani o niczym innym.
- Nie rozumiem.
- Przybyłam za późno.
- Był chory?...
- Nie był chory.
- Popęłnił samobójstwo?...
- W Canudos nie było samobójców. Jeśli na ko-
goś przyszła pora... kładł się na ziemi i umierał.
- Zginął, w walce?...
- Nie walczył. Tak, zginął. W pobliżu starego ko-
ścioła, kiedy podeszliście blisko... Pięć dni wcześ-
niej, nim tam dotarłam. Mówię, że przybyłam za
późno.
- Widziała go pani?
- Kiedy nadeszłam... Już go spalono.
- Skąd pani wie, że go spalono?... Kto był świad-
kiem?
- Ci dwaj... Do końca z nim byli. Pomagali go opa-
trywać. Ale także inni, wielu... Wiedzieli, że lekarz
umarł.
- Coś po nim zostało? Ubranie, list?...
- Torba lekarska. Nic innego.
- Gdzie pani znalazła tę torbę?
- W domu. Tam, gdzie... mieszkał.
- A pani? Została tam pani?...
- W tym domu? Tak.
- Jeśli przybyła pani za późno, jak pani mówi...
Nie miała pani w Canudos już nic do roboty. Mogła
pani też odejść.
- Po co? Dokąd?
- Z powrotem. Dowiedziała się pani tego, co
chciała wiedzieć.
- Z Canudos nie można odejść.
- Nie mogła pani odejść, bo reszta pani nie po-
zwoliła?...

– Ależ skąd. Tam każdy jest wolny. Idzie czy zostaje... Nie, tam wygląda to inaczej. Kto raz tam przybył i zauważył, że przyjęto go do wspólnoty... Już nie chce stamtąd odchodzić, bo jest w domu.

– W domu, w Canudos?...

– Tak. I nie ma już dokąd odejść. Canudos jest na końcu...

– Czego?

– Drogi. Każdej drogi.

– W tym... domu, czy czymkolwiek była ta nora, gdzie pani spała... było łóżko?

– Nie było łóżka.

– Stół?...

– Stołu też nie było.

– Spaliście i jedliście na ziemi?... Jak zwierzęta?

– Wszyscy tak żyli w Canudos.

– W Nowym Jeruzalem nie było potrzebne łóżko? W Świętym Kannanie nie był potrzebny stół?...

– Nie, nic nie było potrzebne. Mówię, byłam w domu.

– Niech pani o tym opowie, szybko. Nie mam czasu.

*

...to zaczęło się tak, że po południu wszedł do mojego pokoju. Mogło być około szóstej, pod koniec stycznia. Padał śnieg... Słucham? Tak, tam, gdzie żyliśmy... w styczniu była zima. Gęsty śnieg, na szybach kwiaty ze szronu... Stałam przed lustrem, w futrze, poprawiałam sobie kapelusz, woalkę... Trzymałam w dłoni oblamowane futrem rękawiczki, mufkę... Pamiętam, w pokoju było ciepło, nie tak dawno wstawiono biały piec kaflowy, buchał z niego gorąc... Przed domem czekał na mnie powóz. Konie, stangret na koźle, wszystko było ośnieżone... Wszedł po cichu. Zauważyłam go dopiero wtedy,

kiedy już stał za mną, zobaczyłam go w lustrze... Kiedy indziej w godzinach wizyt pacjentów nigdy nie zachodził do mnie, poczekalnia i tego dnia pełna była chorych... Powiedział, że nie stało się nic szczególnego, chciał mnie tylko zobaczyć, nim wyjdę... Uśmiechał się... Odpowiedziałam mu uśmiechem w lustrze, dalej poprawiałam kapelusz, woalkę... Przez ramię spytałam go, czy mogę wziąć powóz... Powiedział, że tak, oczywiście, dzisiaj nie jedzie do chorego. Tamtego dnia jedna z moich przyjaciółek urządzała podwieczorek muzyczny, to tam się wybierałam... Wymieniliśmy tylko kilka słów, niedbale, konfidencjonalnie, jak o codziennych sprawach rozmawiają małżonkowie... Później, kiedy to wspominałam, stale widziałam wszystko na nowo. Pokój, blask rzucany przez śnieg, meble... a także jego. Usiadł, w palcach trzymał dymiące cygaro... Kiedy indziej, jeśli palił, nigdy nie wchodził do mojego pokoju... Ale czasem, pomiędzy dwoma pacjentami, wymykał się z gabinetu lekarskiego... Teraz też. Żartobliwie powiedział, że uciekł... Jednak tamtego dnia nie poszedł z dymiącą hawaną do salonu, lecz zaszedł do mnie... Kiedy pan wcześniej zapalił, dym cygara ponownie wszystko przywołał... Znów go widziałam, jak w rzeczywistości, tamtego popołudnia... Człowieka już niemłodego, ale też jeszcze nie starego... Jak pan. Bokobrody, okulary o złotych oprawkach, czarny surdut... Ubiął się tak, jak od sławnego lekarza oczekiwali chorzy. Na kamizelce ukośnie zwieszała się złota dewizka... Z kieszeni na cygara wystawała końcówka stetoskopu... Usiadł, westchnął żartobliwie, że wielu jest chorych, wielu nieużytecznych nicponi, beztroskich ludzi, którzy chorują, bo mogą sobie na to pozwolić... Tak żartował... Na toaletce leżała książ-

ka, po południu przysłał ją sprzedawca, jeszcze nie miałam czasu, by rozciąć w niej kartki. Wziął do ręki tę książkę, obejrzał żółtą stronę tytułową... W mieszkaniu i w gabinecie lekarskim, wszędzie było już oświetlenie gazowe, to wtedy wprowadzono u nas ów wiedeński wynalazek, jakąś azbestową osłonkę, gazowe żyrandole rzucały biały blask... Lecz w moim pokoju na stole wciąż jeszcze świeciła stara lampa naftowa, taka z niebieskim szklanym kloszem ze szkła z Murano, przez ten niebieski klosz przenikało miękkie, blade światło, niczym w bajkach... Niezdarnie poprawił knot w lampie naftowej, podkreślił wyżej płomień, przesyłabizował tytuł powieści... *Lourdes*, taki miała tytuł... Autor nazywał się Zola, o tej książce wiele wówczas mówiono... Kartkując powieść, powiedział, że ciekawe byłoby zobaczyć kiedyś wykaz diagnoz z *Lourdes*... Pamiętam, powiedział jeszcze i to, że w medycynie rzadkie są cuda, istnieją raczej tylko błędne diagnozy, co potem nazywa się cudami... Tak oto rozmawialiśmy, pamiętam każde słowo... Wstał, w jednej ręce trzymał cygaro, daleko ode mnie, żeby mi nie przeszkadzał dym... Ucałowałam go w policzek, pośpiesznie, jak żona żegna się z mężem, bo jest już późno, pada śnieg, czeka powóz, przyjaciółka, muzyczny podwieczorek... Pamiętam, że... ale to może nie jest ważne... tak, pamiętam ten znajomy zapach... Jego twarz, brodę, dym cygara, coś octowego, czym fryzjer skrapia włosy, brodę... Bo każdego poranka przychodził do niego fryzjer, czesał go, przycinał mu zarost... Fryzjer przychodził w tym samym czasie, co masażystka, ta zajmowała się mną... Ponieważ żyliśmy w sposób tak wyszukany i skomplikowany. Mieliśmy lokaja, pokojówkę, kucharkę, stangreta... Jego pacjentami byli sławni lu-

dzie, znane i bogate towarzystwo... My też byliśmy bogaci. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo bogaci... Dowiedziałam się tego dwie godziny później, kiedy wróciłam do domu z muzycznego podwieczorku. W przedpokoju czekał lokaj, to od niego usłyszałam, że mój mąż nagle wyszedł... To nie było niczym nadzwyczajnym. Weszłam do swojego pokoju i gdy pokojówka pomagała mi zdjąć futro, odłożyć mufkę, kapelusz, woalkę, szpilkę do kapelusza, spytałam, czy mojego męża wezwano do chorego. Powiedziała, że nie wie, bo nie było nikogo... Z chorymi uporał się szybko, po czym nałożył futro i wyszedł... To było dziwne, nie rozumiałam tego, bo przecież pożegnaliśmy się tak, jakby miał na mnie czekać w domu... Ale był lekarzem, nigdy nie można było z góry przewidzieć, co będzie robić, dokąd pójdzie... Powiedziałam pokojówce, żeby z podawaniem do stołu zaczekano, aż wróci mój mąż, zjemy kolację później... Dziewczyna wyszła z pokoju. Wtedy to się zaczęło. Co?... Zmiana. To, że wszystko się zmieniło. Pokój był ten sam, jak dwie godziny wcześniej, kiedy mój mąż stamtąd wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Przyjacielsko, uśmiechając się... Dobry mąż, sławny lekarz, cichy, poważny, uprzejmy człowiek... Nasza córka wyszła za mąż dwa lata wcześniej, mieszkała w obcych stronach, w innym mieście... Kiedy córka odeszła z domu, staliśmy się bardzo samotni... Jakbyśmy i my odeszli od siebie, nie tak bardzo, to nie była oziębłość, tylko... Jakby wyszło na jaw coś, o czym milczeliśmy, póki była z nami córka... Ale wydawało się, że tylko jesteśmy dla siebie trochę chłodniejsi... Oboje myśleliśmy, że to z czasem przejdzie... Nawet nie rozmawialiśmy o tym... Piękne mieszkanie naraż stało się dziwnie puste... Zakupiliśmy nowe me-

ble, często zapraszaliśmy gości i sami też bywaliśmy w towarzystwie... Wszystko szło dalej, cicho, bez sporów... Lecz w tamtej chwili, wieczorem, nagle poczułam się tak, jak kiedy człowiekowi zakręci się w głowie i przez jeden moment widzi coś w pełnej ostrości... Nie myślałam jednak o niczym, to z czasem minie, coś takiego czułam... Tak stałam, jak długo?... Nie wiem. Są chwile, gdy nie można patrzeć na wskazówki zegara, nie ma to sensu... W końcu zdecydowałam się, przecież trzeba było zdjąć wyjściową toaletę, trzeba było się przebrać... Po południu, w domu mojej przyjaciółki jakiś występujący gościnnie artysta grał na fortepianie Mozarta... Teraz znów słyszałam trele *Czarodziejskiego fletu*, to kwilenie... Mój mąż bardzo lubił Mozarta, ponadto wszelką muzykę z południa Niemiec i południa Włoch... On też grał na skrzypcach, źle, bez słuchu... Wraz z trzema przyjaciółmi utworzyli kwartet smyczkowy... chirurg, neurolog i jeszcze jeden internista, od czasu do czasu spotykali się i grali na skrzypcach... Te domowe koncerty były zabawne, sławni lekarze grali w sposób przeraźliwy, fałszując, także mój mąż... Dużo się śmieliśmy... To o tym myślałam, kiedy tak stałam pośrodku pokoju i wciąż słyszałam muzykę Mozarta... Rozejrzałam się i wtedy... jak to powiedzieć... tak, od stóp do głowy przeszył mnie lodowaty chłód... Bo pokój był pusty. Poprzez niebieski klosz ze szkła z Murano przenikało blade światło. Meble stały na swoich miejscach. Jednak pokój był pusty, bo ktoś wyszedł z tego pokoju... nie tylko tak, jak zazwyczaj, ale... inaczej. I naraz, bez żadnego przejścia, zrozumiałam, że mój mąż odszedł. Nie bałam się, tylko było mi bardzo zimno. Chciałam zadzwonić, dzwonek miałam pod ręką, taki mały aztecki dzwonek ze

srebra, to od niego dostałam go w prezencie na gwiazdkę... Później słyszałam ten dźwięk srebra w Canudos... Tak, ten srebrny dzwon, o którym wcześniej wspomiano... Nie wiem na pewno... Może jeszcze zabrzmiał... Jeśli weń uderzą, będzie to znaczyło, że Doradca odszedł... Tego nie można wiedzieć z pewnością... Rano jeszcze żył... W Canudos wszystko dzieje się inaczej. Ale chciałabym opowiedzieć wszystko po kolei... Słowem, srebrny dzwonek. Wzięłam go do ręki, lecz nim nie potrząsnęłam, odstawiłam go z powrotem na stół... Nie bałam się, ale już wiedziałam, że pokój jest zupełnie pusty. Ponieważ ktoś odszedł, odszedł na zawsze... Jak coś rzeczywistego może na zawsze zniknąć we śnie. Na toaletce paliła się lampa o niebieskim świetle, każdy mebel był na swoim miejscu, miękkie jedwabne zasłony w oknie dotykały parkietu... I ta tapeta na ścianie, jasne, ciepłe kolory... To on urządził mój pokój, chciał, żeby wszystko wokół mnie było piękne i miękkie, a także kolorowe... Później, w Canudos, w jamie, gdzie spałam, czasem przypominałam sobie wzór tej tapety, ptaki i kwiaty... I to, że zawsze był uważny. Często chodziliśmy do teatru, na koncerty, bywaliśmy w towarzystwie... I w końcu... Niech pan zrozumie, w chwili gdy pokojówka wyszła z pokoju, wiedziałam, że odszedł na zawsze... Później, po półgodzinie, kiedy wciąż nie było go w domu... znalazłam w gabinecie lekarskim, na jego biurku, dokumenty, testament, klucz do sejfów, konto bankowe, książeczkę oszczędnościową... I odręczne pismo z dyspozycjami... wszystko jest moje, dom, wkład bankowy... Wszystko leżało tam na środku biurka, starannie ułożone, uporządkowane... Przy dokumentach, kluczach nie było listu ani pożegnalnych słów, niczego... Później

wielokrotnie mnie przesłuchiowano. Chciano wiedzieć o wszystkim, jak żyliśmy, kto u nas bywał... Gazety długo pisały o tym zniknięciu, bo przecież mój mąż był sławnym lekarzem... Dziennikarze i ludzie z policji rozmawiali z wieloma jego znajomymi... Chcieli wiedzieć, czy wśród jego pacjentów był szaleniec lub inna osoba, która być może coś wie... Czy była w jego życiu inna kobieta... Ale nikt nic nie wiedział. Miesiącami go szukano, jednak daremnie. Potem mówiono, że oszalał, popełnił samobójstwo. Minęły trzy miesiące. Gazety pisały już o czymś innym. Przyjechała moja córka z mężem, ale oni też niczego nie wiedzieli, pocieszali mnie, wyrażali ubolewanie. Potem pojechali z powrotem do domu. Dawni przyjaciele też przestali przychodzić. Zostałam sama. Czekałam... Czekałam, żeby mnie wezwał. Wiedziałam, że żyje. Nie czekałam na list, ale wiedziałam, że gdzieś jeszcze żyje... Przedtem... nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Człowiek wychodzi z pokoju, jakby szedł tylko gdzieś po sąsiedzku... I więcej już nie wraca. Nikt nie rozumie, co się stało, ludzie różnie zgadują... Potem wzruszają ramionami i godzą się z tym, że zniknął. Jeden z jego przyjaciół, neurolog... dziwny człowiek, nie lubiłam go, zawsze byłam niespokojna, gdy ten człowiek wchodził do pokoju... w tamtych miesiącach czasem mnie odwiedzał. Nie zapraszałam go, przychodził sam z siebie. Jak sądzę, interesowałam go... Albo interesowały go okoliczności, nie wiem... Był mądrym człowiekiem, bardzo taktownym... Powiedział, że mojego męża bardzo trudno było pojąć. Oni dwaj byli dobrymi przyjaciółmi... Razem grali na skrzypcach, to było śmieszne... Mieli też wspólnych pacjentów... Ale mój mąż rozmawiał z nim także inaczej, nie tak jak lekarz z innym lekarzem, ra-

czej jak pacjent z neurologiem... Powiedział, że on też ufał mojemu mężowi, kiedy chorował i potrzebował internisty, wzywał go, bo wiedział, że jest znakomitym lekarzem... Ale mój mąż jakoś się pogubił. Już nie wierzył chorującym. I nie wierzył chorobie... Nie wierzył, że choroba jest jedynie cierpieniem i umieraniem, niczym innym... Wierzył, że choroba ma jakiś cel, swój własny sens... Często się spierali... Obaj byli ateistami, ale wierzyli, że takżeżło ma na świecie sens, jak uczy Biblia... Choroba jest nie tylko ostrzeżeniem czy nieszczęśliwym wypadkiem, lecz również czymś innym... Ten lekarz zapytał, czy mój mąż mówił czasem o czymś takim... Nie, nigdy... Powiedział też, że w ostatnim czasie mojego męża już nie interesowała praktyka. Pragnął jedynie zrozumieć, co chce powiedzieć choroba. Dużo mówili o chorobie nowotworowej. O tym, że nikt nie wie niczego pewnego... Leczyć jej też nie potrafią, ale teraz, gdy jest chloroform, czasem się ją operuje... Jednak i to jest najczęściej pozbawione nadziei... Nie, mój mąż nie chciał rozwiązać zagadki choroby nowotworowej, powiedział swemu przyjacielowi, że nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać, co z takim chorującym zrobić... Ale chciałby wiedzieć, jaki jest sens tego, że w organizmie, który poza tym jest zdrowy, jakaś komórka nagle wpada w obłąd i zaczyna rosnać, mnożyć się... i nikt nie umie powiedzieć, dlaczego... Taki człowiek ma zdrowe serce, żołądek... Wszystko jest u niego takie, jak w organizmie zdrowego człowieka... Także w jego życiu wszystko jest w porządku, pracuje, ma rodzinę... A pewnego dnia w tym ogromnym organizmie, jakim jest ludzkie ciało, pomiędzy wieloma milionami zdrowych komórek jedna komórka nagle wpada w obłąd i zaczyna rosnać... Powstają teorie, co

jest tego przyczyną... może dziedziczenie, zakażenia, odżywianie, styl życia, środowisko... Nikt nie wie niczego pewnego... Ale ta komórka rośnie niczym olbrzym pomiędzy karłami... I wokół niej po kolei wpadają w obłęd pozostałe komórki, i również one zaczynają rosnać, mnożyć się... To jest rak. Przyjaciel mojego męża powiedział, że wiele o tym rozmawiali... A mój mąż wyraził się kiedyś, że taka osobliwość występuje nie tylko w organizmie pojedynczego człowieka, ale i w życiu społeczeństw, ludów... Pomiędzy wieloma milionami zdrowych komórek trafia się jedna zbuntowana. Myśli inaczej niż pozostali... I przerzuty są szybkie. Państwo, rząd, władze są dokładnie tak samo bezradne jak lekarz. A ponieważ nie mogą uczynić nic innego, zatem wyjmują nóż i zaczynają ciąć...

*

– Jak my tutaj, w Canudos?

– Jak wy tutaj, w Canudos.

– Jak pani się dowiedziała?...

– O czym? Że mój mąż jest tutaj? Z gazety.

– Z której gazety?

– „Estado...” Tak, „Estado de São Paulo”... Taki miała tytuł.

– Pani mąż... Prenumerował tę gazetę?

– Kiedy odszedł... później, po upływie tygodni... znalazłam w jego gabinecie lekarskim, w szufladzie biurka egzemplarze tej gazety. Czerwonym ołówkiem zaznaczył każdą wiadomość, która mówiła o Canudos...

– Przeczytała pani w gazecie nazwisko swojego męża?

– Nie, nigdy. Ale poczułam się tak, jakby ktoś na mnie krzyknął. Jednym słowem, zrozumiałam.

– Długo trwało, nim dotarła pani do Canudos?

– Do Brazylii? Długo.

– Przybyła pani statkiem? Czy pociągiem, z sąsiednich państw? Dlaczego pani nie odpowiada?

– Proszę, niech pan porzuci ten policyjny ton.

– Chciała się pani dowiedzieć, kto zorganizował bunt?

– Chciałam się dowiedzieć, dlaczego odszedł mój mąż, wtedy zimą, pod wieczór, gdy padał śnieg. Zostawił gabinet lekarski. Ciepłe mieszkanie. Piękne meble... Wspólną sypialnię. I mnie.

– Dowiedziała się pani?... Dlaczego pani nie odpowiada? Wie pani, ale nie ma odwagi powiedzieć?

– O Canudos nie można... mówić. To tylko... się dzieje. Tak jak i o miłości nie można mówić. Czy o religii. Jest albo jej nie ma... Natomiast jeśli się o tym mówi, to nie jest już to... To jest jedynie fakt.

– Dla pani Canudos było?...

– Było faktem.

*

...dość, że pewnego dnia dowiedziałam się, że mój mąż jest w Canudos. Tam, gdzie wcześniej żyliśmy... wszystko powoli przycichło. Gazety pisały o czym innym. Urzędy już mnie nie niepokoiły. Prokurator powiedział, że trzeba odczekać czas przewidziany przez prawo, wówczas uznają mego męża za zmarłego... Przez mieszkanie przewinęło się wielu prokuratorów, podejmowane były różnego rodzaju czynności, trzeba było podpisać akta, protokoły... Wszyscy pogodzili się już z tym, że mój mąż popełnił samobójstwo. Bo przecież nim odszedł, wszystko uporządkował na biurku, jak niekiedy mają w zwyczaju samobójcy... Zostałam sama. I cze-

kałam. Przeczytałam w gazetach wszystko, co gdziekolwiek napisano o Canudos. Lecz z nikim o tym nie mówiłam. Nawet z tym lekarzem, przyjacielem... Z początku jeszcze czekałam na jakąś wiadomość, list czy telegram... Świat stał się teraz tak mały, wiadomość można przesłać telegraficznie... A parowce, lokomotywy poruszają się szybko... Odległość już nie istnieje. Ale list nie nadchodził ani wiadomość... Wiedziałam, że gdzieś żyje i... naraz zrozumiałam... Nie do wiary, jak łatwo jest coś pojąć, gdy człowiek zostanie sam... Zamęt trwa tylko dopóty, dopóki próbuje się coś zrozumieć, pozostając pośród ludzi... Oni bez przerwy mówią o czymś innym... Ale ja byłam już sama i zrozumiałam. Mój mąż odszedł i nie chciał mnie zabrać tam, dokąd poszedł... Nie wzywał mnie, bo to, dokąd poszedł, jest czymś potwornym... A musiał odejść, bo wzywało go tam coś silniejszego niż wszystko, co otaczało go na co dzień... Jego profesja, dom, ja... Chciał się dowiedzieć, jak to jest, gdy coś jest silniejsze od tego, co wymyślą ludzie, w czym żyją, o czym sądzą, że jedynie w tym można żyć... Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, co to może być... Pewnego dnia wyruszyłam. Skąd?... Właśnie stamtąd... Słowem, z innego świata... Wyruszyłam w podróż tak, jak podróżuje dama, którą spotkał wielki cios i udaje się na wypoczynek... Wyruszyłam z piękną torbą podróżną, w podróżnym płaszczu... Pierwszą klasą wyjechałam w podróż do piekła... Nie śmieje się pan?... Wszyscy mi współczuli, ale też pochwalali to, że wyjeżdżam. Napisz, mówiły przyjaciółki... Również neurolog przyszedł się pożegnać. Przyszedł ostatniego dnia, przed odjazdem. Nic nie mówił... Służba już uporządkowała piękne mieszkanie, na meble ponaciągano pokrowce, żeby, nie daj Bóg, coś im się nie stało, kie-

dy będę daleko. Zwinięto dywany... Lekarz rozejrzał się po mieszkaniu. Potem patrzył na mnie. Z powagą oglądał moje walizki. Sądziłam... Był taki moment... Powie coś, zatrzyma mnie... Lecz nic się nie wydarzyło. Kiedy szliśmy do drzwi... rękę położył już na klamce... Powiedział... raczej mruknął... Pamiętam... Jeśli człowiek od czegoś nie umrze, to wówczas... chwileczkę, jak on to ujął?... Tak, człowieka wzmocni to, od czego nie zginie... Jakoś tak to powiedział. Nie odwrócił się, odszedł.

*

– Czy pani mąż czytał Nietzschego?

– Kto to?

– Czy potrafi pani przypomnieć sobie, jakie książki czytał pani mąż?

– Różnego rodzaju. Książki medyczne...

– Czy słyszała pani od męża takie nazwisko...

Proudhon?

– Co napisał?

– Bakunin, Kropotkin?

– Nigdy.

– Zenon?...

– Pisał wiersze?

– Nie, pisał o anarchii. Czy pani mąż mówił o pewnym człowieku, który nazywał się Marks?

– Nie pamiętam. Jak pan powiedział?... Marks? Nie mówił.

– Proszę pomyśleć. Nie słyszała pani, jednym uchem, żeby pani mąż wymyślał Marksowi? Na przykład, gdy rozmawiał z tym przyjacielem, lekarzem... Pani mąż nie mówił, że Marks był zdrajcą, wrogiem, bo nie wierzył w anarchię?

– Mój mąż nigdy nikomu nie wymyślał.

– Powiedziała pani, że bywało u was wiele osób.

Wykształceni, kulturalni ludzie... Pani była tam w pokoju, kiedy goście rozmawiali, dyskutowali... czy kiedykolwiek słyszała pani o duchoborcach¹?...

– Kim oni są?

– Nie mówili goście... Lub pani mąż... o pewnej rosyjskiej sekcie?... O ludziach, którzy odrzucają państwo, społeczeństwo, kościoły?... Tańczą, modlą się nadzy, biczują się? Żyją w religijnej ekstazie? Czekają na Sąd Ostateczny. Słyszała pani o tym?...

– Nie, nigdy.

– Czy słyszała pani taką nazwę... nikolaici²?

– Nie słyszałam.

– Pani mąż był anarchista?...

– W Canudos nie było anarchistów. Tam panował ład. W inny sposób niż na zewnątrz, w świecie... Ale był wielki porządek.

– W szaleństwie zawsze jest porządek. Ale to obsesja z wściekłością utrzymuje ład.

– W Canudos ludzie nie byli wściekli. Tam każdy był w dobrym humorze... Jakby cieszyli się z czegoś...

– Głodowali. Nie było wody. Jedli błoto, nawet dzieci to jadły. Pili mocz. I umierali, setkami, każdego dnia, niczym bydło, gdy zabija je susza. Z czego się cieszyli? Z Raju, który obiecał Doradca?...

– Nie wiem, czy Raj istnieje. I nie wiem też, gdzie jest, jeśli istnieje... Wiem tylko tyle, że Canudos jest

¹ Duchoborcy – sekta istniejąca od XVII–XVIII w., odłam rosyjskiego prawosławia, odrzucający Kościół, dogmaty, autorytet władzy świeckiej, przysięgę i służbę wojskową.

² Nikolaici – współcześni apostołom członkowie sekty Nikolausa, jednej z najstarszych sekt heretyckich w dziejach Kościoła; przypisuje się im rozwiązłość obyczajów.

całkiem blisko... Jeśli człowiek tam dotarł... nagle nie miał już więcej żadnych trosk.

– Kiedy nie mordowali, w ciągu dnia czy nocą... Co oni robili w Canudos? Czy był jakiś... porządek dnia?

*

...tam wszystko dzieje się inaczej. I tam jest rano, południe oraz wieczór... Lecz w inny sposób. Nie ma osobno dnia i osobno nocy. Walczyli lub umierali, albo też modlili się, śpiewali... Ale wszyscy byli w dobrych humorach. I nie było ważne to, że ktoś umarł. Kiedy przybyłam i dowiedziałam się, że wszystko jest tak, jak to sobie wyobrażałam... Mój mąż dotarł do Canudos... Ale nie czekał na mnie, bo opanowało go znużenie... Pierwszym zaskoczeniem było to, że nie było żadnego zaskoczenia... Nie czułam bólu ani odrazy czy też rozpacz... Jeśli dowiedziałabym się gdzie indziej, wcześniej... w domu lub w drodze, że mój mąż już nie żyje, może bym od tego zwariowała albo się zabiła... Lecz w Canudos nie szalałam... Tam nie istnieje żałoba. Dawniej, kiedy był jeszcze czas na coś takiego... zabierali poległych w pobliże starego kościoła, śpiewali, grzebali ich... Ale w ostatnich tygodniach było już bardzo wielu zmarłych, brakowało czasu na coś takiego. Podeszliście z działami już bardzo blisko kościoła, a nocą byliście również w domach... Przecież pan o tym wie... Wtedy zmarłych zaczęto palić... W torbie lekarskiej mojego męża znalazłam środki nadające się do leczenia, rzeczy do opatrunków, leki uśmierzające ból... Nikt tego nie dotykał... W Canudos także ból cielesny był inny niż u was... I na zewnątrz, w świecie... Pamiętam, przedtem stale miałam migreny... W moim pokoju na toalet-

ce stała kryształowa buteleczka z rozpylaczem, zawierająca rodzaj aromatycznego spirytusu, który wdychałam przeciw migrenie...! Ale coś takiego nie było już potrzebne w Canudos. Tam nigdy nie miałam migreny. Ani żadnej innej dolegliwości... Ból, okropne rany, wszystko jakimś cudem samo się tam znieczulało... Nikt się nie skarżył, nawet dzieci... Widziałam dzieci... O tym nie chcę mówić. Kiedy dotarliśmy na miejsce, przez dwa dni nikt się do mnie nie odzywał. Wszyscy byli nastawieni przyjaźnie, ale... Byłam jeszcze obca. Nie pytali, skąd przybyłam, dlaczego. Mimo to widziałam, czułam, że mnie obserwują. Była jakaś policja w obozowisku, byli również szpiedzy, którzy donosili Doradcy, jeśli ktoś był podejrzany... Dlaczego podejrzany? Tylko jeśli nie działo się z nim to, co działo się ze wszystkimi... To, że dotarł do Canudos... Dotarł nie tylko jako człowiek – żebrak, włóczęga czy pielgrzym – nie sam wędrowiec, ale i ten ktoś inny w nim... Kto nie umiał albo nie chciał zjednoczyć się z Canudos... To na to zwracali uwagę szpiedzy. Szefem szpiegów był Alfonzo, był tam wszędzie, dniem i nocą, przy modlitwie, na pogrzebach, przy posiłkach... Niebezpieczny człowiek. Doradca nie ufał nikomu innemu, jedynie Alfonzo... Ale kiedy to zrozumiałam, już nie bałam się nikogo, bo wtedy stało się to już i ze mną... Słowem, dotarłam. Trudno o tym opowiedzieć, ale skoro zaczęłam... Przecież dostałam podarunek, wykąpałam się, prawda?... Opowiem, jak potrafię. Ale obawiam się, że trudno będzie zrozumieć. Na przykład to, że ludzie w Canudos niczego się nie bali. Pan powiedział wcześniej, że tam po drugiej stronie ludzie wymierzali niczym stada podczas suszy... i jest to prawdą. Mimo wszystko była tam taka pewność... więcej,

takie bezpieczeństwo... Nigdzie, w żadnym mieście nie znają ludzie takiej pewności i bezpieczeństwa jak tam. Później, kiedy już dostałam ten ubiór i byłam taka jak inni, czasem przypominało mi się to i owo, co było potrzebne dawniej, do dawnego życia... Na przykład klucze. Przedtem zawsze, do wszystkiego potrzebne były klucze. Klucze, którymi zamykaliśmy szafy i szuflady... Ponadto innego rodzaju klucze, kłódki, na które dniem i nocą zamykano drzwi i bramy... W Canudos nie było ani jednego klucza. Niech pan sobie wyobrazi miasto, gdzie mieszka wiele tysięcy ludzi i każdy ma dom... Taki, jaki ma, ale mimo wszystko jego własny, cztery ściany i dach... A w domu jest skórzana torba, święte obrazki, broń... Ale nie ma klucza. Bo nie ma czego zamknąć. W domu najczęściej nie było nawet drzwi, przy wejściu wisiała tylko jakaś szmata z worka... I w takim domu, który nie miał drzwi, gdzie nie było klucza... wszyscy spali spokojnie. Nigdy nie sypiałam dobrze, dawniej mąż dawał mi proszki, spałam, wybudzając się w przestraszu... Ale w Canudos już pierwszej nocy spałam jak dziecko, kiedy wie, że jest strzeżone i nic złego mu się nie przytrafi. Wszyscy spali spokojnie, bo nie trzeba było bać się złodziei... Tylko was, policjantów, trzeba było się bać... Ale nawet i to nie było takie proste... Osobliwe, ale także w Canudos byli złodzieje. Złodziejami byli nie ci znani, straszni bandyci i mordercy, których spisano na liście... Nie, to inni kradli. Ci, którzy jedynie towarzyszyli tu mężczyznom i kobietom. Nie ci, co pewnego dnia skądś wyruszyli ku Canudos... Dlaczego?... Bo coś ich wzywało... Porzucali wszystko i szli do Canudos. Nie oni kradli... Złodziejami byli starcy, którzy towarzyszyli wędrowcom, bo nie mogli zostać sami

w domu. To ci towarzyszący, starcy, kradli. Oni jeszcze przynosili z sobą jakieś wspomnienie z tamtego świata... Wspomnienie klucza, zamka i kłódki, tego, że dobrze jest przed innymi coś schować, jedzenie, ubranie, jakiś użyteczny przedmiot... Lub złoto i srebro... Tak, złoto. I srebro. W Canudos trafiło się i to, wcale nie tak mało... W piwnicy Sanktuarium leżały worki pełne złota. Były tam monety, pieniądze, ponadto klejnoty, które zbójcy zebraли w okolicy, kiedy grabili po wsiach i miastach... Ale w skórzanych workach było też takie złoto i klejnoty, które właściciele, zamożni i bogaci, dobrowolnie oddawali rabusiom, posyłali Doradcy w podarunku, jak ktoś, kto inwestuje w jakieś przedsięwzięcie, bo przecież nie można wiedzieć, na co to się zda, gdy kiedyś nadejdzie koniec świata... I rozbójnicy wszystko przynosili do Canudos, oddawali Alfonso, który był też skarbnikiem, żeby to schował... Bo kiedy po rozbojach powracali do Canudos, już nie byli zbójcami... To było osobliwe w Canudos... Już nie potrzebowali złota... Doradca utrzymywał wielki porządek... To była druga osobliwość, wielki ład w wielkim Chaosie... Nie, to nie był komunizm. Wewnątrz chaosu był surowy porządek, bo kto przybył do Canudos, rychło pojmował, że nie przybywał do jakiegoś nowego społeczeństwa, lecz do innego życia... Do świata, gdzie zarówno życie, jak i śmierć mają sens odmienny niż gdzie indziej, gdzie jest państwo... W Canudos był ład, ale nie było państwa... Byli ludzie, ale nie było instytucji... I nie było niczego, czego trzeba by bronić... Mimo to byli też starcy, którzy nie umieli uwolnić się od własnych wspomnień. Podejrzewali, że być może wcale nie jest pewne to, co obiecuje Doradca, być może koniec świata wcale nie jest tak bliski...

I nawet do tego czasu, nim nastąpi koniec świata, dobrze będzie coś odłożyć, schować, a nuż się przyda... Tak, starcy kradli. Ale ich nie karano... Jak nie karano także tych, co poza obozem awanturowali się czy upijali... Lecz jeśli ktoś był pijany w obozie, tego natychmiast zabijano... Wiem, sądzi pan, że Doradca jest szaleńcem... Możliwe, że kto na Canudos patrzy z zewnątrz, postrzega go jako szaleńca... Ale w Canudos nie było takiej linii oddzielającej szaleństwo od normalności, jaką wyznaczacie tu po drugiej stronie... I niech pan sobie nie wyobraża, że w Canudos była nienawiść. Tam nie nienawidzono was, wrogów, którzy pewnego dnia przyszliście tu na pustkowie, żeby bronią, działami i bagnietami unicestwić Święty Kosmos i wszystkich, którzy w nim żyją... Zabijali was, jako i wy ich zabijaliście... Jak zabijają jeszcze tej nocy wszystkich, którzy tam pozostali... Tak, także nas, których przysłał tu Doradca, żebyśmy powiedzieli, że wszystko to kłamstwo... Lecz my tam po drugiej stronie nikogo nie nienawidziliśmy. Raczej żalowaliśmy was, morderców, bo nie dość jeszcze nacierpieliście się, nawet nie dość jeszcze nagrzeszyliście... Doradca powiedział raz... Każdy musi przejść pod drzewem Poznania Dobra i Zła... Rzekł tak o pewnej kobiecie, która żyła w hańbie, każdej nocy spała z innym... Nie, w Canudos nie było małżeństw. Doradca nie zabraniał, żeby mężczyźni i kobiety żyli razem... Wiele było nieślubnych związków, rodziły się też dzieci... Ale małżeństwa, w jakim i ja przedtem żyłam, nie istniały... Nie udzielano również ślubów, bo przecież nie było kapłanów... My byliśmy już blisko tego, co kapłani jedynie obiecywali... Dlatego wszystko było dozwolone, także to, co wy tutaj po drugiej stronie nazywacie grzechem... Lecz nie by-

ło niemoralności, bo nie istniała moralność. I nie nienawidzono was. Raczej tylko żałowano, bo nie znaleźcie jeszcze prawdy, budowaliście innego rodzaju miasta, z wytwornymi mieszkaniami, wspaniałymi ulicami, ponadto koleje żelazne, piękne statki... I ja żyłam w takim mieszkaniu, chodziłam po takich ulicach, podróżowałam pięknym statkiem... To naturalne, że jeśli ktoś z zewnątrz, z ulicy, zajrzy przez zakratowane okno do zakładu dla obłąkanych, wówczas to, co tam zobaczy, jest dla niego szaleństwem... Ale ci, co są w środku, być może wcale nie są obłąkani, tylko czegoś chcą z tak potworną siłą, chcą czegoś, do czego można się zbliżyć jedynie w taki sposób... Może chcą też czegoś innego, nie tylko tego, żeby być szalonymi... Osobliwe było to, że w Canudos nawet zbójcy i mordercy uspokajali się... Jak ktoś, kto wreszcie dotarł do domu... Byli pomiędzy nimi brutalni młodzieńcy. Wszyscy przybywali z bronią, nie mieli nic innego, tylko broń i złoto lub srebro... Broń zatrzymywali... Wieczorem, podczas nabożeństwa, garściami rzucaли przed Doradcę złoto i klejnoty, które przynieśli ze sobą w torbach, a które zdobyli w drodze, rabując... Ale teraz już niczego nie potrzebowali. Niech pan nie wierzy, że ci dzicy ludzie w Canudos nagłe ulegali poprawie, wyrażali skruchę, zaczęli wpadać w dewocję czy udawali pobożność, ależ skąd... Ja?... Teraz już powiem... Kiedy stało się to ze mną... Co?... Słowem, kiedy wstąpiłam do Canudos... To też bardzo trudno opowiedzieć... Bo coś takiego nie dzieje się od razu. Czasem mijają tygodnie, miesiące i ludzie wciąż jeszcze nie docierają tak naprawdę... Ja żyłam tam już czwarty tydzień, już ze wszystkimi rozmawiałam, ze wszystkimi, którzy widzieli, znali mojego męża... Nie, z Doradcą nie

rozmawiałam, to było niemożliwe... Jedyne widywałam go każdego wieczoru podczas modlitwy... Dzisiaj rano po raz pierwszy zwrócił się do mnie... Żyłam tam w Canudos, ale czasem jeszcze myślałam o tym, że wszystko to jest tylko jakąś niebezpieczną przygodą... Jak ktoś, kto z ekspedycją zabłądzi do dzikich. Czasem jeszcze sądziłam, że ta wycieczka kiedyś się skończy... Byłam tam już w pełni, ale wciąż jeszcze zdarzały się godziny, kiedy potrafiłam sobie wyobrazić, że pewnego dnia stamtąd odejdę, już mnie tam nie będzie... A potem, któregoś dnia... Zauważyłam, że w Canudos nie tylko życie jest inne od tego życia, jakie wcześniej wiedziałam, lecz także godziny mają inny sens... To, co wy nazywacie jedenastą przed południem czy trzecią po południu, nie miało już żadnego sensu... Bo w Canudos nie istniał czas. Ale wciąż jeszcze sądziłam, że pewnego dnia wszystko się skończy i nie będzie mnie już w Canudos, i wówczas opowiem to, co tam widziałam, bo przecież jest to bardzo ciekawe... I któregoś dnia zauważyłam, że dotarłam w zupełności, nigdy już nie odejdę z Canudos do domu... W tym momencie... oni to tam wyczuwają... inaczej zwracali się do mnie, przyjęli mnie do swojego grona. Porządek dnia?... Tak, także w Canudos był porządek dnia, ale bez rachuby czasu... Jeśli nie przychodziliście mordować i nie strzelaliście z dział, wówczas ludzie również spali albo siadali na ziemi, śmieli się, jedli, a nawet żartowali... I ja z nimi żartowałam i śmiałam się.

*

- Pani mąż też to złapał?...
- Co?
- Canudos?

- Nie rozumiem. Złapał, to znaczy?...
- Jak jakąś chorobę.
- Canudos było czymś innym. Nie było chorobą.
- Niech pani to wypowie.
- Było możliwością.
- W anarchii jest energia i ta energia to zawsze

możliwość. Tyle to wiemy i my, zacni demokraci. Ale możliwość, w której nie ma rozumu, jest energią jedynie w zakładzie dla obłąkanych. Czy pani mąż to wiedział?

- Wiedział to, co wiedzieli wszyscy w Canudos. Wiedzieli, że czasem niemożliwe jest tym jedynym, w co warto wierzyć.

- Pani nie jest normalna.

- Co pan ma na myśli?...

- Nienormalni są wszyscy ci, co sądzą, że uratują się i zbawią, jeśli nie będą się myć. Wielu już żyło ludzi, którzy wierzyli, że będą prawdziwymi chrześcijanami, jeśli przed światem, zawsze nieczystym, uciekną w brud. Święci też bywają nienormalni. My, demokraci, my nie tykamy religii, ale... Kiedy ludzie buntują się przeciwko rozumowi i porządkowi i w coś uciekają, jakby ktoś szedł na maskaradę i nakładał kostium... Wówczas sprawdzamy, kto kryje się pod kostiumem. Osiem tysięcy federalnych żołnierzy przybyło do Canudos, żeby zobaczyć, co się tutaj dzieje. Wiele tysięcy zmarło. Teraz oto nadszedł koniec balu przebierańców... A pani przyszła tutaj, żeby mi opowiedzieć tę bajkę o mężu. I o Doradcy. Poprosiła o kąpiel. Mówi pani po angielsku, ale... pani akcent nie jest oksfordzki. Pani mąż... Przybył z Irlandii? Nie odpowiada pani? Możliwe, że i pani stamtąd pochodzi? Tam jest wielu bigotów. Słyszała pani w Canudos o tym, że rozum to grzech?...

– Nikt nie mówił o tym, że rozum to grzech. Był tylko jeden grzech...

– Jeśli kto się nie modlił. Ale do kogo wy się modliliście, w tym brudzie? We krwi i w błocie? Jeśli nie było w obozie wyświęconego kapłana, to wy nie byliście chrześcijanami.

– Myli się pan. Mieliśmy kapłanów. Ale w Canudos do tego, żeby ktoś został kapłanem, nie trzeba było kończyć seminarium. Ani otrzymać święceń. Wystarczyło, jeśli...

– Wystarczyło, co?

– Wystarczyło być kapłanem. Prawdziwym kapłanem.

– To perwersja, jeśli ktoś rozumem broni czegoś, o czym wie, że nie ma sensu. Canudos było konwulsyjną pląsawicą chorych, nienormalnych ludzi. Zdarzało się już wielokrotnie, że ludzie porzucali cywilizowany świat, uciekali w błoto i cierpienie... Pascal, słyszała pani to nazwisko?

– Kim był Pascal?

– Żył dawno temu, w Paryżu. Był kapryśnym paniczykiem. Potem mędrcelem i uczonym. Pewnego dnia sprawił sobie osobiste Canudos. Oznajmił, że się nawrócił, zaniedbywał siebie, nie mył się, brudny był jego pokój, łóżko, bielizna... I jego ciało. Powiedział, że teraz już jest prawdziwym chrześcijaninem. Prawił kazania o skrusze i penitencji... Jak wasi nienormalni kaznodzieje w Canudos. Coś takiego nie jest rzadkością. Nie byłoby niczym trudnym dowiedzieć się prawdy o pani. Wreszcie dobrze się pani nacierpiała, prawda?

– Ja nie lubię cierpienia.

– Pascal nosił koszulę z haczykami. Było coś takiego, po tamtej stronie?

– Niepotrzebna była koszula z haczykami.

- A Doradca? Nosił włosiennicę?...

- Nie widziałam. Możliwe.

- Spał na gołej ziemi?

- Jak wszyscy. Ja też. Trzeba było się przyzwyczajać...

- Do śmierci?

- Do tego, co nadejdzie. Kiedy już nie będzie śmierci.

- Przysłano panią tutaj z tą bajką. Doradca nie umarł... Żołnierze pomylili się, odcięli jakąś głowę, rozgłosili, że Antônio już nie żyje... A teraz chcielibyście wmówić światu, że wielki przywódca uratował się. Jednak nic z tego nie będzie. Czymkolwiek było dla was Canudos... My, którzy strzeżemy państwa, zdepczemy to zgorszenie.

- Bo nie wiecie, że muszą przyjść zgorszenia.

- Tak czytaliście w Świętych Księgach? Zgorszenie jest skutkiem ubocznym?

- Bez zgorszenia nie da się pójść do przodu.

- Zgorszenie przymusza organizm, żeby wyzdrowiał? To chciał zobaczyć pani mąż? Jest pani wykształconą, obytą kobietą... I pani mąż to wykształcony, obyty człowiek... Zostajecie owładnięci przez Canudos. Pani męża coś wzywa... Opuszcza swoje dotychczasowe życie. Pani jedzie za nim, bo chce się dowiedzieć, jakież to siły zabrały tego kulturalnego, mądrego, ludzkiego męża ze świata ludzi... Do innego świata, gdzie nie ma nic, tylko zgorszenie, nienormalność, bezrozumny, bezsensowny porządek.

- Kiedy wyruszyłam z domu... słowem, stamtąd... jeszcze w drodze sądziłam, że mój dom, ten prawdziwy, pozostał po tej stronie, którą opuściłam... Mieszkanie, wykształcenie, kultura, znajomy, rozsądny świat. Nie pragnęłam niczego innego, jedy-

nie odnaleźć mego męża i dowiedzieć się prawdy... Być może wężwał go ktoś... Zdarza się coś takiego. W świecie *gringos* to takie zwyczajne, że ktoś po kolacji wstaje od stołu, wyciera usta, mówi żonie, rodzinie, że zejdzie na róg kupić cygaro, zaraz wróci... A potem nigdy więcej nie wraca.

– Czasem się go odnajduje.

– Czasem się go nie odnajduje. Kto tak odchodzi, tego trudno znaleźć, bo opuszcza nie tylko jakieś mieszkanie... Ponadto rodzinę, pracę... Ale opuszcza także samego siebie... Tego, którego znała rodzina, współpracownicy, przyjaciele... Kto tak odchodzi, zrozumiał pewnego dnia, że życie, w którym żył, nie było jego życiem... I w chwili, gdy odszedł, jego życie znów nabiera sensu... Dawniej tego nie wiedziałam.

– Dawniej, kiedy?

– Przed Canudos.

*

...ale i w Canudos potrzeba było czasu, nim wreszcie to zrozumiałam. A w tym momencie ujrzałam go już inaczej... także to, że odszedł ode mnie... i nasze dawne życie, wszystko. Kiedy wyruszyłam z domu, jeszcze sądziłam, że odchodzę dlatego, że trzeba uratować... człowieka, który ucieka od świata, co był nasz, jego i mój... W tamtym świecie wszystko było tak mocno i pewnie na swoim miejscu... Domy budowano nie z gliny zmieszanej ze słomą, jak tutaj na pustkowiach, na ziemi jałowej, lecz z twardych, ciosanych kamieni i cegieł. I nie tylko domy budowano w taki sposób, ale też państwo, z twardymi prawami, surowymi policjantami i żołnierzami... A miast i państwa strzegli ludzie tacy jak pan, ekscelencjo... Wykształceni, kultu-

ralni, poważni ludzie, którzy pragnęli nie tylko panować i rozkazywać, ale też chcieli dobrze dla ludzi, chcieli porządku, czystości, edukacji... I nie wiedzieli, że to jest beznadziejne, bo również z tego powstanie system, a wówczas zacznie się śmierć... Ten wasz świat jest wspaniały... Świat, w którym żyliśmy, i mój mąż, i ja... Wszystko było wspaniałe, piękne mieszkanie, czyste ulice... I klinika, gdzie mój mąż leczył, nim odszedł do Canudos, gdzie już nie było kliniki... I nie trzeba było leczyć, bo i lekarz, i chorzy zrozumieli, że to, co złe, chorobę i śmierć, trzeba nie leczyć, a zaakceptować, bo w złości jest siła, i od złego człowiek staje się silniejszy... Ale w klinice, w innym świecie, mój mąż jeszcze o tym nie wiedział i leczył. W klinice były czyste łóżka, chorych myto, mój mąż dawał cierpiącym leki... To wszystko było potem, w Canudos, takie niezrozumiałe! Ale w tym innym świecie, wieczorem, jakie wspaniałe były miasta! Wszędzie na ulicach lampy gazowe! I wszędzie policjanci pilnowali porządku... Wszystko było takie pewne... A w pokojach książki, piękne obrazy na ścianach... I ludzie, którzy prowadzili cichą, mądrą konwersację, rozmawiali o ludzkości i o postępie... A wieczorem w teatrach muzycy stroili instrumenty... Wieczory miały niekiedy uroczysty zapach... My też wynajmowaliśmy łożę w operze... Z zagranicy sprowadzałam piękne suknie, kapelusze z piórami, pachnącą bieliznę... Miałam długie rękawiczki, sięgały łokci, biżuterię... Wszystko to nakładałam, kiedy szliśmy do opery... Przychodziła fryzjerka, wspaniale mnie czesała, pokojówka zapinała mi buty, nakładałam gorset... Wiem, to śmieszne, teraz, gdy o tym opowiadam... Ale chciałam być piękna, chciałam się podobać, bo przecież szłam do opery z mężem, z po-

ważnym, znaczącym człowiekiem, którego każdy szanował, który uczynił wiele dobrego dla ludzi... Tak oto żyliśmy. I nie tylko my tak żyliśmy, ale jeszcze wielu innych, których znaleźliśmy... My byliśmy tymi bogatymi i wykształconymi, kulturalnymi... I była reszta, ci, których nazywano biednymi... I oni żyli tam, gdzie my. I ich strzegł policjant, i dla nich świeciły lampy gazowe na ulicach... Ale jakoś inaczej, jakby żyli za granicą... I kiedy w Canudos, czasem... rzadko... przypominało mi się tamto życie, już nie widziałam osobno bogatych i biednych, bo bogaci tam w domu jeszcze nie wiedzieli... Czego? Otóż tego, co my tutaj w Canudos już wiedzieliśmy. Tego, że trzeba być wolnym, jeśli człowiek chce dotrzeć do Świętego Miasta... a tam, gdzie jest wolność, tam nie ma bogatych i biednych. Ale w pięknych pokojach, gdzie kulturalni goście prowadzili konwersacje, nie wiedziano tego... Rozmawiano także o tym, że na świecie jest bardzo dużo biednych ludzi i trzeba się z nimi dobrze obchodzić, trzeba im pomagać... Było wiele projektów, mądrzy ludzie dawali przeróżne rady, co należy zrobić z biednymi... Trzeba dać im pracę, a dzieciom – ciepłe ubranie, albo trzeba wywołać rewolucję, zabrać pieniądze bogatym, zmusić ich, żeby płacili... Ale w końcu dawano biednym dzieciom tylko te ciepłe ubrania, z których bogate dzieci już wyrosły... Na Boże Narodzenie bogaci posyłali biednym żywność, niekiedy również trochę pieniędzy, naturalnie nie za dużo, bo to by ich tylko zepsuło... Mówiono, że jeśli mają pieniądze, to sądzą, że już nie są biedni i nie chcą pracować... To oczywiście jest niemożliwością, tak mówiono, jako że praca uszlachetnia... A zresztą też... Wszystko to słyszałam... I w Canudos przypominało mi się czasem również to... I in-

ne rzeczy też, jakie słyszałam, ale tylko tak, jak kiedy w półśnie człowiek wspomina to, co usłyszał w pokoju dzieciennym, gdzie opowiadano dzieciom bajki... W Canudos nie można było tego zrozumieć, ponieważ tam już nie było bogatych, ale zarazem nie było też już wcale biednych. Mój mąż odszedł z tego mądrego, porządnego świata, bez słowa, ponieważ dowiedział się o Canudos... A ja poszłam za nim, bo nie tylko chciałam wiedzieć, co się z nim stało, ale też – co się w nim stało, kiedy pewnego dnia tak cicho odszedł ode mnie, opuścił to piękne mieszkanie... I swój gabinet lekarski, gdzie wszystko miało tak strasznie mądry zapach... I odszedł z ciepłej sypialni, gdzie razem sypialiśmy... A przed snem zawsze mówił do widzenia... Uśmiechał się wówczas, ponieważ był lekarzem i wiedział, że to ponowne spotkanie nigdy nie jest pewne... Pragnęłam dowiedzieć się, co zaszło w moim mężu, kiedy pewnego dnia w milczeniu odszedł z tego cudownego, porządnego świata, gdzie wszystko miało swój cel i sens... To dlatego udałam się do Canudos.

*

– Dowiedziała się pani?

– Tak.

– Dlaczego odszedł pani mąż?

– Bo pewnego dnia zaczął się bać.

– Czego się bał?

– Tego, co tam po drugiej stronie... W waszym świecie... nazywa się porządkiem. Ale nie jest tym. Jest tylko systemem.

– A w Canudos?

– Nie było systemu. Był pełen życia, prawdziwy ład.

– Czy pani, w Canudos... Nigdy nie tęskniła za

tym, co... jak to pani określa... nie jest porządkiem, jedynie systemem?...

– Za sypialnią? Za operą?... Za pokojówką, podającą futro?... Na początku czasem tak. Ale wszystko było mgliste.

– Nie myślała pani mimo wszystko o... systemie? Który jest niebezpieczny, ale jest w nim też wiele dobrego... Są mężczyźni, którzy nie spuszczaają wzroku, kiedy przyglądają się kobiecie... Milczy pani?... Świat wyśmiewa się z nas, którzy za pomocą systemu bronimy się przed szaleństwem? Doradca żyje i dziś wieczorem zadzwięczy srebrny dzwon? Tak pani kłamie?... Dlaczego pani milczy?... Sam-pai! Zdjęcia!...

*

Major poruszył się z wolna. Jak ktoś, kto zdrętwiał, kto wychodzi z transu. Teraz w szopie również inni poczęli mruczeć, chrząkać i przeciągać się – oficerowie, szeregowcy stojący na straży. Ten dialog, z którego obecni nie rozumieli ani jednego słowa, podział na nich jak magiczny zaśpiew, z jakim czarownicy w puszczy mamrocą niezrozumiałe zaklęcia, odurzając słuchaczy.

Dwaj jeńcy przykucnęli skuleni na polepie w groteskowym bezruchu glinianych fetyszy. Metys uśmiechał się szyderczo, ale tylko oczami; jego usta, mięśnie twarzy prężyły się sztywno niczym na obliczu paralityka. Murzyn jedynym pozostałym okiem patrzył w sufit, jakby wcale nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w szopie, gdyż wszystko to jest tylko stratą czasu, bo przecież on czeka na śmierć. A wszystko inne i tak nie jest ważne.

Żołnierze ocknęli się, pomrukiwali. Wszystko, co się wydarzyło, było dla nich nie tylko niezrozumia-

łe, ale i straszne. Niepiśmienni szeregowcy, którzy nie pojęli ani słowa z dialogu w obcym języku, szturchali jeden drugiego, pochylali się w przód, żeby z większej bliskości zobaczyć marszałka i kobietę. Zapomnieli o obowiązującym na służbie zachowaniu; tłoczyli się jak ci, co nawet bez słów rozumieją to, co słyszą. W pewnych szczególnych sytuacjach – później też się z tym niekiedy spotykałem – ludzie mówią do siebie nie tylko słowami, ale może także intonacją, i tylko w dobrym niebie wiedzą, jakim cudem?... Nie tylko zakochani potrafią przemówić do siebie takim niemym krasomówstwem, nie tylko matki i dzieci, które z dużej odległości, na jawie i we śnie potrafią komunikować się z sobą – również ci na poły dzicy ludzie „rozumieli” to, co słyszeli. Kobieta jeniec, która z niezwykle wytworną rzeczowością prowadziła konwersację z marszałkiem Brazylii, kąpiel, cielesna przemiana kobiety po kąpiel: wszystko to było straszne i niepojęte dla obecnych. Mimo to zrozumieli. A teraz podchodzili bliżej, pomrukując.

Sampaio niechętnie ruszył w kierunku stołu. Wiadać było po wyrazie jego twarzy, że też jest pełen podejrzeń: to, co dzieje się w szopie, nie jest naturalne. Może marszałek oszalał. Lub nastąpiła zdrada. Albo może objawiają się właśnie ponadnaturalne siły?... Nerwowo przeszukiwał leżące na stole dokumenty, raporty. Kiedy znalazł owe dwa zdjęcia – jedno ukazywało odciętą głowę z profilu, drugie – *en face* – wydał z siebie taki głos, jakby dławił przekleństwo. Wyciągnął zdjęcia ku marszałkowi. Ale Bittencourt dał znak:

– Niech pan je pokaże damie.

Tak to powiedział – obojętnie, drewnianym głosem – „damie”. Major – jakby nie wierząc własnym

uszom, ze zdjęciami w ręce – bezradnie rozejrzał się wokoło, szukając „damy”. Wreszcie oprzytomniał i – powolnym ruchem, ociągając się, bez humoru – podał kobiecie do ręki zdjęcie.

W szopie było już ciemno, dlatego któryś z szeregowców podszedł bliżej z jedną z kościelnych świec w dłoni. Kobieta – bez pośpiechu i chaotycznej gorączki – wzięła z ręki majora zdjęcie. Pochyliła się w sposób charakterystyczny dla krótkowidzów albo tych, którzy w godzinie szarówki, w półmroku nie widzą dobrze, i wpatrywała się w fotografię swymi dwubarwnymi oczyma. Skinęła dłonią, że prosi o więcej światła. Gest był rozkazujący i szeregowiec pośpieszył ustawić świecę odpowiednio blisko.

Kobieta zmrużyła oczy; spojrzeniem krótkowidza uważnie oglądała zdjęcie – najpierw z bliska, następnie z dalszej odległości, niczym koneser sztuki badający rysunek lub obraz o spornym pochodzeniu, którego wiarygodność stwierdzić może jedynie on, znawca. Wzruszyła ramionami i – z politowaniem, z wyższością – uśmiechnęła się. Niedbałym ruchem podała zdjęcia swym towarzyszom jeńcom. Metys i Murzyn pochylili się ku sobie i zaśmiali się szyderczo. Kręcili głowami, jakby chcieli dać do zrozumienia, że na tak bezsensowne, głupie i dziecinne kpiny nie warto reagować. Po upływie krótkiego czasu szeregowiec bez słowa odebrał im zdjęcia i zwrócił je majorowi.

W szopie panowała wielka cisza. Przez rozbite okna napływał cuchnący padliną i jednocześnie przenikający do kości zimny ciąg nocnego powietrza.

Marszałek wstał. Odwrócił się tyłem do kobiety, powoli przespacerował przed jeńcami. Nie patrzył na

nikogo. Zatrzymał się przed długim stołem, oświetlonym świecami. Splótł ramiona, oparł się o stół. W zadymionym, łopoczącym blasku świec i on mrużył oczy jak krótkowidz. Teraz z bliska zobaczyłem, że jego twarz jest szara niczym ołów. W blasku powiewających, łopoczących płomieni świec widać było na tym obliczu wszelkie odcienie wstrętu, rozczarowania. Rozglądał się dokoła, jakby nagle zrozumiał, że w istotnych sytuacjach wszelka rozmowa, argumentowanie są czymś beznadziejnym – trzeba działać, bez litości. Nic innego nie pomoże.

Do tej pory marszałek mówił do kobiety jeńca w sposób uprzejmy, acz urzędowym tonem fachowca. Tak, jak przemawia kulturalny urzędnik, przesłuchując podejrzaną osobę, której nie chce przstraszyć krzykiem, pytaniami w ostrym tonie, ponieważ ma nadzieję, że tą metodą, w jakimś skomplikowanym procesie uda mu się dotrzeć do prawdy. Dlatego toleruje, jeśli podczas przesłuchania wspomina się i o czymś takim, co nie jest regulaminowe. Nie straszy, nie krzyczy, raczej tylko prowadzi konwersację... I mówi cicho, w obcym języku, ponieważ nie chce, by ktokolwiek inny spośród obecnych zrozumiał to, o czym oni dwoje rozmawiają.

W taki zatem sposób rozmawiał, niemal jak współnik. Ale przez cały ten czas mówił jakby z drugiego brzegu, z wysokości pozycji marszałka, z ogromnej wysokości. Ton konwersacji – następnie kąpiel, fakt, że zaproponował kobiecie, by usiadła – wszystko to było tylko chwytem, strategią. I jakby podczas rozmowy całkowicie zapomniał o realiach sytuacji – o tym, że w sąsiedztwie, w namiocie dowództwa, czekają na niego oficerowie sztabowi, na dworcu w Monte Rosa już napalono w specjalnym

pociągu, a w wagonie restauracyjnym dziennikarze i wytworni goście z miasta zasiedli do kolacji. Nie zwracał uwagi nawet na to, że tutaj w szopie wszyscy – oficerowie, szeregowcy – niecierpliwie wypatrują końca tego niezrozumiałego przedstawienia, bo przecież w obozie już się pakują, a żołnierze jednego z oddziałów stoją w gotowości, żeby nożami szturmowymi zlikwidować Canudos i żebyśmy potem mogli pójść do domu.

Przez cały ten czas do tej pory marszałek był prowadzącym przesłuchanie, szefem o wysokiej randze, który od egzotycznego naocznego świadka, co pojawił się nieoczekiwanie, chciał się dowiedzieć, jaka jest prawda o Canudos. Być może miał nadzieję i na to, że uda mu się dowiedzieć także czegoś innego, czegoś więcej, niż zeznawali dotychczas jeńcy i uchodźcy, kuglarscy szaleńcy i zdziczali złoczyńcy. Statyści dzikiej przygody w Canudos i jej bandyccy przywódcy już podali szczegóły. Jednak teraz, kiedy z nocy, z dziczy, z cuchnącej tajemniczości kloaki Canudos wynurzyła się pewna żywa istota, która nie tylko przeżyła, ale – jak się здаwało – również zrozumiała to, co wydarzyło się w mieście z błota – marszałek najwyraźniej zdecydował się na jeszcze jeden eksperyment.

W szopie coraz więcej żołnierzy szemrało, niecierpliwie chrząkało. Podwładni i oficerowie spoglądali po sobie, kręcili głowami. Gonzales wypluł końcówkę cygara, stanął na progu w otwartych drzwiach, gapił się w mrok, jakby znudziło go to bezsensowne marnowanie czasu. Nie liczyłem minut – może pół godziny upłynęło od chwili, gdy kobieta wyszła z wanny marszałka, może trochę więcej. Ale Bittencourtowi jeszcze się nie śpieszyło, by zakończyć to przesłuchanie.

Marszałek zmienił ton. Przemówił tak, jakby nie obchodziło go szczególnie, co się stało z Doradcą – jakby to już nie było takie ważne. Tak naprawdę chciał się dowiedzieć, co zachodzi w człowieku, który pewnego dnia opuszcza miejsce, gdzie do tej pory był „u siebie, w domu” i następnie – z wszelkimi tego konsekwencjami – udaje się do jakiegoś Canudos...

*

– No więc?...

– Wielu było takich.

– Takich, czyli?...

– Większość starszych mężczyzn tak wyglądała. Wszyscy byli do siebie podobni. Wszyscy mieli brody, długie włosy... Tak, wszyscy próbowali upodobnić się do Doradcy. Nawet w Canudos istniała moda... W inny sposób niż gdzie indziej. Ale była.

– Niech pani mówi o zdjęciu.

– Powiedziałam już. To zdjęcie jest kłamstwem. Doradca żyje.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Dzisiaj rano.

– A przedtem?

– Nigdy z nim nie rozmawiałam. Nie patrzył na kobiety. Czuł do kobiet wstręt.

– Był pederastą?

– Był ascetą. Zabił w sobie ciało... Wszystko, co cielesne.

– Słowem, był tchórzem. Każdy asceta jest tchórzem. Nie wie pani o tym? Do ciała potrzeba odwagi. Odwagi potrzeba także do ludzi. I do kobiet. Kto ucieka w ascezę, chroni się nie przed grzechem, lecz... Niech pani mówi dalej. Był ascetą, bo...

– Bo go zraniono.

– Kobiety? Czy mężczyźni?

– Jego własna matka. I jego żona... I jego przyjaciel... Żandarm, który był kochankiem żony.

– To bzdura. Pani też w to uwierzyła?

– To nie jest bzdura. Na ślad naprowadziła go matka, bo nienawidziła synowej. A on zabił całą trójkę. Swoją matkę. Swoją żonę. I tego żandarma... To wówczas zaczął wędrować. Wiele osób z nim szło, coraz więcej i więcej... Pewnego dnia stworzył Canudos.

– Jeśli to prawda, że rozmawiała pani z nim dzisiaj rano... Dlaczego akurat panią przysłał tutaj z wieścią, że żyje czy zmartwychwstał, czy sam już nie wiem, co... Dlaczego panią?

– Bo wiadomo było, że znam obcy język. Powiedział, wy jesteście już tak obcy, że być może wcale nie zrozumiecie, jeśli przemówi do was ktoś z Canudos... Nie patrzył na mnie, kiedy mówił. Spuścił wzrok, spoglądał w ziemię. Już wcale nie przypominał żywego człowieka... Był już tylko niebieskim habitem i włosami, brodą... Ciało, jeśli miał je jeszcze na sobie... było już tylko wyschniętą skórą... jakby rodzajem ubrania, zrobionego z skóry, takie było jego ciało... Mówił krótko...

– Niech pani o tym opowie!

– On odejdzie stąd, dzisiejszej nocy. Zabrzmi srebrny dzwon, to będzie znak... I zbuduje w Brazylii nowe Canudos. Nie jedno, lecz sto... Pan sądzi, że on jest szalony. Ale on dzięki temu szaleństwu stworzył nowego człowieka.

– Madame. Kto przed ludźmi ucieka do Boga... zawsze jest tchórzem. Każdy mistyk jest tchórzem. Ci dwaj tutaj... Dlaczego przyszli z panią?

– Doradca rozkazał, żeby mnie odprowadzili.

– To świadkowie? Czy szpiedzy?...

– Przyszli z uprzejmości. Żebym nie była sama,

kiedy mnie zabijecie. W Canudos ludzie są bardzo uprzejmi. Kiedy ktoś kona, siadają przy nim na ziemi i śpiewają.

– My, demokraci, też jesteśmy uprzejmi. Widzi to pani... Dlaczego pani tak się boi?...

– Myli się pan. Kto przychodzi stamtąd, nie boi się... W Canudos nikt nie boi się śmierci.

– Nie, tam boją się życia. Pani mąż... jak pani myśli, dlaczego pani mąż tak bardzo bał się życia? Niech pani nie patrzy na mnie z takim przerażeniem. Tak, bał się, pani też o tym wie... Inaczej nie odszedłby od pani, od wszystkiego... Nie uciekłby do Canudos. Jak pani myśli? Czy pani mąż otrzymał w Canudos coś więcej od tego, co pozostawił w domu? Więcej od cywilizowanego świata?... Więcej od pani?... Dlaczego pani patrzy na mnie z takim wstrętem? Tak, cy-wi-li-zo-wa-ne-go... Niech pani nie nienawidzi tego słowa. Być może i to jest kłamstwem... Ale można w tym żyć. Niech pani odejmie dłonie od twarzy!...

– W Canudos ludzie nie myślą słowami...

– A jak?... Dlaczego zbiegło się osiem tysięcy ludzi... sama hołota... dlaczego cisnęli się do Canudos? Łajdacy przebrani za religijnych wyznawców... i obłudni bandyci... zeszli się razem... To nic nowego. Jakiś zbzikowany prorok obiecuje zbawienie, koniec wszelkiej nędzy na ziemi. To też jest czymś powszednim. Ludzie zawsze, wszędzie są niezadowoleni... I zawsze potrzeba jakiegoś straszdyła, na które mogą wskazać, że to ono jest przyczyną całego zła... Teraz demokracja. Nowe prazwierzę, prawda? Matka rodzicielka Wszelkiego Zła!... Pani widziała z bliska tych ludzi w Canudos... Niech pani powie, jeśli pani wie, dlaczego nienawidzili demokracji?...

– Bo się jej bali.

– Czego się bali? Tego, że budujemy mosty, drogi?... Planujemy szpitale, szkoły?...

– Bali się, bo... byli dzicy. Słowem... byli arystokratami. Nie byli demokratami, bo... Był demokratyczny gubernator, żandarm, poborca podatkowy, agitator... Demokratycznych Brazylijczyków nie było. Skomleli niczym... tak, niczym zwierzęta tutaj w puszczy, gdy zwęszą suszę... Zaczęli się bać, bo w dziczy zjawilo się Państwo. Poczuli, że wpadli w pułapkę... Wszystko, co obiecywali agitatorzy... Wybory... Sądziłi, że wszystko to jest pułapką. Zaczęli się bać, że coś utracą... Tożsamość, to, czym byli, oni osobiście... Bali się, bo sądziłi, że nowy porządek to wielkie zagrożenie... W tym porządku człowiek wysycha od środka, już nie jest tym, kim był... Trzeba być podobnym do innych... To jest to wielkie zagrożenie.

– Wysycha... Co pani mówi?

– Wysycha jak dzika roślinność. I to jest straszne.

– Niech pani nie krzyczy. Niech pani mówi ciszej. Dlaczego... ci dzicy ludzie sądziłi, że demokracja jest gorsza niż stary porządek?... Niech pani nie wyobraża sobie, że my, demokraci, wierzymy w cuda.... Nie ma demokratycznego cudu. Jak nie ma też cudu religijnego... Wszystko to bzdury. My wiemy, że nie ma zbawienia... Nie ma takiego ustroju, w którym ludzie zmieniają się. Jeśli pani mąż wierzył w to, że Zło pomoże ludziom, to zobaczył w Canudos, że i Zło nie może pomóc. Tylko kapłani i zbirkowani prorocy ludzą zbawieniem... Ten nowy porządek, nasz... nie jest gorszy od starego. Cesarz i jego klika, butni, otyli ludzie, to też było przegniłe... Świat nigdy nie stanie się lepszy, ale... bardzo

powoli... stanie się inny. Mówiła pani wcześniej coś o srebrnym dzwonie. To będzie znak, że Doradca jeszcze żyje. I odejdzie, dalej będzie buntował... Tak pani powiedziała. Ale ja nie słyszę żadnego bicia dzwonu.

– Nie, ja też nie.

– W Canudos panuje cisza. Wreszcie. Nie sądzę, żeby prawdą była ta bajka, którą mi pani opowiedziała... Nie sądzę, by Doradca żył. Nie wierzę wam. Być może przysłiście tylko dlatego, że tych kilka setek tam chce jeszcze zyskać na czasie, takimi bajkami odwlekając to, że... Ale nie ma już więcej czasu. Czy w obozie znali pani męża? Wiedzieli o nim?...

– Wiele osób.

– Mówili o nim? Opowiadali pani? Opowiedzieli, co robił, co mówił?

– Znali go. To on był doktorem... Pokazywali, gdzie doktor żył, gdzie spał... Ten Murzyn i Metys pracowali z nim, pomagali doglądać chorych... Kiedy Murzynowi wybito oko, to on go opatrzył... Tak, w obozie znali mojego męża.

– Ufali mu?...

– Mówili... Zawsze milczał. Leczył, robił opatrunki, operował... Ale nie rozmawiał. Tak opowiadali... Tak, jeszcze i to... Murzyn powiedział... To bardzo mądry człowiek, rzadko zabiera głos... Powiedział, że mój mąż milczał, ale czasem uśmiechał się, bezgłośnie... Śmiał się, jakby słyszał dobrą wiadomość... Ale tę dobrą wiadomość słyszał nie z zewnątrz, tylko w środku, dlatego się śmiał. Tak powiedział.

– Pani i ci dwaj... leczyliście jak znachorzy?...

– Nie, ależ skąd. W chacie, nocą, leżałam na ziemi tam, gdzie i on spał... Mówię, nie zostało po nim nic, żadne ubranie, list, nic... Tylko torba lekarska,

pełna bandaży, leków... Tę torbę lekarską zawsze miałam przy sobie, pod ręką. Kiedy chorowali czy zostali zranieni, przychodzili do mnie, nawet nocą. Jakbym to ja była lekarzem... I czasem sądziłam, że rzeczywiście, teraz już ja jestem lekarzem... Sama nie rozumiem, ale... Na chybił trafił dawałam im z lekarstw to, co akurat nawinęło mi się do ręki... I ufali mi, brali, połykali te leki... Było im wszystko jedno. Zadziwiająca, że niekiedy i tak zdrowieli... Jak kapłanem był w Canudos nie ten, kogo wyświęcono, ale ten, komu uwierzono, że jest kapłanem... Lekarzem też nie był ten, kto miał dyplom, lecz ten, kto umiał leczyć i temu wierzono... O tym przedtem nie wiedziałam.

– Wolno pani wyrazić jakieś życzenie! Ale szybko.

– Dziękuję za kąpiel, ekscelencjo.

– Czego jeszcze pani chce?

– Jeśli pan pozwoli... Chciałabym teraz natychmiast... Jeszcze dzisiejszej nocy... Powrócić do Canudos.

– Wpierw niech pani dotrzyma tego, co pani obiecała.

– Czego pan chce?

– Jeśli Doradca żyje... Żołnierze odprowadzą panią. Jest ciemno. Niech go pani tutaj przyprowadzi.

– Żywego?

– Albo martwego. Potem możecie odejść. Wszyscy troje.

*

Cisza w szopie była tak gęsta, jak o świcie, gdy mgła oblepia pustkowia. Noc też była cicha, jakby obóz znajdował się daleko, obóz, zarośla, Canudos,

wszystko – całkiem daleko. Kobieta milczała i narażej twarz wykrzywiła się w grymasie. Usta, oczy, każdy rys zadrżał, jakby dręczony jakimś skurczem. Ten grymas był też podobny do uśmiechu umarłych. Jedną dłonią chwyciła za szatę na piersi, niczym chory na serce, kiedy próbuje złapać powietrze. Dyszała, wyciągnęła rękę jak tonący, co woła o pomoc, takim gestem wskazywała w kierunku okna. Za oknem brzmiał w mroku dziwny dźwięk. Był jak dźwięk instrumentu muzycznego, ale był też czymś innego rodzaju: biciem dzwonu, niepokojącym, upiornym grzmieniem.

Oficerowie, żołnierze i obaj jeńcy gapili się w stronę okna. Tylko marszałek patrzył na kobietę, pośepnie; na kobietę, która splotła ręce na piersi, spoglądając w sufit, jakby patrzyła w niebo. Uśmiechała się podobnie jak prymitywnie namalowane postaci na pierwszych świętych obrazach – z pustym i zarazem nabożnym, papierowym uśmiechem, niczym sprzedawani po fillerze jarmarczni święci, słyszący głos niebios, niebiańską dobrą nowinę. Uśmiechają się w ten sposób, bo nadszedł dla nich ratunek.

Srebrny dźwięk rozbrzmiewał tak, jakby stanowił akompaniament do wiersza szaleńca. I w mroku, w chłodzie nocy ten osobliwy głos dzwonu był tak straszny, jak skowyt i wycie zwierza żyjącego w puszczy. Jeden i drugi szeregowiec przeżegnał się pośpiesznie.

Bittencourt odczekał, aż dźwięk dzwonu umilknie. Rozglądał się dokoła z roztargnieniem – i teraz po raz pierwszy, przez jedną chwilę jakby i mnie zauważył – popatrzył na mnie tak, jakby nigdy przedtem mnie nie widział. Z bliska dostrzegłem, że oczy ma przekrwione – jak ten, co przychodzi do

siebie po hulance, po wielkiej pijatyce. Potem – jakby uprzytomniwszy sobie, że jest bezradny – podniósł laseczkę, niezdecydowanym ruchem, niczym ktoś, kto chce wymierzyć cios, lecz nie wie dokładnie, kogo uderzyć. To był ten jeden jedyny moment, kiedy marszałek stracił panowanie nad sobą.

Z podniesioną laseczką ruszył w kierunku kobiety, Metysa i Murzyna. Zataczając się, z przekrwionymi oczyma, jak pijany przeszedł dwa, trzy kroki. Nagle zawahał się i stanął. Jego ramię opadło. Oparł na polepie osłonięty gumą koniec laseczki i całym ciałem, ciężko pochylił się w przód, jakby bał się, że upadnie i ostatkiem woli, resztką sił czepiał się czegoś.

Teraz, z perspektywy czasu sędzę, że to była ta chwila, kiedy marszałek zrozumiał, że dotarł do miejsca, gdzie musi się czegoś chwycić, bo jeśli uczyni krok dalej, nie będzie tam już nic, jedynie otchłań. (Tak to sobie wyobrażam. Ale możliwe, że się mylę, ponieważ na starość nauczyłem się, że bardzo trudno poznać, co dzieje się w ludziach, kiedy znajdują się w trudnym położeniu).

Pewne jest tylko to, że wsparł się na laseczce i mrugał przekrwionymi oczyma. Poruszały mu się też wargi, bezgłośnie, niczym usta paralityków. Lecz zaskakująco szybko doszedł do siebie. Wymuszenie spokojnym krokiem podszedł do okna, zatrzymał się i – odwrócony plecami do obecnych – oddychał głęboko, przez dłuższą chwilę. Noc była już lodowato chłodna i ciemna. Panowała taka cisza, jakby w pobliżu wcale nie było Canudos. Ani obozu z żołnierzami, jakby i on był daleko. Także grzmienie srebrnego dzwonu wchłonęła cisza i mrok.

Marszałek nie odwrócił się, jedynie skinął, leni-

wie, niedbale. Sampaio i Gonzales zrozumieli w lot i pośpieszyli do niego.

– O piątej – rzekł marszałek.

Sampaio zasalutował w milczeniu.

– Ci – nie pokazał, kto, ale Gonzales, a także my, pozostali, zrozumieliśmy, że mówi o jeńcach – mogą odejść.

Gonzales, wyprężony na baczność, uspokojony, uśmiechnął się szeroko. Mruknął między zębami:

– Nie zajdą daleko.

Marszałek wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty zegarek w podwójnej kopercie. Sampaio pośpiesznie oświetlił cyferblat syczącym płomieniem zapalniczki. Bittencourt przeciągle, z niepokojem spoglądał na wskazówki – ale widać było, że godzina nie interesowała go tak bardzo, bo równocześnie myślał o czymś innym. Cicho, żeby nikt oprócz majora nie dosłyszał, ochryple powiedział:

– Możliwe, że w Canudos pozostało jeszcze kilku brodatych ludzi. Nie potrzebujemy brodatych.

– Nie potrzebujemy...

Powolnym ruchem wsunął zegarek z powrotem do kieszeni kamizelki. Następnie chrypliwym, gardłowym głosem rzekł głośno, urzędowym tonem:

– Dwie kompanie z ósmej brygady zostają. W południe żandarmeria przeczesze teren.

Sampaio, oficjalnie i głośno, odpowiedział:

– Dwie kompanie.

Marszałek rozejrzał się dokoła. Obojętnie, od niechcienia rzucił:

– Nie potrzebujemy jeńców.

Skinął, że to koniec wydawania rozkazów – tak, koniec narady, sądu, Canudos, koniec wszystkiego. Oficerowie stanęli z obu stron marszałka. Bez słowa, z podniesioną głową, spokojnie szedł pomię-

dzy swymi oficerami w kierunku wyjścia. Nie patrzył na jeńców – jakby tych trojga wcale tam nie było. Sprawiał wrażenie, jakby to jakiś inny człowiek kroczył teraz ku wyjściu, na powrót był urzędnikiem, dostojnym i potężnym panem, który załatwił sprawę i zamknął akta. Kroczył w aurze swego autorytetu, jakby już zapomniał o wszystkim, co usłyszał w minionej półgodzinie. Zapomniał i o tej chwili, gdy podniósł laseczkę, żeby kogoś uderzyć, bo się przestraszył – o chwili, kiedy zrozumiał, że jest w ludziach coś silniejszego od Władzy.

Na progu zatrzymał się, skinieniem głowy skwitował salut oficerów. Wolno poszedł dalej, w kierunku namiotu dowództwa. Jego śladem podążał tylko jeden ordynans. Mrok szybko ich skrył. Była bezksiężycowa noc, nie dało się dostrzec nawet gwiazd.

*

Po odejściu Wielkiego Szefa wszyscy odetchnęli: żołnierze przeciągali się, klęli i spluwali, jak jest to w zwyczaju po uroczystych przeglądach, wojskowych paradach, kiedy mija oficjalna sztywność. Trzej jeńcy stali pośrodku szopy, w wyczekującej gotowości: z prawej strony Murzyn, z lewej Metys, w środku kobieta. Nie rzucili jednego nawet spojrzenia w kierunku drzwi, jakby odchodzący marszałek ich nie obchodził. W tym obojętnym bezruchu było takie odrętwienie, z jakim potrafią patrzeć, trwać tylko ci, w których wypaliło się już wszystko, co ludzie nazywają strachem czy oczekiwaniem.

Jeden z pełniących straż szeregowców wyjął sznur, który wcześniej zawiązany był na szyjach

jeńców. Sampaio zauważył te przygotowania i skinął, że nie ma potrzeby śpieszyć się ze sznurem. Szeregowiec usłuchał, ale – ze sznurem w ręce – zamruczał coś, niezadowolony.

Jeńcy nie ruszali się, czekali na swój los – i po powszechnym odchrząkiwaniu, przeciąganiu się rozbrzmiał teraz w szopie pomruk przepęłniony groźbą, żądzą łupu. Niczym bestie w porze karmienia, żołnierze domagali się należytej im części: marszałek odszedł, jeńcy tu zostali, po cóż więc odwlekać egzekucję?... Do przodu cisnęli się teraz także ci, którzy dotychczas stali w ciemnym kącie – popychając się nawzajem i pomrukując ze złością, okrażyli jeńców.

Wszystko, co przeżyliśmy w minionej półgodzinie – toaleta kobiety, to niezrozumiałe przedstawienie, następnie dialog w obcym języku – teraz, kiedy marszałek odszedł, było w oczach żołnierzy niczym innym, jak nieco skomplikowanym prologiem egzekucji jeńców. Możliwe, że i jeńcy tak myśleli, bo ten kamienny spokój, z jakim stali – nie rzuciwszy nawet spojrzenia na oficerów, szeregowców ani na siebie nawzajem – nie był już oczekiwaniem, lecz całkowicie zobojętniałym pogodzeniem się. Kilku żołnierzy otoczyło jeńców i dotykało ich – zwłaszcza kobiety – tak, jak u końca polowania naganiające dotykają złowionej zwierzyny.

Sampaio zrozumiał, że sytuacja nie jest w pełni wolna od zagrożenia, i burknął rozkaz zbiórki. Major i kapitan pochylili się ku sobie i naradzali się szeptem. Rozkaz marszałka – trzeba uwolnić trójkę jeńców, zapędzić ich z powrotem do Canudos, skąd i tak nie mogą się uratować, o świcie, nie przejmując się szczegółami, bez zwracania niczyjej uwagi, żołnierze skończą również z nimi – wy-

wołał rozczarowanie najwyraźniej nie tylko w szeregowcach, ale również w oficerach. Ludzie czekali jeszcze na coś na pożegnanie – może na jakąś paradną rozprawę trybunału wojennego, w blasku świec... w cieniu krzyża – na krótki, żołnierski osąd, następnie szybką robotę, pośród łoskotu werbli. I teraz, kiedy to spodziewane, piękne zakończenie rozwiało się jak dym, wszyscy pomrukiwali z rozczarowaniem – jakby zwycięstwo było w ten sposób niezupełne, bo przecież brakowało ceremonii i zabawy.

Możliwe, że i jeńcy tak myśleli. W nieruchomej, stężałej postawie – jak stali naprzeciw oficerów, długiego stołu, dymiących świec – wyczuwało się jakieś uroczyste oczekiwanie, jakby i oni uważali za niezbędne, aby wszystko, co wydarzyło się w Canudos, zakończyć wreszcie jak należy.

Oficerowie posepnie przyglądali się jeńcom. Odprowadzający ich szeregowiec bez humoru wiązał sznur, jakby nie rozumiał, na co jeszcze czekają i na wszelki wypadek przygotowywał pętle, żeby je zarzucić jeńcom na szyje i poprowadzić skazańców jak zwierzęta do jatki. Major mruknął coś z pogardą – nie zrozumiałem jego słów, ale Sampaio odpowiedział zrezygnowanym ruchem ręki, że tak to jest, niestety, nic nie można zrobić. W tym geście była pogarda fachowca, opinia żołnierza, który z rezygnacją osądza zwierzchnictwo cywila. Major westchnął, jak ktoś, kto się podporządkowuje, lecz jednocześnie z całego serca gardzi rozkazem marszałka partacza. Stał przy stole, obok łopoczących brudnym dymem świec oraz krucyfiks, splótł ramiona na piersi. Patrzył w sufit, mrużył oczy. Szukał słów – widać było, że na pożegnanie chciałby powiedzieć coś ważnego, jakieś historyczne i uro-

czyste słowa, które towarzyszyć będą tym dzikusom w drodze powrotnej na pustkowie. I może te podniosłe słowa pozostaną również w pamięci tu obecnych, żołnierzy i oficerów. Ale nie przychodziło mu do głowy żadne przesłanie. Dlatego – w nagłym przypiływie złości – odchrząknął i zaczął wrzeszczeć:

– Możecie iść! Droga wolna!... – wskazał przez okno w kierunku mroku, Canudos. – Republika triumfuje i okazuje wielkoduszność! Demokracja jest łaskawa! Możecie iść z powrotem do Canudos, wy ścierwa.

Zająknął się, jakby oprzytomniał. Uśmiechnął się szyderczo. Bez żadnego przejścia przemówił tonem osoby oddającej się konwersacji, z ironiczną uprzejmością, jakby naśladował marszałka. Stał przed kobietą, zmierzył ją od stóp do głowy:

– Przepraszam, *madame* – rzekł, szydząc, i skłonił się.

Nie można było oprzeć się śmieszności tej sceny. Wszyscy zarechotaliśmy; nikt z nas nawet nie podejrzewał do tej pory, że major Gonzales ma poczucie humoru.

– Droga wolna – powtórzył major i skłonił się, jakby w jakimś salonie chylił głowę przed damą.

– *Viva, viva!*... – krzyčeli żołnierze. Jeden z szeregowców – szybkim, gwałtownym ruchem – wyciągnął z za wojskowego pasa nóż szturmowy. Major zauważył ten łapczywy ruch i uderzył szeregowca w twarz, a ten w przestachu wypuścił nóż z ręki.

– Możecie iść! – wrzeszczał major. – Ale najpierw zawołajcie: niech żyje Wolność, Równość i Braterstwo!...

A ponieważ nikt nie odpowiadał, zwrócił się do Metysa:

– Wołaj!... *Viva, viva!*...

Metys patrzył sztywno przed siebie, tylko usta mu się uśmiechały, natomiast oczy pozostały zimne i poważne – uśmiechał się tak, jak wcześniej odcięta głowa, którą wyciągnięto z kotła. Dlatego major, teraz już porywczo, machnął ręką. Szeregowiec zrozumiał w lot ten gest, zarzucił Metysowi pętlę na szyję i szybko pociągnął go za sobą, w kierunku wyjścia.

Major, jak ten, co nie umie nasycić się wspaniałym żartem, który wymyślił, znów skłonił się przed kobietą. Ironicznym, nieco śpiewnym tonem błagał:

– Czy wolno prosić, *madame!*... Z wdzięczności, *madame!*... Jedno małe *viva* na cześć Republiki!... Dlaczego pani milczy, *madame?*...

– *Viva, viva!*... – krzyczeli szeregowcy. Ja też odpowiedziałem na to jak echo, zachryplym głosem. Szeregowiec wrócił i z pętlą ze sznura zbliżył się w kierunku kobiety. Ale nim zdołał zarzucić jej tę pętlę na szyję, kobieta gwałtownie zwróciła się w stronę Murzyna. Obiema rękami, szybkim ruchem objęła wełnistą głowę i uśmiechając się, pocałowała miejsce po oku Murzyna, ten zakrzepły oczodół. Murzyn też się uśmiechnął, życzliwie, jakby tego właśnie oczekiwał i teraz był zadowolony. Kobieta nie zaczekawszy, żeby zarzucono jej pętlę na szyję, lekkim krokiem pośpieszyła w kierunku wyjścia. Ledwie znikła, rozległo się w mroku donośne wycie – *Viva!*

Wszystko to działo się szybko. Szeregowiec zarzucił teraz pętlę na szyję Murzyna. Ale major – jakby żałując, że oto nadszedł koniec dobrej hecy – wrzasnął ochryple:

– Wolność!... Równość!... Braterstwo!... Wołaj, psie!...

I Murzyn, niemy przez cały wieczór, teraz przemówił. Ale najpierw niespokojnie rozejrzał się dookoła. Popatrzył w kierunku otwartych drzwi, mroku. Jakby chciał się upewnić, że kobieta jest już poza zasięgiem słuchu – nie trzeba się obawiać, że dama usłyszy coś, co nie nadaje się dla kobiecych uszu – odkaszlnął, odchrząknął. Pochylił się ku majorowi i taktownym, konfidencjonalnym, ochryplym szeptem rzucił:

– Ja mam w dupie równość.

I kiwnął jeszcze głową, jakby w ten sposób chciał dowieść, że wszystko to prawda i wierzy w to, co powiedział. Gonzales wzburzył się i sięgnął do kabury. Ale szeregowiec pociągnął już Murzyna za sobą, w kierunku wyjścia. Kiedy znikli w mroku, zabrzmiały szydercze okrzyki „Viva!” i dziki rechot.

Strzału karabinu nie było słychać.

Z daleka, od strony namiotu dowództwa, w mroku nocy rozległ się dźwięk trąbki. Zrozumieliśmy, że skończyło się Canudos, nastąpił czas zwijania namiotów i powrotu do domu. A ponieważ nie było w obozie już nikogo, kogo dałoby się naprędce zabić, przeciągaliśmy się, śmieliśmy i zadowoleni zaczęliśmy się szykować, żeby wraz z naszymi towarzyszami broni pójść z Canudos do domu – z pustkowi do domu, do innego, pięknego świata, gdzie jest Wolność, Równość i Braterstwo. To widziałem i słyszałem w budynku folwarku zwanego Rancho do Vigário, 5 października 1897 roku, od godziny piątej po południu do dziewiątej wieczorem. Zapisałem to tak, jak umiałem. Niczego więcej z Canudos nie pamiętam.

Salerno, 1969

OD AUTORA

Książkę Euclidesa da Cunjii udało mi się – jako tako – doczytać do końca dopiero za trzecim podejściem. Ta klasyczna pozycja literatury brazylijskiej stanowi dla cudzoziemskiego czytelnika (zwłaszcza jeśli ten ktoś, tak jak ja, nie zna języka portugalskiego i czyta tę książkę w angielskim przekładzie) próbę cierpliwości. Przypomina warunki naturalne Brazylii: jest naraz obfitością i suszą. Zawiera wiele różnych rzeczy charakterystycznych dla tego kraju: klimat, florę i faunę. A spoza danych rzeczowych wylania się ludzki horyzont: świat, gdzie człowiek wciąż jeszcze żyje raczej w przyrodzie niż w cywilizacji.

W końcu jednak, z problemami, przeczytałem tę książkę. Wspomnienie lektury było niepokojące. Jakbym był w Brazylii. (Żałuję, nigdy tam nie byłem). Jakby było tam coś, co trzeba jeszcze odpowiedzieć... Jakby poprzez historię Canudos Euclides da Cunha – minęło zaledwie sześćdziesiąt lat, jak zmarł – zamierzał nie tylko opowiedzieć o wydarzeniach anarchistycznego buntu, do jakiego doszło na północno-wschodnich peryferiach Brazylii pod koniec ubiegłego wieku. Bo przecież pół wieku później owa dzika przygoda Canudos powtórzyła się gdzie indziej – tak, anarchia nagle znów

zaczęła być „modna”. W cywilizowanych krajach, w miejskich gettach i na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ponadto we Francji, we Włoszech i w innych miejscach gwałtownie niczym ogień pojawiły się symptomy anarchii.

Ta książka towarzyszyła mi w drodze z Ameryki do Europy. Pewnego dnia zacząłem pisać o tym, czego – jak sądziłem – „zabrakło” w książce Euclidesa da Cunhii – zabrakło, ale też „i tak mogło się zdarzyć”. W owej opowieści było coś z przypadku choroby, a to, co patologiczne, jest w literaturze pięknej zawsze monotonne. Kiedy zbliżałem się do połowy rękopisu, owładnęła mną niepewność.

Wówczas nadeszła wieść, że w Paryżu – wiosną 1968 roku – studenci zaczęli demonstrować, a po tych demonstracjach wybuchł strajk generalny. Strajk ów nie wynikał z naglącej konieczności gospodarczej czy socjalnej. Mimo to życie wykształconego, kulturalnego, cywilizowanego kraju w ciągu kilku dni uległo paraliżowi i francuski lud stanął twarzą w twarz z okropieństwem anarchii.

Wśród graffiti, jakie demonstrujący studenci namalowali na ścianie Sorbony, pojawiło się takie żądanie: „*Soyez raisonnables, demandez l'impossible*”¹.

To mnie uspokoiło i już w dobrym humorze pisałem tę książkę dalej. Z dzieła Euclidesa da Cunhii nie zapożyczyłem niczego innego, jedynie dane topograficzne i chronologiczne. I kilka imion własnych. Wszystko inne jest fikcją.

M.S.

¹ *Soyez raisonnables, demandez l'impossible* (fr.) – Bądźcie rozsądni, żądajcie niemożliwego!